

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/470

1986



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

REDAKCJA: **OBSERWATORIUM**

I. ZIĘBA: **WIDZIANE Z WARSZAWY**

M. OSTROWSKI:

ABDYKACJA CYNICZNA I ANIELSKA

L. UNGER: **PRASZCZAJ DANIŁÓW**

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Obserwatorium</i>	3 i 65
Ignacy Zięba:	<i>Widziane z Warszawy</i>	8
Michał Ostrowski:	<i>Abdykacja cyniczna i anielska</i>	16
Halina Kenarowa:	<i>Trzecie „buty”</i>	21

WIERSZE

Anna Frajlich:	<i>Jak z baroku</i>	31
Witold Wirpsza:	<i>Odchodzącemu</i>	32
Maria Kurecka:	<i>Buchalteria. — Spotkanie z centau- rem.. — „Nat.”. — ... Zdyszany kronikarzu</i>	32

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Praszczaj Daniłow</i>	35
—	<i>Zieloni w Polsce</i>	50

WYWIADY „KULTURY”

Ewa Berberyusz:	<i>Zgubiło was powodzenie... (Wywiad z Normanem Daviesem)</i>	56
-----------------	---	----

SPRAWY I TROSKI

D.T.:	<i>List z Iraku</i>	67
Fundusz Pomocy Krajowi:	<i>Apel</i>	71

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	73
Andrzej J. Chillecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	79

KRONIKA KULTURALNA

Anna Bojarska:	<i>Proza Tadeusza Nowakowskiego</i>	83
Władysław Bartoszewski:	<i>Przemówienie we Frankfurcie</i>	95
Tymon Terlecki:	<i>Kossowski wrócił do Aylesfordu</i>	105
—	<i>Klub im. Juliusza Mieroszewskiego</i> ..	113
—	<i>Nagroda im. Jiří Lederera</i>	113

KSIĄŻKI

K.S.:	<i>O budowaniu Niepodległej</i>	114
Michał Borwicz:	<i>Marek Halter i jego „Księga Abra- hama”</i>	120
Maciej Broński:	<i>Przerwa w spożyciu</i>	124
Michał Heller:	<i>Powieść polityczna lat 1980-tych</i>	126
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	133

WOLNA TRYBUNA

Jadwiga Kwiatkowska:	<i>Co jest grane?</i>	135
----------------------	-----------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca i Kronika fran- cuska</i>	146
---	--	-----

Z OSTATNIEJ CHWILI

Lech Wałęsa i inni:	<i>Oświadczenie</i>	151
---------------------	---------------------------	-----



J. Biłas, A. Mietkowski, P. Naimski, M. Rybiński, W.W.:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	157

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1986

INSTYTUT



LITERACKI

« KULTURA » I JEJ KRĄG

Od 12 grudnia 1986 do 10 stycznia 1987, z przerwą na Święta, otwarta będzie w Bibliotece Polskiej w Paryżu, 10, quai d'Orléans, wystawa z okazji czterdziestej rocznicy Instytutu Literackiego.

Wystawa zatytułowana „Kultura” i jej krąg składać się będzie z czterech działów: Narodziny i rozwój Instytutu Literackiego; — Kultura wobec emigracji; — Działalność wydawnicza Instytutu Literackiego; — Kraj w Kulturze, Kultura w Kraju.

Wystawa łączy podejście tematyczne z osobowym, poświęcając w każdym dziale wiele miejsca współpracownikom i autorom Instytutu Literackiego i Kultury. Łącznie pokazanych będzie ok. 500 eksponatów: rękopisów, książek, druków ulotnych, krajowych wydawnictw z „drugiego obiegu”, czasopism, fotografii, obrazów, rysunków, tablic, map i wykresów.

Przygotowaniem wystawy zajmuje się Stowarzyszenie *Les Amis de „Kultura”* w składzie: Barbara Askanas (komisarz Wystawy), Seweryn Blumsztajn, Teresa Dzieduszycka (przewodnicząca Stowarzyszenia), Wojciech Karpiński, Jolanta Kessler-Chojeka, Jacek Krawczyk, Andrzej Mietkowski, Grażyna Pomian, Joanna Pomian, Krzysztof Pomian (sekretarz Stowarzyszenia), Ewa Rutkowska, Krzysztof Rutkowski. Adres: *Les Amis de Kultura*, c/o CIEL, 30, rue Saint-Dominique, 75007 Paris.

Dotąd wreszcie trzeba, że w Komitecie Honorowym wystawy znajdują się, obok wielu czołowych intelektualistów, artystów i pisarzy francuskich, również najwybitniejsi przedstawiciele francuskiego świata wydawniczego: Michel Chodkiewicz (Editions du Seuil), Francis Esmenard (Editions Albin-Michel), Claude Gallimard (Editions Gallimard), Robert Laffont (Editions Laffont).

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Jan Bychowicz, Chicago, IL (USA) — dla uczczenia pamięci byłego mego przyjaciela, Witolda Ryser-Szymańskiego, zmarłego w Londynie w maju br. — zamiast kwiatów — \$ 30,00	F. 190,50
Zarema i Zdzisław Bau, Nowy Jork — zamiast kwiatów na grób śp. Jana Erdmana — \$ 25,00	F. 158,00
Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (nadesłali Dyrektor Bonawentura Migala i skarbnik Jan Jurewicz) — z okazji 40-lecia Kultury — \$ 50,00	F. 317,50

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

Obserwatorium

11 października 1986

Od zwolnienia przeważającej większości polskich więźniów politycznych minie niebawem miesiąc. Radość powitań, spotkania po długim niekiedy niewidzeniu, dyskusja o tym, jak działać w nowej sytuacji, pierwsze decyzje — wszystko to środowiska opozycyjne w Kraju mają już za sobą. Święto skończyło się; wróciliśmy do powszedniości. Dziś widzi się jaśniejszą niż w połowie września, że amnestia nie objęła ok. 40 osób więzionych z powodów politycznych. Co więcej, dochodzenia wszczęte przed jej ogłoszeniem trwają nadal; mówiąc żargonem prawników, wobec podejrzanych uchylono tylko stosowanie środka zapobiegawczego, a wobec skazanych — zawieszono wykonanie kary. W ostatnich latach władza wzbogaciła „normalne” ustawodawstwo karne tyłma przepisami właściwymi dla okresu stanu wojennego, że niemal zatarła granicę między jednym a drugim. Ale na wszelki wypadek pozostawiła sobie również możliwość ponownego uwięzienia tych, których teraz zwolniła, za czyny popełnione przed amnestią. Wydaje się mało prawdopodobne, by miała z tego rychło skorzystać. Utrzymanie takiej groźby świadczy jednak, że zwolnieni działacze Solidarności nie są dla władzy przyszłymi partnerami dialogu o najważniejszych problemach bytu narodowego. Są tylko przestępcami, którym okazano łaskawość i którzy winni odpowiedzieć na to zejściem ze sceny. Toteż oficjalne wypowiedzi, które to właśnie stwierdzają, należy traktować jako wyraz stanowiska istotnie zajmowanego przez władzę.

Po pięciu latach od wprowadzenia stanu wojennego najbardziej zdumiewającą osobliwością postawy wielu przywódców i działaczy opozycji jest ożywiająca ich wciąż nadzieja, że władza wreszcie zrozumie niesłuszność swego postępowania po 13 grudnia 1981, że przejrzy na oczy, że poprawi się i że ponownie po-

dejmie dialog, który wtedy bezzasadnie przerwała. Można to nazwać „syndromem negocjacji”. Osoby porażone tą przypadłością wiedzą wprawdzie, że PRL z roku 1986 różni się zasadniczo od PRL z roku 1980 i, gdy je o to zapyta, całkiem trzeźwo oceniają generała Jaruzelskiego i jego ludzi, niczego się po nich nie spodziewają, nie liczą na żadne dobrowolne ustępstwa z ich strony. Ale ta przenikliwość jest wyłącznie deklaratywna. Najmniejszy krok władzy, w którym mogą, choćby z wysiłkiem, dopatrzeć się czystych intencji, rozprasza bowiem ich nieufność wobec niej, wymazując zarazem z pamięci historię minionych pięciu lat — i trzydziestu pięciu poprzednich. Odtąd oczekują tylko telefonu, który zaprosi na rozmowy i boją się zrobić lub powiedzieć cokolwiek, co mogłoby w tym przeszkodzić. Od 13 grudnia ten nastrój wyczekiwania pojawiał się już kilkakrotnie; za każdym razem następowało po nim rozczarowanie. Niestety podatność na złudzenia nie maleje pod wpływem doświadczeń. Tym razem władza, po licznych demonstracjach nieustępliwości, zaskoczyła opinię decyzją naprawdę doniosłą. Jej bezpośredni skutki — zwolnienie kilkuset więźniów politycznych, w tym czołowych działaczy Solidarności — wzbudził uzasadnioną radość. Nic więc dziwnego, że „syndrom negocjacji” przeobraził się z delegliwości jednostkowej w epidemię, zarażając całe środowiska, zwłaszcza w Warszawie i w Gdańsku.

Najgroźniejszym tego objawem była utrata zdolności do właściwej oceny kontynuowanej przez władzę polityki — polityki „normalizacji” — co spowodowało, że jedni już widzieli się na salonach Rady Konsultacyjnej, podczas gdy inni planowali utworzenie komitetu do przywrócenia pluralizmu związkowego. Jak gdyby władza kiedykolwiek wyraziła zamiar zaproszenia przedstawicieli opozycji do Rady Konsultacyjnej, choć ta nie została przecież jeszcze powołana, i choć nie wiadomo, jakie będą jej uprawnienia i jaką rolę będzie odgrywać. I jak gdyby zabiegi o cofnięcie delegalizacji „Solidarności” i innych niezależnych związków zawodowych wymagały specjalnego komitetu, a nie wspólnego wystąpienia władz zainteresowanych organizacji. Pisząc o tych i jeszcze dziwniejszych pomysłach, korespondenci i goście zagraniczni mieli prawo przypuszczać, że zdaniem ich autorów „Solidarność” już się skończyła. Wypowiedzi różnych autorytatywnych przedstawicieli opozycji — to, co w nich było, i to, czego w nich brakło — wystarczały z nawiązką, by ich o tym przekonać. Zamęt tego nie przerwała nawet świetna deklaracja Zbigniewa Bujaka złożona natychmiast po zwolnieniu.

Dopiero powołanie 30 września przez Lecha Wałęsę Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność” położyło kres myśleniu zachciankowemu. Ale i tej decyzji towarzyszyły liczne niejasności. Taka niejasność ciąży na stosunkach między Radą a Lechem Wa-

łęsą, nie wiadomo bowiem, czy jest on jej członkiem, czy nie. Taka niejasność, o wiele groźniejsza w skutkach, ciążyła początkowo na stosunku do działalności podziemnej, ponieważ nie powiedziano wyraźnie, że o ile osoby przebywające w podziemiu od grudnia 1981 roku mają pełne prawo wyjść na powierzchnię, o tyle struktury powinny nadal działać w konspiracji, a ich członkom nie wolno się ujawniać. Jeszcze bardziej jaskrawym objawem „syndromu negocjacji” były mętne wystąpienia Lecha Wałęsy oraz oświadczenie Rady o jej ukonstytuowaniu się, które przemawiały wyłącznie do władzy, jak gdyby pierwszym obowiązkiem tej nowej instancji „Solidarności” nie było zwrócenie się do członków związku. Nikt nie pomyślał, że należy im podziękować za wierność, choć przecież to ich liczebność i wywierany przez nich nacisk mają swój ważki udział w wymuszeniu na władzy decyzji o amnestii. Nikt nie dokonał podsumowania minionych pięciu lat i nie zarysował, choćby ogólnie, obecnego stanu związku. Nikt nie zaapelował o dalszą wytrwałość. Później dopiero pojawiły się oświadczenia Władysława Frasyniuka i Marka Muszyńskiego we Wrocławiu oraz Tadeusza Jedyńaka i Andrzeja Górnego w Katowicach, podczas gdy w Warszawie i Lublinie utworzono jawne struktury regionalne obok struktur podziemnych, a nie zamiast nich, zaś w Łodzi postanowiło wznowić działalność dawne prezydium regionu. Są to wydarzenia ważne i bardzo pozytywne. Wiele spraw pozostaje jednak bez wyjaśnienia, co grozi komplikacjami i konfliktami w przyszłości.

Podejmując decyzję o zwolnieniu przytłaczającej większości więźniów politycznych, władza nie kierowała się ani względami humanitarnymi, ani dążeniem do porozumienia się z „Solidarnością” na gruncie nadrzędnych interesów narodu. Celem amnestii — jak o tym świadczą zresztą organy prasowe rządu PRL — jest wzmocnienie międzynarodowej pozycji ekipy generała Jaruzelskiego, a zarazem dalsze osłabienie działających w Polsce instytucji niezależnych.

Kraje bloku sowieckiego doprowadziły do perfekcji handel żywym towarem. Honecker sprzedaje RFN swych więźniów politycznych za dewizy. Gorbaczow używa dysydentów i Żydów pragnących wyemigrować do Izraela jako drobnej monety, którą może opłacać ustępstwa Zachodu. Generał Jaruzelski również wkroczył na tę drogę. Amnestia ma umożliwić uzyskanie od Kongresu Stanów Zjednoczonych klauzuli najwyższego uprzywilejowania, gwarancji rządu amerykańskiego dla pożyczek udzielanych przez banki prywatne oraz jego poparcia dla starań o kredyty z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W numerze wrześniowym wyraziliśmy — nie po raz pierwszy — nasz negatywny stosunek do polityki „im gorzej tym lepiej” oraz do polityki nieodwzajemnionych ustępstw. Uważamy amnestię za akt

wielkiej wagi. Ale widzimy w niej tylko spełnienie koniecznego wstępnego warunku dalszych negocjacji. W ich toku należy postulować nie mglisty dialog władzy „z przywódcami środowisk Kościoła, opozycji demokratycznej i niezależnych związków zawodowych”, o czym wspomina Kongres Polonii Amerykańskiej w swym oświadczeniu z 27 września, ale wprowadzenie w Polsce statusu więźnia politycznego i uznanie pluralizmu związkowego oraz zadośćuczynienie pewnym wymogom swoście gospodarczym (patrz *Kultura* nr 9/468, str. 16-21). Ostatecznie nawet w PRL te same przyczyny powodują te same skutki. Ponieważ zaś przyczyny kryzysu gospodarczego nie zostały usunięte, jak nie zniknęły te, które sprawiają, że od pięciu lat rytm życia polskiego wyznaczają aresztowania i amnestie, przeto nie ma podstaw, by oczekiwać w przewidywalnej przyszłości uzdrowienia gospodarki i zniknięcia z naszego krajobrazu więźniów politycznych. Chyba że dokonałyby się zmiany instytucjonalne znacznie wykraczające poza powołanie Rady Konsultacyjnej przy Radzie Państwa, konwentów podobnego typu przy radach narodowych czy rzeczników praw obywatelskich.

Dziś już wiadomo, że władza nie zamierza w niczym ustąpić opozycji. Świadczą o tym oświadczenia Jerzego Urbana i generała Kiszczaka, wsparte artykułem *Prawdy*, który pozwoli tubom szeptanej propagandy głosić, że rząd PRL chciał bez mała zaprowadzić w Polsce wolność, ale przeszkodziły mu w tym warunki geopolityczne (czytaj: Sowiety). Świadczy o tym przede wszystkim formalne uznanie Tymczasowej Rady „Solidarności” za nielegalną. Jawne działania „Solidarności” są jednak prowadzone nadal i to na rosnącą skalę. Jest więc rzeczą oczywistą, że władza odpowie na to prędzej czy później kolejną ofensywą policyjną, która — jeśli nie wyrazi się w aresztowaniach — przybrać może formę ścisłego nadzoru nad działaczami „Solidarności”, by uniemożliwić im spotkanie się, a zwłaszcza jakikolwiek kontakt ze strukturami podziemnymi. W tym stanie rzeczy, jeśli TKK nie zostanie wyraźnie upoważniona do zabierania głosu w imieniu związku, uniemożliwienie funkcjonowania Rady grozi „Solidarności” milczeniem i paraliżem. Podobne niebezpieczeństwo rysuje się również w regionach.

Ale władza na pewno nie poprzestanie na przedsięwzięciach policyjnych i nie one są dziś najbardziej niebezpieczne. O wiele groźniejszy jest wysiłek skierowany na rozbitcie, skłócenie i skompromitowanie opozycji. Już w ostatnich miesiącach widać było, jak ważną rolę w wytwarzaniu „syndromu negocjacji” odgrywają poufne rozmowy prowadzone przez tajnych wysłanników władzy z wybranymi przez nich rzekomymi przedstawicielami instytucji opozycyjnych, którzy, choć w istocie reprezentują głównie samych siebie, skutecznie wytwarzają wrażenie namaszczonych świę-

ceniami najwyższego stopnia. Nie ulega kwestii, że tego rodzaju pertraktacje będą wznowione, a może nawet toczą się już teraz, że utworzenie Rady Konsultacyjnej da asumpt do kolejnych prób dzielenia opozycji i że podobną rolę odegra ewentualna legalizacja pism wychodzących dotąd poza zasięgiem cenzury. Chciałoby się poradzić niektórym, by miast słuchać tego, co szepczą im do ucha ich dyskretni oficjalni interlokutorzy, czytali gazety i brali na serio wypowiedzi panów Jaruzelskiego, Kiszczaka i Urbana. Nie po to, rzecz jasna, by unikać rozmów. Prowadzić je trzeba, gdy tylko jest nickła choćby, ale realna szansa, że dadzą pożądane skutki. Ale nie wolno ulegać złudzeniom i zapominać o tym, że są to rozmowy nie z polskimi patriotami, którzy mają inne poglądy niż my, ale z patriotami Paktu Warszawskiego, niepodatnymi na nasze argumenty, i którzy ustępują nie z dobrej woli, ale wtedy jedynie, gdy stosunek sił okazuje się dla nich niekorzystny.

Represje są straszne dla jednostek. Ale ruchy społeczne wychodzą z nich często wzmocnione. Jak świadczy amnestia, władze PRL zdały sobie sprawę, że zbliżają się do punktu, w którym mnożenie liczby więźniów politycznych może zacząć działać na rzecz „Solidarności”. Z. Morawski nie mówi nic innego, gdy stwierdza, że „sprawa osób uwięzionych z powodów politycznych była poważnym, odczuwanym przez wszystkich problemem etycznym” (*Życie Warszawy* z 2 października 1986). Obecnie wkroczyliśmy prawdopodobnie w okres szykan administracyjnych, które mogą być bardzo dokuczliwe, oraz prób rozkładania opozycji od wewnątrz. Jeśli instytucje niezależne wyjdą i z tego bez szwanku, to można będzie uznać je za nieusuwalny już składnik polskiego życia publicznego. Oby.

REDAKCJA

Daszy ciąg Obserwatorium na stronie 65 (RED.).

Widziane z Warszawy

W dniu 15 września 1986 roku nastąpiło w PRL zwolnienie wszystkich więźniów tzw. niekryminalnych, którzy popełnili „przestępstwa przeciwko państwu i porządkowi publicznemu”. Ta rozwlekła definicja oznacza po prostu więźniów politycznych, który to termin nie może propagandzie komunistycznej przejść przez gardło. Za kratami pozostało kilkadziesiąt osób, którym komunistyczny wymiar sprawiedliwości przypisał czyny kryminalne i trzeba o nich pamiętać oraz upominać się o nie, ale i tak można uznać, że wydarzenie z 15 września 1986 jest faktem znaczącym w historii ostatniego pięciolecia. Ale co znaczącym? Odpowiedź na to pytanie, którą możemy właściwie tylko wydedukować z pewnych ogólniejszych przesłanek, zależy od tego, czy trafnie określimy przyczyny, które doprowadziły władze PRL do tej decyzji.

Najpierw trzeba powiedzieć, że była ona — w obliczu dotychczasowej linii propagandowo-politycznej — niespodziewana. Samo brzmienie ustawy z 17 lipca br., w której podkreślano, że nie jest to amnestia, że będzie arbitralnie decydować prokurator czyli w praktyce SB, wykluczało taki powszechny zasięg jej zastosowania, a zwłaszcza ten tryb, jaki przyjęto. Jeszcze w lipcu 1986 Jaruzelski przy okazji jednego z wywiadów — których tak chętnie udziela zagranicznym dziennikarzom — na pytanie, czy wszyscy zostaną zwolnieni w ramach ustawy z 17 lipca kategorycznie zaprzeczył, logicznie zresztą rozumując: przecież dążymy do normalizacji, więc nie możemy robić czegoś, co mogłoby normalizację zakłócić. Potem, przy pierwszych zwolnieniach w tym indywidualnym trybie, żądano od zwalnianych podpisywania wiernopoddanych deklaracji. Aż tu nagle zwalnia się od razu wszystkich w ciągu jednego, dwóch dni! Pomyślmy, w jakim to wszyst-

ko działa się pośpiechu! W czwartek wieczorem komunikat w telewizji i wyjątki z wywiadu Kiszczaka, a w poniedziałek cała akcja zakończona. Przecież robiło to wrażenie, że czerwoni działają wprost w panice. Oczywiście nie mają żadnego znaczenia zapewnienia Kiszczaka, że władze dokonują tego zwolnienia na wniosek PRON-u, że okazało się to możliwe, gdyż normalizacja poczyniła ogromne postępy, i że opozycja i podziemie nie mają już społecznego poparcia. Nawet gdyby to wszystko było prawdą, to i tak nie zwolniliby ani jednego z politycznych, a już na pewno nie odzyskaliby wolności Moczulski, Bujak, Jedynek, Frasyński, Bielecki, Borsewicz. Zgodnie z naturą czerwonego ci powinni zgnieć w więzieniu, a jeśliby rzeczywiście nie mieli poparcia społecznego, to tym bardziej powinni zginąć, gdyż koszt polityczny takiej eksterminacji byłby wówczas zerowy, a korzyść bezsporna: zastraszenie tych, którzy by ewentualnie chcieli iść w ich ślady.

A więc dlaczego to zrobili? Zrobili to dlatego, że musieli. Ale kto ich zmusił? Oczywiście odpowiedź, że zmusiła ich do tego presja społeczeństwa w postaci solidarnego działania podziemia i opozycji — jak to przedstawił rzecznik Biura Zagranicznego „Solidarności” — jest zupełnie nieprzekonywująca. Aż do następnego wybuchu społecznego siła działania podziemia i opozycji jest absolutnie niewystarczająca do wymuszenia na władzy tego rodzaju kroków. Tzw. drugi obieg informacji, pisma, książki — pożyteczne niewątpliwie zjawisko — władze mogą słusznie skwitować znanym powiedzeniem: ty sobie mów, a ja zdrów.

Ci, którzy twierdzą, że zmusiła ich do tego presja Kościoła znajdują się trochę bliżej prawdy, ale też się z nią nie pokrywają. Co to znaczy presja Kościoła? Kościół jest instytucją i organizacją uznaną przez władze, a więc ma te atrybuty, których nie ma podziemie i opozycja. Dzięki temu Kościół może z władzą negocjować. Ale negocjacje to nie presja, lecz handel wymienny, przetarg według zasady *do ut des*. Stanowisko o charakterze presji Kościół mógłby zająć (teraz już chyba mógłby) tylko w sytuacji zagrożenia rdzenia jego interesów, powiedzmy eschatologicznych, jego misji apostołskiej. Przez trzydzieści lat nie było w PRL nabożeństw transmitowanych przez radio i „presja” Kościoła w tej sprawie była niedostrzegalna. Dopiero „Solidarność” wywarła presję i sprawa została załatwiona w kilka tygodni. Słowa te nie są krytyką stanowiska Kościoła. Dobrze, że Kościół w Polsce jest (w wymiarze społeczno-moralnym w obecnej sytuacji jest to skarb Polaków), dobrze że jest taki jaki jest, ale nie łudźmy się! To nie Kościół i oświadczenia biskupów spowodowały zwolnienie więźniów politycznych. Natomiast Kościół z pewnością sprawę negocjował, to znaczy przedstawił władzom jakąś ofertę wymienną, coś władzom obiecał, co uznały za godne uwagi. A godna

uwagi mogła być tylko taka oferta, w której według oceny czerwonych koszty polityczne (zwolnienie więźniów) byłyby mniejsze niż korzyści, jakie mógł Kościół ofiarować. A zatem, co mogłoby interesować komunistów od tej strony? Czy deklaracja biskupów, że będą z ambon w kazaniach nawoływać wiernych do posłuszeństwa wobec władzy i do sumiennej pracy? Z pewnością nie, gdyż ci pragmatycy nisko oceniają skuteczność takich apeli. (Zresztą nie ukrywają satysfakcji z tego powodu: co rok Kościół apeluje, aby w sierpniu — miesiącu tylu ważnych wydarzeń w historii narodu — naród ograniczył konsumpcję alkoholu, a władze sprytnie podrzucają wtedy z hurtu do detalu miliony hektolitrow wódki i w statystyce wychodzi, że konsumpcja zamiast spaść jeszcze wzrosła). Więc co władze może interesować w ofercie Kościoła? Tylko jej aspekt międzynarodowy, tak jak w ogóle fakt, iż Kościół rzymsko-katolicki ma swoją stolicę (centralę w języku biurokratycznym) poza zasięgiem sfery komunistycznej, daje mu tę siłę.

Aspekt międzynarodowy oferty Kościoła, to konkretnie papież i jego podróż do Polski. Nie wiadomo, jakie Kościół poczynił tutaj koncesje, jakie kompromisy zawarł przy układaniu programu trzeciej wizyty Ojca Świętego w Ojczyźnie (np. czy będzie Gdańsk, czy będzie Lublin — miasto za Wisłą), czy poszedł może na jakieś ustępstwa co do treści wypowiedzi papieża. W każdym razie władze uznały, że „oswojenie” wizyty papieża w kraju, ujęcie jej w pewne ramy możliwe do tolerowania przyniesie korzyści polityczne, będzie dalszym krokiem ku normalizacji. A warunkiem tej wizyty było zwolnienie więźniów politycznych, bez czego byłaby ona niemożliwa. Przynajmniej teraz wydaje się nam, że byłaby niemożliwa.

Ale z pewnością ta część odpowiedzi nie wyczerpuje sprawy. Międzynarodowy aspekt problemu więźniów politycznych nie ogranicza się do Kościoła. Jest jeszcze tzw. Zachód, który zaczyna się we Włoszech a kończy na Ameryce. Czy zatem Zachód wywarł presję na warszawskie władze, że tak błyskawicznie zwolniły więźniów? Oczywiście nie! Jaruzelski nie kłamał, mówiąc w przemówieniu w Zielonej Górze (które miało być takim — pożałuj Boże — politycznym otwarciem...), że PRL jest niewrażliwa na jakiegokolwiek presję Zachodu. Po prostu nie ma presji bez siły, a Zachód w żadnej sprawie polskiej nawet nie pomyśli, żeby chociaż zagrozić siłą, a cóż dopiero ją zastosować. Po prostu w tej sprawie nie ma tej siły (moralnej). Więc z czym Zachód przystępuje do tej gry? Adwokaci mówią, że kiedy nie wiadomo o co chodzi, to na pewno chodzi o pieniądze. Zachód, podobnie jak Kościół, prowadził negocjacje z rządem Jaruzelskiego, a jego ofertą w tych negocjacjach mogła być tylko obietnica udzielenia nowych pożyczek. Nie wiem kto, nie wiem w jakiej formie udzieli tych pożyczek, ale komuniści musieli ujrzeć szansę otrzymania

nowych pieniędzy i to za co? Za wypuszczenie paruset ludzi, którzy i tak pozostaną w zasięgu ich władzy.

Ale powstaje pytanie: dlaczego potrzebują tych pieniędzy i to w tak pilnym trybie, że wystawiają na szwank swoją suwerenność (wobec Zachodu) i poddają w wątpliwość swoją dotychczasową konsekwencję, a przy tym narażają się na pewne ryzyko w umacnianiu normalizacji? Negocjacje negocjacjami, ale kto w końcu wywarł na nich tę presję?

Odpowiedź jest nie kto, lecz co. Stan polskiej gospodarki, utrzymujący się i pogłębiający kryzys ekonomiczny — oto źródło potężnej presji, które zmusza czerwonych do ustępstw. Nie miejsce tu by opisywać, w jakim niżu znalazła się polska (PRL-wska) ekonomika, a zresztą niech czynią to fachowcy, ale wystarczy popatrzeć na kraj, przejrzeć najnowsze statystyki, zapoznać się z alarmującym tonem publicystyki gospodarczej, by sobie powiedzieć: jest bardzo źle, ale będzie jeszcze gorzej, jeśli kapitaliści znów nam nie pomogą.

Czy pomogą? Doraźnie tak, choć taka *doraźna* pomoc musi mieć wymiar 2-3 mld dolarów! Ale same te pieniądze pomogą tylko na chwilę. Kryzys gospodarki polskiej tkwi tak głęboko, że taka pożyczka może tylko zwolnić tempo upadku. Obrazowo można gospodarkę polską scharakteryzować tak: upada i rozpada się „centrum”, a nadspodziewanie dobrze trzymają się „peryferie”. Centrum to wielki przemysł, duma socjalizmu, wielkie miasta, tzw. aglomeracje, oraz ogólnie konsumpcja publiczna. „Peryferie” to rolnictwo prywatne, pozarolniczy sektor prywatny, prywatne budownictwo mieszkaniowe i — choć to zabrzmia paradoksalnie — konsumpcja prywatna. Komuniści ochraniają jeszcze tylko pewne sektory z „centrum”, głównie przemysł zbrojeniowy (przy pomocy Związku Sowieckiego), ale upadku całości „centrum” nie mogą powstrzymać. Wprawdzie stopa życiowa w PRL jest dużo niższa niż w krajach Zachodu, istnieją duże grupy ludności żyjące bardzo skromnie, ale trzeba to stwierdzić, że w stosunku do stanu gospodarki, jej trzonu produkcyjnego, jej substancji infrastrukturalnej i wydajności pracy — poziom konsumpcji jest jeszcze wysoki. Jeśli kraj nie będzie więcej inwestował i więcej pracował, to upadku nie zahamuje nawet 10 kolejnych lat urodzaju w rolnictwie i kilka miliardów dolarów nowych pożyczek.

A więc więcej przeznaczyć z dochodu narodowego na inwestycje i przy mniejszej konsumpcji, a więc niższych lub nie podwyższonych płacach więcej pracować? W tym systemie, przy tym rządzie ludzie na to nie pójdą. Po prostu nie wierzą, że kolejne ofiary jakie mogłoby ponieść społeczeństwo nie zostaną po raz kolejny zmarnowane przez komunistów. Wobec tego będą bronić tego poziomu konsumpcji, jaki utrzymali i występować

z nowymi roszczeniami, nawet wtedy, gdy kanałem dla tych roszczeń jest „rządowy” związek kierowany przez Miodowicza. To też każda próba radykalnej mobilizacji na odcinku gospodarczym, każda próba rzeczywistego „zaciśnięcia pasa” grozi wybuchem i tego władze się obawiają.

Tymczasem tragizm tej sytuacji polega na tym, że innej drogi nie ma, jak tylko skojarzyć nowe pieniądze z zagranicy ze wzmocnionym wysiłkiem krajowym, mądrze ukierunkowanym przez władze, którym społeczeństwo będzie ufać. W tej triadzie należałoby oczywiście zmienić władze, rząd, system, a dwa pozostałe czynniki szybko wydzwigną Polskę. Ale jak wiadomo, trzeba by jeszcze w tym celu zmienić nasze katastrofalne położenie geograficzne. Pytanie zatem jest takie: jak przy utrzymaniu zasady wieczystego władztwa partii komunistycznej poderwać społeczeństwo (ludzi) do wysiłku, by nie zmarnować nowopozyszonych miliardów dolarów?

Jak to zrobić? Recepta jest znana i była wielokrotnie stosowana. Trzeba tworzyć lub rozbudować „szarą strefę”, a więc środowiska i pojedyncze osoby, które nie są komunistami, które nie muszą mieć nawet poglądów lewicowych, ale gotowe są w myśl jakiejś ogólnej zasady (zresztą dowolnej) służyć komunistom, pośredniczyć między nimi a resztą społeczeństwa, namawiać do „porozumienia”, stanowić w razie potrzeby fasadę demokratyczną dla totalitarnego reżimu. Szerokość szarej strefy, jej stopień instytucjonalizacji i organizacji, pochodzenie polityczne ludzi biorących w niej udział — wszystko to jest zmienne. Gdy komuniści są słabsi, wówczas poszerzają szarą strefę, tworzą z niej jednocześnie kordon sanitarny i służą między sobą i społeczeństwem. Gdy są silniejsi, ograniczają do minimum, prawie likwidują, jak niepotrzebną protezę w sprawowaniu przemocy nad ludnością. Ale jedna zasada jest zawsze przestrzegana: szara strefa, ludzie na nią się składający, instytucje, organizacje a nawet partie polityczne nie mogą mieć żadnej władzy politycznej, nie mogą być suwerenni nawet w swoich wewnętrznych sprawach, jeśli te mają charakter polityczny.

Komuniści w Polsce posługiwali się zawsze „szarą strefą”. Dopiero „Solidarność” w krótkim okresie swego działania swoim światłem jednoznacznego wyboru zmiotła prawie zupełnie (choć niestety niezupełnie) szarą strefę i wtedy okazało się, że czerwona strefa komunistów zwięzła się do nikłej strużki partyjnych działaczy, chronionych przez bataliony ZOMO. Po wprowadzeniu stanu wojennego Jaruzelski zaczął szybko odbudowywać szarą strefę: założono PRON, odświeżono hasła polityczne i narodowe, wyciągnięto z zakamarków rozmaitych ludzi, ogłoszono formułę „koalicyjnego sprawowania władzy”. Ale wobec olbrzymiego zadania mobilizacji ludności do pracy, mobilizacji bez ekwiwalentu

materialnego, wszystkie te atrapy polityczne dobre przy imprezach zwanych wyborami — to za mało. Szarą strefę trzeba poszerzyć, wzbogacić, dowartościować (w pozory!), sięgnąć po nowych ludzi.

Czy się tacy znajdują w piątym dziesięcioleciu rządów komunistycznych, które doprowadziły nas do takiego stanu? Znajdą się na pewno. Owi „poputczycy”, owi *fellow-travelers*, czyli dobrowolni współpracownicy, pełniący funkcje pożytecznych (dla czerwonych) idiotów. Nie zawsze nimi kieruje motyw korzyści materialnych. Czasem jest to hipnoza, jaką roztacza po prostu urok władzy: być dobrze notowanym przez władzę to dla nich najwyższa rozkosz. U innych mogą występować motywy patriotyczne: skojarzone z wrodzonym optymizmem podbudowanym naiwnością każą im szczerze widzieć w deklaracjach komunistów jakąś ofertę rzeczywistego porozumienia, demokratyzacji i potem demokracji. Ci ludzie sto razy oszukani sto pierwszy raz też uwierzą, a na dowód, że ich wiara ma podstawy, będą wskazywać na prominentów władzy z komunistycznego *establishment'u*, którzy są uczciwymi ludźmi i dobrymi Polakami. Może i są, wzięci pojedynczo, osobno. Na przykład Jaruzelski: nie można wykluczyć, że kieruje nim troska o kraj, o naród i z pewnością stanowi on mniejsze zło niż możliwe inne alternatywy. Albo Kiszczyk z twarzą tak szczerą i tak polską, że na miłą by się poznało, że to nasz rodak i tak by się chciało z nim porozmawiać jak Polak z Polakiem (niektórzy nawet rozmawiają przy okazji otrzymania paszportu). Ale tak jak Marks dopuszczając istnienie dobrych indywidualnych kapitalistów potępiał ich jako klasę, tak i indywidualna ocena poszczególnych ludzi, sprawujących władzę w PRL nie może nam osłabiać osądu tej potwornej struktury, jaką jest partia komunistyczna, ani skutków jej totalitarnych rządów.

Kandydaci do szarej strefy już są. Trzeba im tylko ułatwić ochotniczy akces, tak by nie stracili twarzy — bo wtedy oczywiście przestaliby być użyteczni. Temu ma więc służyć to manifestacyjne zwolnienie politycznych. I już tacy jak Stomma — weteran szarej strefy — gotowi są zasilić szeregi projektowanej Rady Konsultacyjnej przy Jaruzelskim, już taki Król (Marcin) szykuje się do otrzymania koncesji na jakieś pismo *quasi* — *excusez le mot* — opozycyjne, już mnóstwo (200) osób zostało wybranych (dobrych) do Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie i na swych pierwszych posiedzeniach ostro stawiają sprawy (a przewodniczy tej Radzie sfrustrowany ponurak, były wicepremier Rakowski). A więc inicjatywy się mnożą. Ale to nie jest jeszcze to drugie dno, ta druga pieczeń, jaką chcą komuniści upiec przez wypuszczenie zakładników (przepraszam — więźniów niekryminalnych). Ich zamiar jest szerszy, można by powie-

dzieć, na miarę napoleońskiego manewru: przy pomocy tego gestu — ale nie czyniąc żadnych politycznych ustępstw, nie legalizując żadnych form prawdziwej demokracji — ci kuglarze polityczni chcą wciągnąć do szarej strefy to wszystko, co się da z opozycji i podziemia, a resztę najpierw zneutralizować, potem izolować, a w końcu zlikwidować jako siłę polityczną. Na tym jednak nie koniec. Post-opozycja i post-podziemie, nobilitowane do szarej strefy, a może nawet dopuszczone na salony władzy, muszą spełnić funkcję, do jakiej zostały przewidziane: muszą podjąć się strasznej (niewdzięcznej to za słabo powiedziane) roli przekonania ludzi, że tym razem władza już chce dobrze, że zmieni się polityka gospodarcza i nie tylko gospodarcza, że trzeba ponieść wstępne koszty reformy gospodarczej, zwłaszcza w II-gim etapie, że trzeba będzie się pogodzić z tym przymusem ekonomicznym, ale dzięki temu efektywność naszej gospodarki ogromnie wzrośnie i jeszcze przed końcem stulecia odzyskamy poziom z lat 70-tych. Na razie jednak tych parę lat trzeba się jeszcze pomęczyć, a przede wszystkim więcej i lepiej pracować oraz zachować tzw. dyscyplinę społeczną, tzn. nie występować przeciw władzom (za niskim) i cenom (za wysokim) i nie adresować tych roszczeń do państwa, gdyż wszystko to wynika z przymusu ekonomicznego.

Tak mają powiedzieć aktywiści z byłej opozycji i z byłego podziemia, sztandarowe nazwiska, bohaterowie tamtych 16-tu miesięcy. I im ludzie uwierzą!

Ale czy powiedzą, czy werbunek do szarej strefy się uda? Akcja już jest w toku. Już odbyły się pierwsze zebrania i kontakty zwolnionych z tymi, co byli na wolności, podziemnych z naziemnymi. W rezultacie tych spotkań na pytanie: co dalej? są już gotowe propozycje: trzeba odpowiedzieć na gest władzy, tworzyć struktury jawne choć (jeszcze) nielegalne, a przede wszystkim rozwiązać to, co jest jeszcze w podziemiu, ujawnić ludzi i organizacje, które są jeszcze zakonspirowane.

Podobno Wałęsa (i jego doradcy) jeszcze się opierają, zalecają ostrożność, ale drugi nurt w tym ruchu prze w tym kierunku bez wahania. Trzeba — mówi — stworzyć nową strukturę, jawną, a więc istniejącą przy tolerancji władz, strukturę, w której ludzie z wyborów związkowych sprzed grudnia 1981 nie będą już odgrywali swej roli, gdyż kierownictwo tej struktury przejmie „grupa inicjatywna”. A więc przy okazji dokona się po stronie opozycji mały zamach stanu. Może już się dokonał, gdyż TTK z Wrocławia ogłosiła oświadczenie, które akceptuje ten kierunek działania. Jeśli to nastąpi, będzie to olbrzymi błąd opozycji i ogromny sukces władz, osiągnięty prawie bez kosztów. Najgroźniejsze w tym manewrze jest przy tym ujawnienie wszystkich struktur podziemnych. Jest znamienne i groźne, że na ten właśnie

punkt całego programu nalega szczególnie Służba Bezpieczeństwa. I to jest zrozumiałe: ujawnicie się, rozwiążcie się, niech tysiące ludzi ze struktur „Solidarności” w zakładach pracy wyjdą z podziemia i może złożą jakieś oświadczenia, to potem zobaczymy, kogo się zostawi w spokoju, kogo się przyjmie do ochotniczej współpracy, a kogo się wyrzuci z zakładu, pozbawi pracy, usunie ze środowiska, rozproszy. I to bez specjalnych prześladowań, więzienia itp. Politycznie. Przykład z ujawnieniem oddziałów AK jest jeszcze świeży i można te doświadczenia powtórzyć. Jeśli to nastąpi, będzie to nie tylko ogromna strata dorobku pięciu lat pracy tysięcy ludzi działających w niezależnych i nielegalnych strukturach związkowych. Będzie to również krok samobójczy dla tych, którzy dziś takie działania zalecają. Instynkt samozachowawczy powinien im podpowiedzieć, że ich znaczenie dla władzy, ich status polityczny jaki mogą uzyskać w szarej strefie, wreszcie możliwość realizacji ich własnych planów politycznych zależą od tego, czy będzie jeszcze kto poza nimi, ktoś niezależny od władzy, który może jej potencjalnie zagrozić, to znaczy czy będzie nieujawniona opozycja. Jeżeli ona zniknie, zostanie częściowo przyciągnięta do szarej strefy, wówczas społeczeństwo straci zdolność, choćby potencjalną, zorganizowanego oporu. A w takiej sytuacji władza będzie mogła podyktować wszystkim swoje warunki: niedawni działacze niezależnego związku zawodowego znajdą się w roli oficjalnych rzeczników „prawa i porządku” i będą musieli wykonywać rządowy program mobilizacji ludzi do pracy. Będzie to rola fałszywa, gdyż wykonywana bez żadnych gwarancji politycznych, instytucjonalnych i prawnych. A co się stanie, jeśli realizacja kolejnych obietnic będzie nadal odsuwana, gdy ludzie nadal będą doznawać zawodów i rozzarowań? A tak się stanie, gdyż komuniści nowe pieniądze z zagranicy i nowy wysiłek produkcyjny społeczeństwa wprowadzą w te same kanały przy pomocy tych samych metod i z takimi samymi wynikami. Jest to tak pewne jak prawo przyrody. Wówczas ci rzecznicy mobilizacji produkcyjnej społeczeństwa, prowadzonej na zamówienie władz, będą w opinii społecznej skończeni. Będzie to klęska nie tylko ich: społeczeństwo zostanie bez przywództwa. I o to właśnie chodzi.

Ignacy ZIĘBA

Abdykacja cyniczna i anielska

Stosunki między etyką a polityką stanowią zagadnienie tyleż pasjonujące, co niebezpieczne. Namiętności i zagrożenia związane z jego analizą są znane zarówno aktywnym politykom, jak i ludziom, którym nie marzy się udział we władzy ani nawet czynne uczestnictwo w życiu publicznym. Statyści i publicyści z upodobaniem odwołują się do racji moralnych dla okazania świętości i słuszności własnej sprawy oraz bezceństwa swych antagonistów. Filozofowie polityki od stuleci układają traktaty, w których na przemian udowadniają konieczność przepełnienia życia politycznego moralnością i potrzebę uwolnienia go od wszelkich obciążeń dylematami etycznymi. Po tym wstępie właściwie można już spokojnie rozpocząć wykład kolejnego kursu moralności (lub niemoralności) politycznej. Nie to jest jednak celem autora tych słów. Miast pisanie politycznego kazania czy pamfletu, jakich nie brak nam ostatnio w kraju i na emigracji, zdecydowałem się na analizę problemów związanych z dwoma zagadnieniami — jednym o szerokim i dramatycznym wymiarze międzynarodowym i drugim rodzimym, choć nie pozbawionym również międzynarodowego kontekstu. Pierwsze to współczesny międzynarodowy terroryzm, a raczej reakcje państw zagrożonych jego atakami. Drugi temat to dzień dzisiejszy polskiej opozycji i jej dylematy.

Jak dać się zabić?

Czego potrzeba, aby w dowolnej części świata zasiać niepokój przy pomocy serii terrorystycznych ataków? Pozornie odpowiedź jest prosta: trzeba tylko broni, pieniędzy, fałszywych paszportów i paru innych środków technicznych oraz wykonawców. Prosta ta odpowiedź jest jednak myląca. Wsparcie techniczne i logistyczne udzielane jest przecież terrorystom przez różne kraje, nie zawsze występujące w roli sponsora we własnym jedynie interesie. Sami zaś terroryści mogą być tylko dobrze przeszkolonymi

płatnymi zabójcami, ale równie dobrze, a może nawet i pewniej, członkami jakiejś fanatycznej sekty, opętanej dziką ideą grupy politycznej czy płonącego żądzą zemsty klanu rodzinnego. Aby stać się terrorystą, wystarczy być pozbawionym wszelkich zasad bandytą, ale można też być integralnym moralistą (immoralistą), który w imię idei — równości, wolności, świętości rodzinnej krwi, czy światowej rewolucji — gotów jest torturować, ranić i zabijać na ślepo, bez różnicy stanu i nacji, płci i wieku, poglądów politycznych i wyznania. A wszystko to, aby służyć owej idei, w istocie zaś, aby mniej lub bardziej świadomie wypełnić rozkaz ukrytego w oddali tyrana, któremu krew i łyż w tej właśnie chwili i w tym miejscu są potrzebne dla jego własnych celów.

Czego jednak potrzeba, aby z widmem terroryzmu walczyć? Czy wystarczy jedynie sprawna policja, rygorystyczne kontrole graniczne, apele do opinii publicznej o pomoc w tropieniu zbrodniarzy? Czy terrorystów można ścigać jedynie jako zbrodniarzy, czy trzeba czegoś więcej — na przykład uznania ich za przeciwników w wojnie? Słowo „wojna” pojawia się w komunikatach i programach ugrupowań terrorystycznych dość często. Wojna toczy się. „Żołnierze Sprawy” idą do boju z syjonizmem, światowym imperializmem, tyranią amerykańską. Retoryka rzadko kiedy odsłania prawdziwe znaczenie słów, częściej je maskuje. W tym przypadku chyba tak nie jest. Słowo „wojna” w języku terrorystów trzeba brać na poważnie, ze wszystkimi konsekwencjami jego znaczenia. Z prawem do obrony, ale także z prawem do kontrataku, z koniecznością przeciwstawienia się bezpośredniemu wrogowi i jego sojusznikom. Natychmiast rodzi się tu wątpliwość, czy przyjęcie takiej płaszczyzny konfrontacji nie będzie właśnie spełnieniem głównego celu terrorystów, przez rozognienie konfliktów lokalnych i ich umiędzynarodowienie. W gruncie rzeczy jednak w dzisiejszym świecie każdy konflikt lokalny jest problemem międzynarodowym, a terroryzm przez różnorodność celów swych uderzeń jest takim problemem w stopniu jeszcze poważniejszym. Co więcej, skuteczna odpowiedź na ataki terrorystyczne może polegać zarówno na precyzyjnie wymierzonym kontrataku (*vide* amerykańskie bombardowanie Libii) jak i na drastycznym ograniczeniu wymiany gospodarczej, transferu technologii i specjalistów do krajów wspierających terroryzm.

Wydaje się, że w ostatnim czasie nagromadziło się sporo przykładów pozwalających na skonkretyzowanie powyższych rozważań. Politykę Stanów Zjednoczonych cechuje postawienie walki z terroryzmem na stopie wojennej. Odpowiada temu użycie środków zarówno militarnych jak i politycznych. Dwa spektakularne posunięcia amerykańskie, tzn. przechwycenie samolotu z porwaczami statku „Achille Lauro” i zmuszenie go do lądowania we Włoszech oraz atak na Libię, a także wzmocnienie obecności wojskowej na Morzu Śródziemnym, należą do pierwszej grupy. Działania polityczne skierowane są głównie w stronę zachodnioeuropejskich sojuszników USA i zmierzają do przekonania ich o konieczności ścisłego współdziałania w walce z terroryzmem, a przede wszystkim o potrzebie zastosowania rozległych sankcji wobec państw go popierających. Amerykańska stanowczość napotkała

jednak na poważne przeszkody. Ich wyrazem było zarówno uwolnienie przez władze włoskie zatrzymanego wśród porywaczy „Achille Lauro” Abula Abbasa, jak i manifestowane po nalocie na Libię oburzenie części opinii publicznej i niezbyt skrywane niezadowolenie niektórych rządów. Równie dobrą ilustracją tej postawy stanowi stosunek państw NATO do technicznej strony amerykańskiego ataku na Libię. Skuteczności linii obranej przez Stany Zjednoczone nie można jednak w tej chwili poddawać w wątpliwość. Ustały ataki na amerykańskie obiekty w Europie. Retoryka przemówień i wywiadów Kadhafiego nie idzie w parze z wybuchami bomb. Tymczasem ostrze terroryzmu (po atakach w Pakistanie i Stambule) zwróciło się w kierunku Francji. Wyżwanie zostało rzucone Europie.

Jest to moment szczególnie trudnej próby dla demokracji zachodnich. Pojawia się bowiem potrzeba consensusu sfer politycznych, wojskowych, gospodarczych i szerokiej opinii publicznej co do konieczności walki z terroryzmem oraz skali stosowanych w niej środków. Jeszcze nim nastąpiła seria wybuchów w Paryżu, z ust papieża na szczycie uderzających zarówno w terrorystów i stanowcze potępienie terroryzmu i wezwanie do walki z nim. Jest bolesnym paradoksem, że to właśnie Jan Paweł II jako pierwszy z mężów stanu Europy Zachodniej wypowiedział te słowa. Europa Zachodnia powinna przygotować i rygorystycznie realizować szereg posunięć uderzających zarówno w terrorystów jak i ich mocodawców. Skala środków możliwych do podjęcia jest niezmiernie bogata: poczynając od kategorycznego odrzucenia wszelkich rokowań na temat uwolnienia uwięzionych już terrorystów, przez bezwzględne ściganie pozostających na wolności, ograniczenie czy zerwanie kontaktów gospodarczych z takimi krajami jak Libia, Iran i Syria, zablokowanie transferu technologii i specjalistów do tych państw, wydalenie ich obywateli z granic własnych krajów, zerwanie stosunków dyplomatycznych, zaś na akcjach wojskowych czy dywersyjnych kończąc. Aby jednak realizacja któregokolwiek z tych posunięć była możliwa, konieczny jest ów elementarny consensus, w którym mieści się zarówno przewyższenie lęków i uprzedzeń zbiorowych, jak i gotowość do poniesienia ofiar w ludziach a także w postaci pewnych zaburzeń ekonomicznych. Brak takiego consensusu i budowanej na jego podstawie siły może oznaczać niezwykle poważną klęskę państw demokratycznych. Zwycięstwo doraźnie pojmowanych interesów grupowych i ekonomicznych oraz obaw przed zbyt daleko posuniętym uzależnieniem od USA nad podstawowym obowiązkiem każdego państwa, jakim jest obrona bezpieczeństwa własnych obywateli, oznaczałoby zaprzeczenie fundamentalnym wartościom demokracji. Byłby to triumf polityki pozbawionej wszelkiej moralności i co gorsza pozbawionej również dobrze pojętego interesu. Byłaby to abdykacja.

Jak być aniołem?

W Polsce ludzie są zmęczeni. Zmęczenie i przygnębienie jest

udziałem przeważającej części społeczeństwa. Pogoń za najpotrzebniejszymi produktami żywnościowymi i przemysłowymi, inflacja, brak mieszkań, miejsc w szkołach, przedszkolach i żłobkach oraz wiele innych dobrze znanych trudności życia codziennego w PRL naznacza twarze Polaków cieniem ogromnego utrudzenia. Naznacza zresztą nie tylko twarze, ale i myśli. Niełatwo mieć nadzieję, gdy wokół szaro i ponuro. Jeszcze trudniej dać zbiorowy wyraz owej nadziei. Wszystkie te doznania nie są obce również najcisłsiemu kadrom opozycji, które tworzą osie podziemnych stuktur związkowych i wydawniczych. Sytuacja ta nie jest nowa, trwa przecież w istocie rzeczy od kilku już lat, choć niewątpliwie w ciągu roku 1985 i minionych miesięcy 1986 stała się bardziej dotkliwa. Stabilność ta odbija się w wielu przejawach życia społecznego. Czy będzie to bojkot wyborów, czy rzetelnie prowadzone sondaże opinii publicznej, czy masowe akcje petycyjne, czy też zasięg podziemnej prasy i wydawnictw, we wszystkich przypadkach ujawniają się mniej więcej stałe już podziały społeczeństwa wobec zasadniczych kwestii politycznych. Ową stabilność trzeba uznać za niewątpliwą sukces aktywności opozycji. Nie sposób jednak nie dostrzec w niej pewnego niebezpieczeństwa. Życie i działalność ludzi podziemia nastawione są na działanie. Tymczasem główną konsekwencją owego działania, jaka przejawia się w skali zbiorowej, jest utrzymywanie społecznego *status quo*. Kontrast akcji i stabilności jest bardzo dojmujący.

Niezmiernie powszechne „przeanielenie” polskiej opozycji roku 1986 można uznać za główny rezultat tego kontrastu, a zarazem za podstawowy mechanizm obrony przed jego psychologicznymi skutkami. Surowy moralizm więziennej publicystyki Adama Michnika, wybujały „etycyzm” wielu nocnych rozmów rodaków i powstających w ich wyniku artykułów stanowią przykładowe symptomy owego „anielstwa”. W skrajnych przypadkach niektórych kręgów, zwłaszcza „przykościelnej opozycji”, prowadzi ono wręcz do swoistego sekciarstwa. Niestety dla bardzo wielu inteligentów nakaz moralno-politycznej czystości spełnia funkcję alibi, skrywającego brak rzeczywistej aktywności intelektualnej. Trwanie w okopach św. Trójcy okazuje się zajęciem całkowicie wystarczającym. Moralizm ów z rzadka prowadzi do budowania nowych programów politycznych czy choćby do refleksji nad możliwościami jakichś nowych form działania opozycji.

Dramatyczne napięcie, jakie wytwarza się między powszechnym zmęczeniem i wysublimowanymi wymogami etycznymi, owocuje pewnymi zmianami w kręgach opozycyjnych. Nie idą one jednak w kierunku wzmocnienia polskiej opozycji, a wręcz przeciwnie, przyczyniają się do jej osłabienia. Pojawiają się bowiem tendencje do odrzucenia „przeanielenia”, ale w intencji kompromisu z władzą. Dopiero ten kompromis, budowany na niczym nie uzasadnionej wierze w dobre intencje komunistów, ma zapewnić możliwości swobodnej wypowiedzi i aktywności publicznej nie naznaczonej piętnem nielegalności. Trudno dyskutować z aktem wiary, zwłaszcza jeżeli dotyczy on towaru tak podejrz-

nego jak dobre intencje. Wypada jedynie mieć nadzieję, że przynajmniej za niektórymi z tych przedsięwzięć stoi jakiś dobrze pojęty interes jednostek czy grup ludzi. Zawsze to towar pewniejszy od dobrych intencji.

Te ugodowe nastroje i idące za nimi konkretne poczynania muszą wywoływać rozgoryczenie i odruch wstrętu u „moralistów”. Kto wie jednak, czy nie bardziej pożytecznym dla opozycji odruchem byłoby zastanowienie się nad sobą i uznanie, że trzeba posługiwać się na równych prawach zasadami moralnymi i zasadą skuteczności.

Niedługo będziemy obchodzić piątą rocznicę 13 grudnia. W jej przeddzień zarówno siła jak i swoboda ruchów są po stronie władz. Uwolnienie w ostatnich tygodniach większości więźniów politycznych jest świadectwem owej swobody manewru. Trzeba też przyznać, że ekipa Jaruzelskiego wykazała się wyjątkową sprawnością socjotechniczną, łącząc zdolność do brutalnej represji z finezyjnym wygrywaniem środowiskowych uprzedzeń, indywidualnych i grupowych ambicji czy obaw przed rzeczywistymi zagrożeniami. Wszystko to czyniąc w celu zrealizowania własnego programu „normalizacji”. Doskonałym przykładem takiego działania może być pojawienie się w publicystyce różnych autorów, upatrujących w cywilizacyjnej degradacji Polski i zagrożeniach ekologicznych argumentu za jakąś formą kompromisu z władzą. Realności zagrożeń nikt nie jest w stanie zanegować, podobnie jak faktu, że nie można ich zwalczyć inaczej niż przy udziale państwa. Jedyną zaś rzeczywistą odpowiedzią z jego strony jest zapowiedź dalszego rozwoju przemysłu ciężkiego, rujnującego środowisko naturalne i — stojący już i tak na głowie — bilans ekonomiczny. Nie ma zatem kompromisu, nie ma zgody co do walki z podstawowymi zagrożeniami społecznymi, stało się natomiast to, iż kilku poważnych autorów w kilku poważnych pismach napisało, że kompromis taki jest konieczny. Jednym słowem dokonany został kolejny poważny krok na drodze do „normalizacji”.

Skoro zatem w dniu dzisiejszym opozycja nie może okazać swej siły w skali proporcjonalnej do tej, którą dysponuje władza, powinna przynajmniej udowodnić, iż nie jest uwieczona we własnych schematach myślenia, jak również, iż nie jest skłonna dać się uwieźć w tych, które usłużnie i sprawnie podsuwają komuniści. Jeżeli opozycja pozostanie zatopiona w swej „anielskości”, odstępując skuteczność działania w ręce ugodowców, będzie to niewątpliwie abdykacja. Pewnie bardziej szlachetna od tej, która może stać się udziałem Europy Zachodniej, ale z pewnością równie bezsensowna.

Michał OSTROWSKI

wrzesień 1986 r.

Trzecie „buty”

Janowi Józefowi Szczepańskiemu

Przypadek zrzucił, iż przeczytałam niedawno dwa (jedno po drugim) opowiadania pod tym samym tytułem: „Buty”. Pierwsze z nich to błyskotliwy reportaż Ryszarda Kapuścińskiego z wojny izraelsko-syryjskiej o wzgórze Golan, a pointę jego stanowi cowieczorny stan butów żołnierzy powracających na noc do Damaszku. *Buty strasznie zakurzone — były ciężkie walki. Buty zakurzone ot, tak sobie — spokój na froncie. Buty mokre, jakby wyjęte z wody — fedaini walczą na Hermonie, gdzie jest śnieg. Buty cuchnące ropą — umazane w smarze — musiał być bóg pancerny, czołgiści mieli ciężki dzień.* Tak więc damasceńskie czyścibuty miały najpewniejsze informacje z frontu, których brak było w oficjalnych komunikatach.

Drugie „Buty” — Jana Józefa Szczepańskiego — to wnikliwa, wielowarstwowa i po conradowsku męska analiza spustoszeń moralnych, jakie niesie w sobie wojna: partyzanci polscy wypełniają mniej lub bardziej chętnie rozkaz rozstrzelania wziętych do niewoli własowców, bo potrzebne im są ich buty, *conditio sine qua non* dalszej walki o słuszną przeciw sprawę. Oczywiście upraszcam problem i subtelnie przeprowadzone narastanie dramatu sumień o różnych wrażliwościach.

Te dwa, tak różne opowiadania, związane jedynie tytułem, wyzwoliły we mnie nagle obrazy i wydarzenia zepchnięte na dno podświadomości, ale tkwiące w niej, jakby zamrożone. Jan Józef Szczepański rozgrzał je i odtajały. Niechaj zatem pozwoli, abym jemu złożyła mój kronikarski raport, w którym będzie mowa o wojnie i o butach, a także o literaturze, w czasie wędrówki warszawskich cywilów przez Polskę w pamiętnych dniach września

1939 roku. Dramatu nie układam — sam się odcisnął jak pieczęć w czerwonym laku.

Trzeciego września zapadła decyzja, że Polskie Radio ewakuuje z Warszawy swoich pracowników, którzy będą mogli się przydać jeszcze w radiostacjach Wilna, Baranowicz i Lwowa, bo Raszyn już nie działał. Po kilku pośpiesznych telefonach dopadliśmy z mężem pociągu jadącego przez Siedlce w kierunku Lublina. O naszym ostatnim spotkaniu z Witkacym na spalonej stacji w Łukowie już pisałam. Nie pamiętam którego dnia dowlekleliśmy się do Lublina, dość, że nocowaliśmy tam u rodziców malarki Leokadii Bielskiej, którzy przyjęli nas niezwykle serdecznie i gościnnie i pierwszy raz od opuszczenia Warszawy mogliśmy się umyć, wyspać i najeść. Rano stawiliśmy się w lokalu Związku Literatów, gdzie była wyznaczona zbiórka radiowców. Tam złapał nas niemiecki nalot samolotowy na Lublin z 9 września. Wszyscy zbiegli do piwnic. Wiedziałam, że mąż mój cierpi na klaustrofobię, więc pozostaliśmy w pustym biurze na parterze trzypiętrowej kamienicy trzymając się za ręce i licząc wybuchy bomb. W pewnej chwili gwałtowny podmuch rzucił nas o ścianę i byliśmy pewni, że bomba trafiła w nasz budynek. Kiedy alarm odwołano, wyszliśmy na ulicę. Sąsiedni dom leżał jak wzgórze gruzu. Po ulicach biegali ludzie: zobaczyliśmy Stefana Jaracza pomagającego nieść na noszach własną córkę, która zaczęła rodzić. Z dała ku nam zmierzały trzy postacie zupełnie czarne z połyskującymi białkami oczu i dopiero kiedy podeszły bliżej, rozpoznaliśmy Stefana Kisielewskiego z matką i żoną. Po godzinie wiedzieliśmy już, że Józio Czechowicz został zabity. Przez fasadę katedry przebiegała od góry do dołu skośna rysa pęknięcia.

Po krótkiej naradzie władze radiowe ustaliły, że Czesław Miłosz pojedzie do Lwowa, Antoni Bohdziewicz do Wilna, a Bolesław Miciński do Baranowicz. Pożegnaliśmy się z Czesiem i Antkiem i zaopatrzeni w jakieś wiktuały przez państwa Bielskich — wyruszyliśmy pociągiem w kierunku Baranowicz. Nie ostrzeżliwano już nas po drodze i można było złapać oddech. Jak to zwykle bywa po dniach napięcia, kiedy życie liczy się na minuty — myśli nasze chwytają się obsesyjnie jednego tematu, jako punktu oparcia. Mego męża trapił jedynie niepokój, czy aby nie poronie w szóstym miesiącu ciąży i nieustannie pytał mnie, jak się czuję, co doprowadzało mnie do rozpacz, bo nie mógł pojąć, że czułam się lepiej od niego i miałam absolutną pewność ciężarnej kobiety, że nic złego nie może mnie dosięgnąć. Myślałam obsesyjnie tylko o tym, że wychodząc w pośpiechu z domu zostawiłam na tapczanie wiązki kuropatw, które rzucił mi od drzwi mój kuzyn Wiktor Przybora, bo wpadł właśnie 3 września rano do Warszawy. „Ku-ro-pat-wy się zaśmierz-ną i tap-czan zgni-je” — migało mi w głowie w takt stukotu pociągu. Nie myślałam wcale o tym,

że wyszliśmy z domu tak jak staliśmy: Bolek w płaszczu prochowcu i w lekkich paryskich mokasynach, ja w jedwabnej letniej sukience i obszernym płaszczu wełnianym. W maluteńkiej walizeczce mieliśmy ręcznik, mydło, parę zmian bielizny i ani jednego swetra! W ostatniej chwili zgarnęłam do jakiejś szmatki srebrną cukiernicę i srebrne sztućce — nasze prezenty ślubne i jedyny nasz „trwały majątek”.

Cukiernica była ciężka i bombiasta z dwoma uszkami po bokach i wieczkiem zakończonym owocami, a na wybrzuszeniach widniały monogramy B.M., dziadka mego męża, również Bolesława. Traktowałam ją z atencją należną pamiątkom rodzinnym, czyściłam „Sidolem” i dumą napawały mnie jej połyski na okrągłym stoliku w pokoju Bolka. Mój ojciec wyposażył nas w zgrabne mebelki, robione na zamówienie według moich rysunków, aby wymiary ich pasowały do zakamarków naszego dwupokojowego poddasza na Saskiej Kępie. Pamiętam, że kiedy kupiliśmy bardzo mieszczarski, ciemno-niebieski dywan o perskich wzorach i rozłożyliśmy go pod okrągłym stolikiem z cukiernicą — odtańczyliśmy triumfalny taniec śpiewając głośno: „mamy dywan! mamy dywan!”: Nobilitował mały pokój na salon przyjęć. Radował nas każdy nowy nabytek w naszym mieszkanku: piękny, jesienny pejzaż podtatrzański darowany przez Rafała Malczewskiego, marmurowa główka Zeusa ofiarowana przez Julka Krońskiego, samowar mojej matki uratowany z Kijowa, zasłony na okna kupione w „Lnie wileńskim” na Tamce, książki z dedykacjami przyjaciół, pisarzy i poetów, kolejne przekłady Conrada otrzymywane od Anieli Zagórskiej w miarę ich ukazywania się. Za oknami połyskiwała Wisła, w której rankami się kąpałam i raz nawet udało mi się ją przepłynąć w obie strony, mimo że prąd znosił mnie mocno na most Poniatowskiego.

A tymczasem kuropatwy gnily na tapczanie i nic nie mogło mnie oderwać od tego natrętnego obrazu. Nie wiedzieliśmy przecież, że nazajutrz po naszym wyjściu z domu bomba trafiła w nasze poddasze, mieszkanie zostało gruntownie okradzione i tylko kilka mebli wywiozła moja matka do kuzyna Przybory do Mińska Mazowieckiego.

Baranowicze wydały nam się „gdzieś w zaunyńskim powiecie”. Drewniane, szare domki, oszalowane pionowymi deskami, były skośnie ustawione węglami do szerokiej niebrukowanej drogi. Oprócz rzadkich, kalekich sosen żadnej zieleni dookoła, a nad tym wszystkim stercząca żelazna wieża radiostacji. Pejzaż i atmosfera „sybirskiego etapu”. Dostała nam się kwatery w pobliżu radiostacji w domu pani Starck: jej mąż inżynier, Niemiec, zniknął przed 1 września, podejrzany o szpiegostwo; ona, Żydówka o płaczącym wyrazie twarzy, spojrzawszy na mój brzuch, wyjęła z kredensu małą suchą bułkę i podała mi mówiąc: „nie mam nic

do jedzenia w domu, tylko tę jedną bułkę, ale niech ją pani weźmie". Ten jej gest sprawił, że zapamiętałam jej nazwisko.

Przez trzy dni od świtu do północy tkwiliśmy w budynku radiostacji nasłuchując komunikatów w językach francuskim, niemieckim, rosyjskim i czeskim (angielskiego nie znaliśmy). Stenografował je, a Bolek redagował i nadawał co parę godzin. Wygłosił nawet jakieś improwizowane przemówienie „podtrzymujące naród na duchu”. Warszawa się trzymała i to było najważniejsze! Po trzech dniach nalot bombowy dosięgnął także Baranowicz, niszcząc radiostację. Byliśmy właśnie w odległej knajpie na obiedzie i potem oglądaliśmy gęsto rozsiane leje wokół wieży, podziwiając precyzyjnie trafień.

Nie pamiętam niestety, kto stanowił naszą kilkusobową ekipę baranowicką, wiem tylko, że kiedy zebraliśmy się przed zrujnowaną radiostacją pośród lejów — szefowa w randze pułkownika (mówiła się do niej „pani pułkownik”), energiczna i dzielna blondynka, powiedziała twardo i zwięźle: „Proszę państwa, Polskie Radio przestało istnieć, państwo jesteście wolni i możecie udać się dokąd chcecie, życzę szczęścia!”. Wypłaciła każdemu trzymiesięczną gażę i odjechała służbowym samochodem. Owo „przestało istnieć” smagneło nas po twarzach jak pierwszy wstyd kłęski tego września.

Po krótkiej naradzie z Bolkiem postanowiliśmy dążyć w kierunku Rakowa, majątku p. Kazimierza Zdziechowskiego, położonego na samej granicy z ZSSR. Raków zapisał się w literaturze przedwojennej jako miejsce akcji sensacyjnej powieści *bestseller'a* „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” przemytnika Sergiusza Piaseckiego, który napisał ją w więzieniu, bodaj czy nie za namową Melchiora Wańkowicza, i za tę książkę został zwolniony przed upływem terminu kary. Moda na odkrywanie tak zwanych samorodnych talentów literackich spoza warstwy inteligenckiej była ogromna: Szymanowski odkrył Uniłowskiego, Kasprowiczowa lansowała Worcella, Nałkowska Piętaka... Ale dla nas Raków oznaczał schronienie pod gościnnym dachem państwa Zdziechowskich, z którymi umawialiśmy się w Słaboszewku, nie dalej jak przed miesiącem, iż w razie wybuchu wojny wszyscy będziemy dążyli w kierunku wschodnim. Na mapie wyglądało to niedaleko, na północny wschód od Baranowicz. Wynajęliśmy więc konia z wozem i woźnica-Poleszuk miał nas tam zawieźć. Dwaj samotni pracownicy Radia — skrzypek Adam Szpak i śpiewak-baryton pan K. (nazwisko uleciało mi z pamięci), przyłączyli się do nas i było nam raźniej we czwórce. Pan K. był rosnym tęgawym brunetem o falującej czuprynie, miękkich rysach twarzy, w okularach i berecie. Adaś Szpak, drobny, łysawy Żyd o pociągłej, delikatnej twarzy i cienkim nosie przypominał nam Józefa Wittlina, do którego mieliśmy ogromny sentyment.

Wędrowka nasza trwała cztery dni z trzema noclegami po drodze. Główną przeszkodą okazały się poleskie i nowogrodzkie drogi, układane z sosnowych pni, na których wóz niemiłosiernie podskakiwał, woleliśmy więc iść pieszo, a dla mnie owa trzęsionka była najbardziej niewskazana. W ten sposób mogliśmy posuwać się po 15 km dziennie. Pierwszy nocleg wypadł nam w Szczorsach, w opustoszałym dworze Chreptowiczów. Tam wkroczyliśmy w mickiewiczowską atmosferę i przez całą dalszą drogę wszyscy przypominaliśmy sobie, co kto umiał z Mickiewicza deklamując głośno fragmenty, niby katechizm, wyuczony od dziecka na pamięć. Były więc i „Pójdźcie o dziatki” i „Z wień Alpuhary”, „Słuchaj dziewczeczko”, „Dziewica bohater”, „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu”, „O roku ów!” i prawie wszystkie księgi „Pana Tadeusza”. Nie spotykaliśmy żywej duszy na drogach, uchodźcy z Warszawy nie szli tymi szlakami, miejscowa ludność nie ruszała się z domów, kraj był jakby zamarty w bezruchu w cudownym słońcu tego września i tylko po mijanych wsiach pytano nas o wiadomości z frontu.

Na którymś odcinku drogi woźnica wskazał nagle batem w lewo i powiedział: „a ońdzie o Świteż, będzie ze dwie wiorsty w bok”. Nie potrafiliśmy wyrzec się pielgrzymki do Świtezi! Skręciliśmy w lewo nakładając drogi, która jak wąwóz przeciskała się przez dwie ściany ciemnego boru, aż na jej końcu otwarła się z nagłą okrągłą arena leśnego oka. *Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie, / Do Płuzyn ciemnego boru / Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie, / Byś się przypatrzył jezioru...* — deklamowaliśmy już chórem, a echo leśnej ściany powtarzało nasze słowa.

Wszyscy umyliśmy się w życiodajnej wodzie z jakimś poczuciem świętokradztwa, bo przecież poeta nakazał jedynie podziwiać. Dostrzegłam nagle, że Bolek pierze swoją chustkę do nosa — była cała zakrwawiona i „święcona woda” Świtezi zaróżowiła się przy jasnym piaszczystym brzegu. Serce we mnie zamarło, ale udałam, że tego nie widzę: każda wzmianka o gruźlicy była tabu między nami. Od tej chwili jednak wyławiałam uchem już tylko jeden dźwięk: kaszel mego męża, który przerażał więcej niżli wybuchy bomb, bo trafiał celnie w nas oboje. „Byle dotrzeć do Rakowa — myślałam — tam odpoczniesz i zajmiemy się tobą...”

Ostatni nocleg przed Rakowem wypadł we wsi Iwanica. Zatrzymaliśmy się w zajeździe odprawivszy woźnicę do Baranowicz. „Pozostało jeszcze tylko 16 km do Rakowa, jutro zatelefonujemy do majątku po konie i będziemy w domu!” — mówiliśmy sobie rażno. Nikt z nas nie miał przy sobie kalendarza i w zajeździe powiedziano nam, że to dzień 16 września. Kiedyśmy się rozbiegali w schludnym pokoju, zauważyłam, że mokasyny Bolka są

dziurawe na wylot. „W Rakowie na pewno znajdują się jakieś buty dla ciebie” — powiedziałam i zasnęłam twardo z uczuciem błogiej pewności, że oto jutro już kres naszej dwutygodniowej wędrówki.

Nazajutrz obudził mnie delikatnie Bolek o piątej rano. Zdziwiłam się, że już jest na nogach, ubrany i niespokojny, choć zaledwie świtało. Powiedział ostrożnie: „Ubierz się prędko, bo coś niedobrego się dzieje, podobno bolszewicy przekroczyli granicę...”. Dotarło to do mnie dopiero, kiedy wyszliśmy na duży plac przed zajazdem. Wokół tego centrum wsi stały główne budynki: zajazd, remiza strażacka, posterunek policji i wójtostwo. W szarym chłodzie przedświtujacych na placu grupka miejscowych władz, nasłuchująca w ciszy dalekiego miarowego sąpiącego grzmotu. „To czołgi — powiedział ktoś — zaraz tu będą”. Zanim jednak ktokolwiek zdążył to skomentować pojawił się nagle od wschodu konny oddział KOP-u, który wraz z czterema wozami ekwipunku i amunicji zajeżdżał pośpiesznie na plac. Wszyscy rzucili się ku dowódcy i obraz był jak z Kossaka, a polski oficer na koniu wydał się nam w tym momencie świętym Jerzym-wybawcą. Potwierdził, że przed pół godziną wojska ZSSR przekroczyły granicę i posuwają się w głąb kraju szosami i bitymi drogami. On ma rozkaz wycofania swego oddziału na pomoc Warszawie i jest szansa przeciśnięcia się leśnymi bocznymi drogami, równoległe do wkraczającej armii, unikając z nią starcia. Mój mąż bez namysłu zameldował dowódcy: „Jesteśmy tu w czwórce, ewakuowani pracownicy Polskiego Radia, moja żona jest w ciąży, czy możemy przyłączyć się do waszego oddziału, by wracać do Warszawy?”. Oficer powiódł po nas badawczym spojrzeniem i poprosił o dokumenty, po czym zapytał: „Czy panowie umiecie strzelać?”. Na twierdzącą odpowiedź zadecydował: „Możecie na własną odpowiedzialność iść z nami, ale tylko pani może korzystać z wozu, nie wolno nam koni przemęczać. Proszę nie rozmawiać, zachowywać się cicho i spełniać wszystkie moje rozkazy”. Nie minęło kilka minut, a już wyruszyliśmy w powrotną drogę na zachód: dowódca na czele oddziału, w środku wozy, z tyłu ariergarda z kilkunastu żołnierzy. Siedziałam na drewnianych skrzynkach z ręcznymi granatami, litościwy żołnierz-woźnica ułożył je tak, że tworzyły ławę z oparciem pod plecy. Od niego też dowiedzieliśmy się, że cały niemal oddział — to sami poznaniacy.

Myślałam wyłącznie o dziurawych butach Bolka i gdy tylko dowódca niknął nam z oczu sforsując się do przodu, zsuwałam się z wozu błagając męża, aby choć na chwilę zajął moje miejsce i odpoczął. Tak zmienialiśmy się we czwórce po kolei, i nie zapomnę postawy naszych towarzyszy, którzy odstępowali ów

przywilej Bolkowi, sami prawie z niego nie korzystając. Pod wieczór lunął pierwszy jesienny deszcz tego słonecznego dotąd września i nie ustawał przez dwie i pół doby. Już po paru godzinach byliśmy przemoczeni do nitki i nic nie pomogły wojskowe koce, które nam rozdano, osłaniając szczerlnie brezentowymi płachtami jedynie skrzynki z amunicją.

Nasz odwrót trwał trzy dni i dwie noce, oddział wypoczywał tylko na krótkich dziennych postojach, przeznaczonych na gorącą zupę z kotła. Posuwaliśmy się leśnymi ciemnymi drogami, pośród skrzypienia kół, parskania koni, bliższych lub dalszych łomotów czołgów i kaszlu mego męża, zagłuszanego szumem siekającej ulewy. Z odrętwienia wyrwał nas co pewien czas głos dowódcy: „No jak tam, cywile? Trzymacie się?”. — „Tak jest, znakomicie, panie kapitanie!” — odpowiadaliśmy chórem. Drugiego dnia nad ranem podjechał do nas wyraźnie spieszący: pokazał nam mapę, z której wynikało, że musimy przeciąć szosę i ryzykujemy natknięcie się na sowieckie oddziały. „W razie czego wydajemy bitwę — oznajmił — więc na trzy gwizdki cywile do mnie, a panią muszę nauczyć odbezpieczenia granatów”. Pojęłam tę sztukę od razu, żałując jedynie, że nie mogę wypróbować siły rzutu, by nie robić hałasu. „Niech pan będzie spokojny, kapitanie — powiedziałam — w szkole na gimnastyce dobrze rzucałam kulą, dyskiem i oszczepem”. Roześmiał się i odjechał na czoło oddziału. Muszę wyznać ze wstydem, że trzymany w ręku granat wzbudził we mnie poczucie mocy i czegoś w rodzaju mściwej radości, pomyślałam o markietance Żubrowej, a może nawet o „dziewicy bohater”... i także się roześmiałam. Moim towarzyszom, oprócz ciężkich mokrych koców, zaciążyły dodatkowo wydane im karabiny i przez cały dzień wszyscy byliśmy zmobilizowani i napięci w oczekiwaniu na zapowiedziane trzy gwizdki. Nie rozległy się jednak i tylko w nocy przeprowadziliśmy nasze wozy przez wąziutki zapadający się mostek, co zabrało nam sporo czasu i wysiłku.

Trzeciego dnia rano, kiedy ulewa zelżała zamieniając się w gęstą i przenikliwą siąpiawicę — kapitan oznajmił głośno: „Udało mi się skontaktować z dowództwem garnizonu w Grodnie — niestety mamy rozkaz poddania się i wywieszenia białej chorągwi”. Znowu smagneło nas po twarzach drugim wstydem klęski, a wśród żołnierzy rozległy się głosy: „Niech pan kapitan własne gacie wywiesi — my się nie poddamy!”. Udał, że nie słyszy i wydał energiczny rozkaz: „Spalić natychmiast skrzynkę z papierami wojskowymi i wywiesić białą chorągiew!”.

W mokrej trawie leśnej polany, na której staliśmy ciasnym kołem na baczność, ognisko nie chciało się zapalić, papiery dygotały i skwierczały, aż wreszcie ogień zatlił niskim płomieniem.

Któryś z żołnierzy wyciągnął nad nim zziębnięte ręce, ale kolega go ofuknął: „Nie godzi się grzać rąk przy takim ogniu” — warknął i żołnierz opuścił ręce. Była to jedyna chwila, w której załamalam się w bezgranicznej rozpaczycy — koniec Ojczyzny, przestała istnieć... Na szczęście w strugach deszczu nikt nie zauważył jak niepowstrzymana fala łez załała mi twarz, serce i ostatni wolny skrawek ziemi, na której staliśmy na baczność nad dogasającą kupką popiołu.

Dalszy nasz marsz przypominał tragicznie milczący pochód za pogrzebem. Nikt nie śmiał podnieść oczu na mokrą, białą, sflaczałą szmatę kołyszącą się na bagnecie przed nami. Oddział miał być rozbrojony przy pierwszym spotkaniu z oddziałami sowieckimi i żołnierzom obiecano wolny powrót do domów. Po południu dotarliśmy do wsi, zajechawszy przed skromny biały dworek z ganeczkami. Był to zarząd stadniny państwowej. Po prawej stronie stały ogromne stodoły i budynki gospodarcze, po lewej stajnie, a wszystko razem tworzyło obszerny kwadratowy podwórzec. Żołnierzy rozlokowano po stodołach na sianie, konie po stajniach, nas czworo przygarnął dwór. Mąż mój dogadał się z wąsatym dyrektorem majątku do jakichś wspólnych znajomych i mogliśmy nareszcie wysuszyć ubrania i buty przy kuchennym piecu i wyspać się po dwóch dobach marszu w zimnym deszczu. Obfita kolacja zgromadziła przy stole rodzinę dyrektora, żonę i kilkunastoletnie dzieci, wraz z nami i kapitanem. Znalazła się nawet nalewka na rozgrzewkę. Wymieniano niewesołe informacje i niejasne wiadomości. Majątek stał dotąd nienaruszony, nie leżał widać na szlaku wojsk sowieckich, które zajęły już pobliską Lidę.

Na nocleg przydzielono nam obszerny pokój z dwoma tapczanami — mieszkanie nieobecnego pracownika majątku, zmobilizowanego w przeddzień wybuchu wojny. W szafie wisały jego ubrania i stały rzędem buciki wszelkiego rodzaju: kalosze, sandały, tenisówki, półbuciki i para wysokich butów z cholewami. Wydały mi się w sam raz na miarę Bolka i poprosiłam, aby je przymierzył: pasowały jak ulał. — „No, nareszcie będę spokojna, że nie idziesz boso!” — Nasi obaj towarzysze ucieszyli się wraz ze mną, a dyrektor zapewnił, że buty są do wzięcia, bo ich właściciel na pewno nie wróci. — „Zresztą — dodał — jak tylko białoruska wieś się rozzuchwala, rozgrabią tu wszystko co do joty, a i my nie ocalejemy, bo nie mamy dokąd uciekać...” — Nie przeczuwaliśmy, że jego przewidywania spełnią się już nazajutrz.

Po dziesięciu godzinach kamiennego snu w czystej i suchej pościeli, cieszyliśmy się właśnie suchością naszych ubrań, kiedy otworzyły się drzwi naszego pokoju i stanął w nich oficer sowiecki. Zasalutował i poprosił o dokumenty. — „Nu, samyje artysty —

powiedział — *cztoże dalsze dumajecie diełat’?*” — „*Wazwraszczajemsia w Warszawie*” — odpowiedzieliśmy. — „*Warszawa dierżytsa* — powiedział pocieszająco — *nu, wy gieroicznych narod, tolko organizacji u was nikakoj!*” — i wyszedł z pokoju uściskawszy wszystkim ręce. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, a już zapukał nasz kapitan: — „Przyszedłem pożegnać się z państwem, bo nie wiadomo czy kiedyś jeszcze się spotkamy; żołnierze właśnie złożyli broń i wracają do domów, tylko oficerowie są zatrzymani i nie wiem co mnie czeka... a te koce, które państwo macie, proszę zwrócić po wojnie wojsku polskiemu” — dodał już służbiście i zniknął. Najpewniej zginął, a mój ciemnozielony koc oddałam po wojnie choremu na gruźlicę uczniowi szkoły rzeźbiarskiej w Zakopanem i sądzę, że nasz dowódca nie pogniwałby się o to.

W milczeniu wyszliśmy na ganek, gdzie zgromadzona już była rodzina dyrektora i pracownicy majątku. Cały wielki podwórzec wypełniony był gęsto zbitym tłumem podnieconego chłopstwa. Górował nad tym tłumem stojący na skrzyniach z amunicją sowiecki komisarz w czarnej skórzanej kurtce, który rozdawał chłopom karabiny, świeżo odebrane naszym żołnierzom. — „*Bieritie!* — krzyczał — *eta na was było!*” — Ze stajen rozlegał się kwik, rżenie i wierzganie koni wyciąganych za uzdy przez co silniejszych chłopów. Z najbliższych ciasnych szeregów kobiet dolatywały zjadliwe głosy, że dyrektorka nie zapłaciła jeszcze za pranie bielizny, ale nic to, powetujemy to sobie: ma ładną kanapę i sporo eleganckich bucików... Zapowiadało się na grabież i rzeź. Chwyciliśmy się z mężem za ręce i ruszyliśmy w ten rozjuszony tłum torując sobie drogę moim brzuchem, na którego widok baby odruchowo się rozstępowały i tak przedarliśmy się na środek dziedzińca (a za nami nasi dwaj towarzysze) — do komisarza. Przerwał rozdawanie karabinów, bo zaskoczył go mój wrzask po rosyjsku: — „Zaraz będę rodzic, odstawcie mnie natychmiast do szpitala do Lidy razem z mężem i braćmi!” — Odpowiedział, że właśnie wyrusza do Lidy konwój z rannymi żołnierzami sowieckimi i możemy się do nich przyłączyć. Wyprowadził nas na szosę, gdzie stały trzy wozy gotowe do odjazdu i wydał odpowiednie dyspozycje eskortie. Na drabiniastych wozach leżeli lub siedzieli ciężej i lżej ranni i ruszyliśmy szosą w milczeniu, przerażeni tym, co zostawialiśmy za sobą.

Spojrzałam na nogi mego męża: — „No i nie wzięłeś tych butów i znowu idziesz boso” — odezwałam się rozżalona. — „Nie mogłem wziąć cudzych butów — odpowiedział — bo takie są moje obyczaje. Czy chciałabyś, abym był jednym z tego tłumu?” — Schyliłam się do jego ręki i żartem pokrywając wzruszenie szepnęłam: — „Uwielbiam pana, panie Przełęcki...”

— „Ja panią także, nad życie, bardzo jestem szczęśliwy” —
odszeptał i zaniósł się kaszlem.

Po godzinie dotarliśmy do Lidy udekorowanej czerwonymi
wąskimi flagami, których białe połowy zostały po prostu od-
darte*.

Halina KENAROWA

* Powyższy fragment wspomnień zdecydowałam się opublikować po prze-
czytaniu artykułu p. Elżbiety Czerwińskiej pt. „Szkie do portretu Bolesława
Micińskiego” (*Więź* nr 10, październik 1984), w którym autorka słusznie
podkreśla bezkompromisowość moralną B. Micińskiego. Popełnia jednak
pomyłkę biograficzną pisząc, iż zmarł w sanatorium St. Hilaire du Touvet:
umarł w Laffrey, gdzie też został pochowany na wiejskim cmentarzu pod
kościółem.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Wiersze

Anna FRAJLICH

JAK Z BAROKU

W jasnym kręgu lampy ćmą jestem szarą
która odpoczywa po wypnionych
wokół lampy lotach.

Dwa różne światła w szybie się mijają
jedno z żarówki u mego wezłowania
a drugie światło u wezłowania świata
blade, nie naszą zapalone ręką.

Może je widzisz także w oknie swoim
albo uspioły o nim zapominasz.

My też mijamy się jak światła w oknie
i żadne z nas drugiego nie odbija
lecz w kwiatach w ptakach nasze jest odbicie
może w tym samym płatkun albo skrzydle
nagle się nasze dwa zbiegną zdziwienia
może odwróć głowę i wśród tłumu
nagle na twoje natknę się spojrzenie
i tyle tylko

a potem ćmą szarą
o szkło żarówki lub o szklaną szybę
uderzać będę pracowitym lotem...

... a może spłone
jak z baroku motyl.

Maj 1986

Anna FRAJLICH

Witold WIRPSZA

ODCHODZĄCEMU

Siadaj i pisz pamiętniki; nie dyktuj ich, bo
 Nie masz ich komu już dyktować. I na stojąco
 Przy pulpicie także ich nie pisz: nie będą to
 Wiersze Goethego. Nie używaj długopisu, weź raczej
 Staroświecką stalówkę w drewnianej obsadce
 I maczaj pilnie co kilka słów w kałamarnu.

Zasiądź w rozłożystym dębowym konfesjonale;
 Znaleźć takie można jeszcze po strychach
 Wiejskich kościołów. Są zakurzone i ciemne w środku,
 Spenetrowane przez grzechy wyznane szczerze,
 Albo przemilczane, albo skłamane, co zresztą nie jest
 Ważne. Z mrokiem można sobie poradzić: cudze grzechy
 Świecą jak próchno po nocy, rozświetlą ci duszę.

Pisz, co ci się nawinie pod pióro. Możesz koloryzować,
 Zmyślać nawet: zeszyt niech będzie w kratkę,
 Aby ci litery wychodziły równo. Tak jest, wyjdą ci litery,
 Tak jak wychodzi zapas wina poecie. Świat jest ogromny.
 I łóżko niech stoi w pobok konfesjonatu: daleko
 Na odpoczywanie nie należy chodzić, również i na wieczne.

Witold WIRPSZA

Berlin, 18 września 1982 r.

(Z ostatniego tomu wierszy pt. „Przypomnienie Hioba”)

Maria KURECKA

BUCHALTERIA

Ciężkie rachunki: bo i któż potrafi
 szczerze wykazać — kto winien, kto ma.
 Każdy tam chyba na dłużników trafi,
 którzy dowiodą: on winien — nie ja.

Zabiorę sobie z tej ziemi tak sennej
 odpisy tylko wielkich długów moich
 Rachunek bowiem zostanie niezmienny —
 A siwa ziemia
 jak stała — tak stoi.

SPOTKANIE Z CENTAUREM

Biologicznie — centaur kiwa głową —
 stara jesteś —
 masz przeszło sto lat

Kalendarzowo — centaur kręci głową —
 starczy tego może:
 obejrzyś jeszcze świat!

A hi me! Nie obejrzę, nie chcę:
 Zamknął mi się
 na zawsze czas —

Koniozadny: stańże się Pegazem
 popędzimy razem
 w ostateczny las!

„NAT.”*

Nie na tym lotnisku
 kiedy bomba —
 strzępy tylko
 pokrwawionych ciał?

I nie przy stoliku
 gdzie czekali —
 (każdy z nich
 zjeść coś po prostu chciał)?

I nie w banku —
 I nie na ulicy —
 I nie wtedy, gdy dwaj przeciwnicy — ?

Nie: gdy ręka oparcia nie doszła...
 Jakże piękny, łagodny ten świat
 Kiedy lekarz w akcie zgonu pisze
 tylko proste, zwięzłe słowo: „nat.”.

* „nat.” = międzynarodowy skrót w aktach zgonu, jeśli śmierć była „naturalna” (niegwałtowna).

**

Zdyszany kronikarzu — odpocznij,
Patrz: cisza tutaj, woda czysta,
I nikt nie zamąci twego snu.

Wiem: musisz biec i wołać przez całą drogę
(dawno już ktoś to napisał) — :
Trzeba zostawić świadectwo.

Skrzydeł od Hermesa nie pożyczysz —
Zardzewiałe wagony powiozą cię na dalszy los:
tam ciemność — ale i wyciągnięte ręce —

Jedź do nich — tu już nie wracaj —
(Zimna ziemia tak szczelnie oczy mi przykryje)
Zdyszany kronikarzu — odpocznij —
rozległe przed tobą jeszcze drogi.

Maria KURECKA

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

**1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222**

**GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556**

Archiwum polityczne

Praszczaj Daniłow

WIDZIANE Z BRUKSELI

W Moskwie zapadał późno-sierpniowy zmierzch. Mikołaj Daniłow, 52-letni korespondent wpływowego tygodnika amerykańskiego *US News and World Report*, powiedział do żony: „Będę na kolacji” i wyszedł na jeszcze jedno z serii swych pożegnalnych spotkań. Po ponad 5-letnim pobycie w ZSSR Daniłow wracał do USA. Miał wziąć roczny *sabbatical* (kiedy *Kultura* zacznie nam dawać takie urlopy?) i napisać książkę o swoich rosyjskich (stąd nazwisko) przodkach: pierwszy nazywał się Aleksander Frołow, był dekabrystą w 1825 roku i za spisek przeciwko carowi spędził 30 lat w ówczesnym gułagu, drugi nazywał się Daniłow i był rzekomo ostatnim przed-bolszewickim szefem sztabu armii wszech-Rosji. Mniejsza. Zamiast na *sabbatical* do USA, Daniłow pojechał na szabes do więzienia Lefortowo w Moskwie.

Kilka godzin przedtem Daniłow udał się do parku na wzgórzach Lenina, aby pożegnać się z niejakim „Miszą” (nazwisko nieznane, a jeżeli znane to niepewne), młodym człowiekiem żywym i sympatycznym (tak się Daniłowowi wydawało), którego spotkał był przed czterema laty w mieście Frunze, stolicy egzotycznej Kirgizji, w środkowej Azji. Misza potem nieraz jeszcze spotykał Mikołaja, wręczając mu za każdym razem kopertę z ciekawszymi wycinkami z prasy kirgiskiej, trudno dostępnej w Moskwie. Tak było i tym razem. W atmosferze absolutnej przyjaźni Mikołaj podarował Miszy kilka książek, a Misza wręczył Mikołajowi kopertę z wycinkami, po czym ze łąą w oku obaj panowie uściskali się i serdecznie pożegnali. *Praszczaj*, powiedział Misza i oddał się w półmrok lenińskich pagórków.

Daniłow nie zdążył otrzeć łez wzruszenia, kiedy nadjechała furgonetka, z której wysypał się pluton KGB-istów. Wyrwali Daniłowowi kopertę, założyli kajdanki, wrzucili do furgonetki i

zawieźli do Lefortowa. Daniłow nie zdążył więc na kolację, zdążył natomiast na pierwsze przesłuchanie, które trwało cztery godziny i zakończyło się oskarżeniem Daniłowa o szpiegostwo. W kopercie Miszy znaleziono bowiem nie wycinki z prasy kirgiskiej, a mapy i zdjęcia obiektów wojskowych i to naturalnie z czasów nie pradziadka dekabrysty lub dziadka generała, a jak najbardziej współczesne. Znaleziono także odpowiedni paragraf: art. 65 kodeksu karnego Republiki Rosyjskiej, który przewiduje więzienie od lat 7 do 15, lub karę śmierci z konfiskatą mienia za „przekazanie obcemu państwu danych mogących wyrządzić szkodę interesom ZSSR”. Dane znalezione u Daniłowa były wyjątkowo szkodliwe!

Daniłow został wtrącony do celi 2,5 m na 3 m, zabrano mu pasek do spodni i wyjęto sznurowadła z butów, ale zdjęto kajdanki, pozwolono zadzwonić do domu, żeby kolacja niepotrzebnie nie stygła, poinformowano, że będzie mógł golić się 2 razy w tygodniu, a także otrzymać książki, a nawet zmianę świeżej bielizny i zapowiedziano, że śledztwo może potrwać około 9 miesięcy.

Nie trwało, ale *casus* Daniłow zasługuje na uwagę. Jest zarazem banalny i oryginalny.

I banalny i oryginalny

Banalny, no bo życie korespondenta amerykańskiego czy w ogóle zachodniego w Moskwie nigdy nie należało do wyrafinowanych rozkoszy. Pomijając już trudności zawodowe, zablokowany dostęp do informacji, obowiązek czytania *Prawdy* i *Izwestii* i patrzenia na sowiecką telewizję, ożywającą się (z opóźnieniem) jedynie przy takich okazjach jak „awaria” w Czernobylu, życie prywatne umilane drobiazgami — jak przedziurawione opony, inwektywy w prasie, zaczepki i pobicie przez „nieznanych sprawców”, usypianie narkotykami przez Rosjan o szerokiej duszy w pociągu na Kaukazie — sprowadza się do krążeń w samochodach o żółtych i widocznych tablicach w zamkniętym obiegu getta granicznego. Najmniejsza awanturka, maleńki „skok w bok” jest nagrywany na magnetofon i na taśmę filmowców z KGB, najbliższy dansing, jak powiedział portier hotelu „Rossija”, jest w Helsinkach itd., itp. W 1982 roku Andrzej Nagórski, korespondent *Newsweek*, został ekspulsowany, bo za bardzo interesował się odzewem wojny afgańskiej w sowieckich regionach muzułmańskich; w 1984 roku szef biura *Newsweek*, Robert Cullen, był tak śledzony, że wolał wyjechać zanim KGB znalazłoby innego Miszę i kopertę z „wycinkami”. W 1977 roku Bernard Redmont, korespondent CBS w Moskwie, został przetrzymany w komisa-

riacie kiedy kręcił reportaż o produkcji — no i chlaniu — piwa w ZSSR. Bez ryzyka są tylko kontakty z agencją TASS i Nowosti i redaktorem Wiktoorem Louisem (patrz poprzednia *Kultura*), który ma zawsze do sprzedania świeżutkie informacje prosto z KGB. Nieufnosć wobec obcokrajowców nie jest w Moskwie niczym nowym. Od Mongołów do bolszewików nic się pod tym względem nie zmieniło: obcy, to potencjalny zakładnik, nadający się jedynie do ograbienia i sprzedania albo wymiany.

Ale *casus* Daniłow jest także bardzo niebanalny. Po raz pierwszy w ogóle w historii ZSSR dziennikarz amerykański akredytowany w Moskwie został nie wydalony czy przetrzymany przez kilka godzin, ale aresztowany i oskarżony. Tego nie było nawet za Stalina, to dopiero pokazał Gorbaczow.

Przypadek Daniłowa był niebanalny także z powodu tzw. kontekstu politycznego. Kreml oczywiście wie, że aresztowanie korespondenta amerykańskiego w sposób tak nachalnie prowokacyjny może wywołać oburzenie i protesty w USA. A przecież w chwili zasadzki na wzgórzach Lenina Związek Sowiecki wł sieć kontaktów z USA o gęstości bez precedensu w historii stosunków sowiecko-amerykańskich. Po prostu się nie rozstawiali: w Genewie (broń atomowa i kosmiczna), w Bernie (prawa człowieka i broń chemiczna), w Moskwie i Waszyngtonie (eksperci na najwyższym szczeblu o całości spraw kontroli zbrojeń), w Sztokholmie (środki... zaufania), spotkania na temat konfliktów regionalnych: Afganistan, Bliski Wschód, Afryka Południowa... W dniu kiedy Daniłow jadł kolację w Lefortowie, zjechała do Moskwy spora grupa *businessmen*ów, aby po raz pierwszy od siedmiu lat wziąć udział w otwarciu Targów Żywnościowych, wtedy także wróciła z USA ogromna delegacja, która podpisała z Amerykanami kilkadziesiąt (!!!) porozumień o wymianie kulturalnej, sportowej, naukowej (technologia!) i każdej innej. Tego samego dnia kiedy zamierzano Daniłowowi sznurowadła, prezydent Reagan publicznie się wściekł, albowiem *New York Times* ujawnił, iż Biały Dom zamierza pójść na spore koncesje wobec ZSSR, aby ułatwić zapowiedziane już spotkanie Shultza z Szewardnadzem, no i naturalnie szczyt Reagan - Gorbaczow.

Aż trudno zrozumieć. Jak to, to warto było wszystko to puścić w diabły za cenę zamknięcia jednego jedyne go dziennikarza amerykańskiego? Gdzie rozum tak chwalonego za rozwagę Gorbaczowa? Gdzie kolektywny rozum Biura Politycznego? Czy warto ryzykować tyle osiągnięć na głupiejącym w kolosalnym tempie Zachodzie, przeszkadzać w tak szybkim topnieniu w słońcu uśmiechu pana G. i jego małżonki resztek poczucia zagrożenia sowieckiego, czy warto poświęcić to wszystko dla jednej sprawy, jedyne go więźnia? Podważyć szanse szczytu, przerwać tę fantas-

tyczną zabawę, to — jak w filmie Chaplina „Dyktator” — podzucanie kuli ziemskiej przy pomocy pięści i kopniaków?

W Ameryce rzeczywiście powiało grozą. Shultz zwymyślał Moskwę od „handlarzy zakładnikami”. Weinberger uprzedził, iż negocjacje atomowe są w niebezpieczeństwie, senat zapłakał po raz pierwszy jednomyślnie (93%), nawet wielka prasa amerykańska wyraziła wątpliwości, czy postępowanie Gorbaczowa sprzyja porozumieniu i pokojowi na świecie. Dyrektor pisma zatrudniającego Daniłowa, niejaki Zuckerman, wybrał się osobiście do Moskwy, otrzymał natychmiast wizę i dostał się nawet do Lefortowa (na szczęście na krótko) i też uprzedził, że wszystko to może mieć złe skutki dla przyszłości ludzkości. Zuckermanowi się zdawało, że jest w więzieniu w Waszyngtonie i próbował żartować z KGB-istami. „Wyjeżdżam — powiedział uśmiechając się znacząco do organów — w czwartek i Daniłow pojedzie ze mną”. „Przypuszczam, że wątpię — odpowiedział amerykańskiemu anegdotcykowi oficer KGB — Daniłow poleci także, ale innym samolotem i nie wiadomo w jakim kierunku”. Zuckerman wrócił więc do USA, a Daniłow chodził nadal bez sznurówadeł.

Reagan osobiście też wstąpił na działo. Najpierw napisał grzeczny list „prywatny” do Gorbaczowa, gdzie dał swe prezydenckie słowo honoru, że Daniłow nie jest szpiegiem. Kiedyś zrobił tak Kennedy w liście do Chruszczowa. Wtedy poskutkowało i profesor Barghoorn, „sowietolog”, a także, wyszedł z ciupy w Moskwie, aby powrócić do swych badań nad tajemnicami Kremla w zaciszu uniwersytetu w Yale. Ale od strony Gorbaczowa nikt nie wołał. Zamiast grzecznej odpowiedzi pana sekretarza generalnego, nadeszły wiadomość o postawieniu Daniłowa oficjalnie w stan oskarżenia oraz wycinek, tym razem prawdziwy, z dziennika rządowego *Izwestia*, streszczający kompromitującą zawartość koperty przygotowanej przez Miszkę. Reagan nie mógł już dłużej być grzeczny. Ostro więc publicznie potępił i zażądał zwolnienia Daniłowa, bo jeżeli nie, to on nie gwarantuje za siebie i za szczyt.

Ale w Moskwie tak naprawdę nikt tym wszystkim się nie przejął. Daniłow siedział w ciupie, a pan Gorbaczow, a także jego doradcy od spraw zagranicznych, minister Szewardnadze i sekretarz KC Dobrynin (znawca i przyjaciel USA, był tam 23 lata ambasadorem), byli oficjalnie na wakacjach. Sprawa byle szpiega Daniłowa nie stanowiła naturalnie powodu, aby przerywać *dolce far niente*.

Sprawa Daniłowa już się zakończyła, ale stanowi ona tak wspaniałą *pars pro toto* naukowy, kliniczny przypadek z dziedzi-
ny stosunków sowiecko-amerykańskich, że warta jest studiów

także po epilogu. Oto więc w kilku punktach, dlaczego KGB nie mogło NIE aresztować Daniłowa.

Zakładnik

Po pierwsze więc, Daniłow był wzięty jako zakładnik przeznaczony na okup za zwolnienie Genadija Zacharowa, urzędnika departamentu naukowego ONZ, jednego z licznych szpiegów sowieckich w tej instytucji. Genadij został aresztowany w sierpniu na stacji metra w Nowym Jorku, kiedy wręczał 1.000 dolarów w zamian za kopertę z materiałami szpiegowskimi, tym razem autentycznymi. W roli „Miszy” wystąpił młody naukowiec z Trzeciego Świata, pracujący dla amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego no i także dla policji amerykańskiej.

FBI śledziła Zacharowa od kiedy przybył do ONZ, to znaczy od trzech lat. Postanowiła zakończyć hecę w sierpniu 1986 roku, bez związku z wielką polityką, a z powodów, że tak powiem, dumy zawodowej. Wyspa Zacharowa miała mianowicie poprawić reputację FBI i CIA, beznadziejnie skompromitowaną ucieczką podwójnych szpiegów: Jurczenki, a zwłaszcza Horwarda, pierwszego (o ile wiadomo) agenta CIA, który poszedł na służbę KGB.

Otóż — i trzeba to zapisać na dobro KGB — Moskwa zawsze bije się i to za wszelką cenę, aby odzyskać spalonego szpiega. Agenci KGB muszą mieć pewność, że centrala o nich nie zapomni, inaczej bowiem spadłaby ilość kandydatów do organów, a wzrosła liczba uciekinierów. Całość była tym bardziej drażliwa, że prestiżowy charakter pułapki Zacharowa w metro nowojorskim był ewidentny. Otóż, na to KGB zgodzić się nie mógł. Trzeba było zapewnić sobie odpowiedni towar na wymianę i to nie byle jaki, tylko taki, żeby jakościowo był w stanie zmusić Waszyngton do wymiany. W tym kontekście Daniłow był „szpiegiem” skrojonym na zamówienie.

Oczywiście jak na weterana pracy w ZSSR, Daniłow, który spędził tam w dwóch turach prawie dziesięć lat, okazał się wyjątkowo naiwny. Jest to tym bardziej niezrozumiałe, że dwa lata przedtem Daniłow już się raz znalazł na celowniku KGB. Miał wtedy szczęście, bo w roli Miszy miał wystąpić profesor Dawid Goldfarb, znany genetyk sowiecki (bez nogi, którą stracił w Stalingradzie), czekający od 10 lat na wizę do Izraela. KGB zaproponowało, aby w zamian za wizę Goldfarb wręczył „kopertę” Daniłowowi, ale stary refuznik odmówił, posłał KGB-istów w diabły, a wszystko dokładnie opowiedział Daniłowowi. Goldfarb ciągle jest w ZSSR, tylko już w szpitalu (cukrzyca i serce), Daniłow, który jak widać niewiele się nauczył, znalazł się w końcu w Lefortowie.

Gdyby Daniłow nie dał się nabrać, aresztowany zostałby naturalnie inny dziennikarz, bo zawsze w ZSSR znajdzie się jakiś Misza (to fatalne imię — czy pamiętacie sprawę niedźwiadka Miszy, symbolu olimpiady w Moskwie, którego brzuszki, rozpruty przez KGB na lotnisku w Moskwie, ujawnił wówczas „szpiega” belgijskiego?) z kopertą w rękę, ale kalkulacja okazała się absolutnie słuszna.

Pierwsza reakcja w USA polegała na ostrzeżeniach prasowych. Gazety były oburzone, ale spokojne: nie przesadzajcie, nie rozdmuchujcie sprawy, dla Rosjan ta afery wypadła także w niedobrym momencie. Niektórzy tzw. politolodzy oburzali się na FBI, że aresztowała Zacharowa w tak ostentacyjny sposób, inni atakowali prasę, że nadaje aresztowaniu Daniłowa rangę nadzwyczajną przede wszystkim w obronie interesów korporacji, że stawia solidarność zawodową prawie mafijną ponad interes państwa, który wymaga przecież dogadania się z Sowietami.

Druga reakcja Waszyngtonu polegała na wysunięciu propozycji wymiany szpiega Zacharowa na dziennikarza Daniłowa. Admirał Turner, były — za Cartera — szef CIA, który pozostanie w historii jako człowiek któremu udało się (prawie) zlikwidować wywiad amerykański, od razu zauważył, że Rosjanie nie lubią jak im się aresztuje szpiegów (Turner lubi?), że „Rosjanie nie uspokoją się, dopóki nie uda im się odzyskać Zacharowa”. Inni „fachowcy” też poddali surowej krytyce aresztowanie Zacharowa: „To nie był moment na aresztowanie sowieckiego szpiega” powiadali, jako że widać bywają w tych polowaniach okresy ochronne. Inni wreszcie sięgnęli do precedensów i zaproponowali „manewr Crawforda”, od nazwiska amerykańskiego *businessman*'a sypniętego przez jakiegoś Miszę za rzekomy „przemyt” w Moskwie, tuż po aresztowaniu dwóch autentycznych szpiegów sowieckich z aparatu ONZ-owskiego (co za zbieg okoliczności). Otóż na mocy tego „manewru” Crawford został wydalony z ZSSR, a obaj szpiegowie przekazani zostali pod „opiekę” ambasadora ZSSR w Waszyngtonie, znanego nam już Dobrynina. Tam, w kazamaty ambasady, poczekali na proces, dostali po 50 lat więzienia, ale po roku, przy pierwszej okazji, zostali wymienieni na 5-ciu dysydentów sowieckich.

Podejrzany o przyjaźń

Po drugie, Daniłow był skrojony na miarę także w aspekcie, że tak powiem, wewnętrznym. Jego aresztowanie miało stanowić podwójne ostrzeżenie skierowane z jednej strony do ludzi sowieckich, z drugiej do korespondentów zachodnich. *Casus* Daniłowa wyjątkowo pasuje do takiej operacji, albowiem poza wszystkimi

innymi elementami można mu nadać rangę prawdziwej walki klasowej. Jest to bowiem prawnuk, wnuk czy nawet syn generałów, emigrant kosmopolita (urodzony we Francji, naturalizowany w USA). A ponadto Daniłow, świetnie znający rosyjski, był więcej niż przeciętnie przychylny ZSSR. W czasach np. „Solidarności” Daniłow bez wstretu komentował pogroźki sowieckie wobec Polski, tłumacząc, iż ZSSR to super-potęga i że jej podstawowe interesy strategiczne powinny być uwzględniane i szanowane. A przecież wszystkim wiadomo, że tacy „przychylni” są najbardziej dla KGB podejrzani, bo nikt normalny i uczciwy nie może szczerze sprzyjać polityce i postępowaniu Moskwy.

I aby już nikt nie miał wątpliwości co do cynicznego charakteru operacji Daniłow, KGB zastosował wobec niego dokładnie taki sam scenariusz, co kilka lat wcześniej wobec Roberta Totha, jego kolegi z *Los Angeles Times*'a. Toth też był na kilka dni przed końcem misji w ZSSR, też chciał pisać książkę, też się żegnał i też miał dobre koneksje, m.in. z dysydentami. Jednak ostatnie *rendez-vous* także i jego zawiodło: też dostał kopertę, w której zamiast wycinków były tajne dokumenty z zakresu... parapsychologii. „Wpadka” Totha posłużyła później jako jeden z koronnych dowodów przeciwko Szczarańskiemu, oskarżonemu o kontakty z CIA, reprezentowaną w tym wypadku przez *Los Angeles Times*. Toth został wydalony do Kalifornii, a Szczarański do gułagu.

Teraz Daniłow pojedzie na Florydę, ale aluzja jest wyraźna i korespondenci są uprzedzeni: kiedyś za nadmierną wścibskość groziło wydalenie z ZSSR, obecnie żarty się skończyły, zamiast Laguna Beach jest Lefortowo. Nikt nie powinien wpadać w panikę, uspokoił prasę zachodnią rzecznik MSZ, ale, jak napisała *Sowieckaja Rossija* „nie możemy udzielać gościny tym, którzy nie ukrywają swej nienawiści do naszego kraju, swych paskudnych zamiarów, oczerniają nasz sposób życia i nasze reguły postępowania”. Ci np., którzy zbyt interesują się losem Żydów sowieckich, czy w ogóle stanem praw człowieka w ZSSR i „stali się marionetkami w strategii antysowieckich ośrodków dywersyjnych na Zachodzie, którym dostarczają fałszywych informacji i kalumnii”.

Pod adresem obywateli sowieckich lekcja ze sprawy „KGB versus Daniłow” jest także niedwuznaczna. Hasło *glasnost*’ czyli otwartość ich nie dotyczy. To taki pic tylko na użytek propagandy na zagranicę. Obywatele sowieccy nie powinni mieć żadnych złudzeń. Generał Czebrikow uprzedził ich na XXVII Zjeździe partii w lutym tego roku, iż cała armia szpiegów spenetrowała ministerstwa sowieckie, kraj jest w niebezpieczeństwie i czujność jest bardziej potrzebna niż kiedykolwiek. W kraju, w którym książka telefoniczna i plan miasta stanowią ciągle taje-

mnicę państwową, gdzie do ustawodawstwa karnego obok pojęcia tajemnicy państwowej, i tak już niesamowicie rozdętej, wprowadzono ponadto pojęcie tajemnicy zawodowej, dotyczącej pracy, jej warunków (braku ołówków np. czy papieru toaletowego), której łamanie karane jest długoletnim więzieniem, gdzie nie wolno pod karą więzienia przemocować obcokrajowca, ani nawet zabrać go na samochodową wycieczkę, w takim kraju afera Daniłowa stanowi faktycznie zakaz kontaktów z obcokrajowcami. Przy okazji sprawy Daniłowa korespondenci zachodni spytali z ironią rzecznika MSZ, czy wolno im odwiedzać obywateli sowieckich. „Tak — odparł dowcipnie rzecznik w Moskwie — ale pod warunkiem, że będą zaproszeni”. Przez „Miszę” naturalnie...

I na tym właściwie można by elementy składowe sprawy Daniłowa wyczerpać, gdyby nie okoliczności, które sprawiły, że z małej, brudnawej, szpiclowskiej kombinacji sowieckiej sprawa Daniłowa przeszła do kategorii wielkiej polityki międzynarodowej. Dwie hipotezy na ten temat zostały zaproponowane światu.

Hipoteza do wyboru

Hipoteza pierwsza zakładała, że tak jak było w 1964 roku, kiedy Chruszczow został obalony w czasie kiedy spędzał urlop na Krymie, tak i teraz KGB i wojsko skorzystały z wakacji Gorbaczowa aby pokazać światu, kto naprawdę w Moskwie rządzi. KGB miałyby być rzekomo niezadowolony z „modernizacji”, która wprowadza bałagan, „liberalizację”, osłabia władzę centralną, a przede wszystkim utrudnia kontrolę władz nad społeczeństwem, jednym słowem osłabia organy. Wojsko zaś miałyby nie tylko niedobre stosunki osobiste z Gorbaczowem, który ciągle jeszcze nie dopuścił przedstawiciela krasnej armii do Biura Politycznego, ale jest także rzekomo zaniepokojone osłabianiem potęgi wojskowej ZSSR poprzez dyplomatyczne ustępstwa Gorbaczowa, dogadywanie się z Reaganem, a przede wszystkim przedłużanie jednostronnego moratorium na próby nuklearne. Choć może to się wydawać dziwne, hipoteza ta znalazła na Zachodzie nabywców. *Washington Post* np. napisał, że jak wykazuje sprawa Daniłowa, KGB jest jedynym zwycięzcą w walce o władzę w trójkącie KGB - partia komunistyczna - rząd (o wojsku gazeta zapomniała, ale mniejsza, skoro już jest zwycięzca). Ktoś inny zauważył w tej samej gazecie, że KGB-istom udało się podważyć wysiłki Gorbaczowa zmierzające do poprawy stosunków z USA. *New York Times* podkreślił, że sprawa Daniłowa dowodzi, iż KGB nie zmieniło się mimo modernizacyjnych wysiłków nowego sekretarza generalnego i że interes polityczny Kremla musiał ustąpić wobec priorytetów KGB. Tygodnik *Observer* bardzo współczuł nie Da-

niłowowi, a Gorbaczowowi. KGB napsuł, popełnił okropną gafę — napisał tygodnik — a teraz biedny Gorbaczow musi kleić porzbijane kawałki jego „otwartej” polityki zagranicznej.

Druga hipoteza jest nieco bardziej skomplikowana. Otóż, w tej wersji, cała historia Daniłowa zostałaby wykoncypana przez samego Gorbaczowa. Jest to polityk twardy, prawdziwy człowiek sowiecki, bez żadnych skrupułów, następca nie żadnego Czernienki, a Andropowa, i uczeń Stalina, produkt a zarazem obrońca nomenklatury i monopolu władzy kompartii. KGB nie miało żadnego interesu, aby mu „zrobić dziecko na plecach”, albowiem Gorbaczow ma z KGB znakomite stosunki: trzech generałów KGB jest w Biurze Politycznym: Czebrikow — przewodniczący organów, Szewardnadze, obecnie minister spraw zagranicznych i Alijew, wicepremier. Jeżeli zaś chodzi o wojsko, to nie ma ono w ZSSR ambicji bonapartystycznych, nie ma zresztą powodu: dostaje wszystko, czego potrzebuje. Obecny minister obrony, marszałek Sokołow, jest postacią przejściową, Gorbaczow już rozstawia swoich ludzi: Łuczew jest jednym z pierwszych wiceministrów, Bielikow dowodzi grupą wojsk sowieckich w NRD — 380.000 ludzi, największe zgrupowanie wojskowe pod jednym dowódcą w Europie.

W tej drugiej hipotezie scenariusz Kremla byłby podwójny. Po pierwsze, Gorbaczow zrozumiał, że nie uzyska od Reagana tych koncesji, jakie Kreml uznał za niezbędne, aby Gorbaczow mógł bez obaw pojechać na szczyt do Waszyngtonu. Powrót z USA z pustymi rękoma, tak właściwie jak było po Genewie, nie przysporzyłby Gorbaczowowi autorytetu, tym bardziej, że podróż przez USA jest bardziej nerwowa niż herbatki w Genewie. Ale Gorbaczow nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za osłabienie szans szczytu. Szukał więc pretekstu, aby zmusić Reagana do wzięcia tego na siebie. Daniłow pod tym względem był obiektem idealnym. Kiedy FBI aresztowała Zacharowa i triumfowała nad KGB, Gorbaczow, aby odzyskać szpiega, nie kazał aresztować byle *businessman*'a czy urzędnika jakiegos przedstawicielstwa amerykańskiego, a właśnie dziennikarza. Był to bowiem jedyny sposób na przestraszenie kół najbardziej liberalnych w USA, to znaczy wielkiej prasy wschodniego wybrzeża. Gorbaczow grał prawidłowo, prasa zaczęła się go bać: „Ten facet jest rzeczywiście zdolny do wszystkiego, do brania zakładników, a nawet do zerwania”, powiedzieli. „Stawka jest za wysoka, w tym kontekście sprawa Zacharowa czy Daniłowa nie ma znaczenia”. „*Minor outrage* — napisał *Times*. — Trzeba coś zrobić. Inaczej Gorbaczow zrobi z Reaganem jak Chruszczow z Eisenhowerem po zestrzeleniu U-2 w 1960 roku: zepsuje szczyt”.

Po drugie, zupełnie niezależnie od wyniku operacji numer 1, Gorbaczow chciał podzielać na wrażliwość zachodnią, przekonać

nas o istnieniu frakcji na Kremlu. Nie jest to specjalność Gorbaczowa, na każdym etapie rozwoju realnego socjalizmu zachodni fachowcy odkrywali istnienie jastrzębi i gołębi na kremłowskich wieżach. Otóż, przeprowadzając aferę Daniłowa w sposób absolutnie brutalny, bezwzględny, nie zachowując żadnych pozorów, prowadząc sprawę tak, aby nikt nie miał wątpliwości, że została ona sfabrykowana od początku do końca, tak dalece, że nawet akt oskarżenia przeciwko Daniłowowi został przez KGB zredagowany identycznie jak przez FBI w sprawie Zacharowa, Gorbaczow mówi: patrzcie, z kim będziecie mieli do czynienia, jeżeli nie pomożecie mi pozbyć się jastrzębi. Jeżeli chcecie mieć szczyt, to musicie pójść na ustępstwa. Reagan musi zrozumieć, że powinien mi pomóc i subsydiowanym zbożem i zrezygnowaniem z części programu wojny kosmicznej.

„Po obu stronach żelaznej kurtyny”

No i się udało. Gorbaczow zagrał jak Sarasate. Rzadko który koncert wywołał tak liczne recenzje w prasie amerykańskiej co duet Daniłow - Zacharow. Trudno nawet cytować: najbardziej reprezentacyjny wydaje mi się artykuł pewnego profesora, a jakże, nauk politycznych z jednego z uniwersytetów kalifornijskich. Nie przytaczam nazwisk, on niewinny, większość mówiła mniej więcej to samo. Otóż według owego kremlinologa, który wydrukował swój artykuł w *New York Times*'ie natychmiast po powrocie z pobytu w Moskwie, sprawa Daniłow - Zacharow stanowi problem nie tylko ludzki, ale także makropolityczny: mała sprawa szpiegowska urosła do prawdziwej groźby dla porozumienia USA - ZSSR. „Po obu stronach żelaznej kurtyny — tak rzecze profesor — istnieją potężne siły przeciwne porozumieniu”. *Similarly*, pisze profesor po angielsku, to znaczy podobnie albo nawet identycznie, i na Kremlu i na wysokich szczeblach administracji Reagana są siły, które „w aferze Daniłowa ujrzały okazję i instrument zablokowania szczytu”. Tacy profesorowie wychowują młodzież amerykańską. Nic dziwnego, że potem ich studenci nie wiedzą, jak po drugiej stronie żelaznej kurtyny odróżnić Miskę od Michała.

Poważnie zaś mówiąc, zwyciężyła naga, brutalna racja stanu. Reagan przegrał, nie chciał brać na siebie odpowiedzialności, bał się przeciągnąć strunę — szły właśnie wybory do Kongresu. Wynik operacji bolesny. Warto w skrócie to obliczyć.

Po pierwsze i najprostsze, wymiana się odbyła. O tej samej godzinie, uwzględniając różnicę czasu, wyszli z więzienia w Moskwie prawdziwy i uczciwy, choć naiwny dziennikarz amerykański

Mikołaj Daniłow i w Nowym Jorku prawdziwy i nie naiwny sowiecki szpieg Genadij Zacharow. W ten sposób, wbrew gwałtownej retoryce i zaprzeczeniom wszystkich — od Reagana i Shultza począwszy — Daniłow został zrównany i potraktowany tak jak Zacharow, dziennikarz jak szpieg. Jest to ogromny sukces ZSSR. Swoich dziennikarzy sowieci od zawsze traktują jak urzędników państwowych, w tym także jak agentów KGB. Teraz uzyskali dowód, że w USA może być tak samo, że w tej dziedzinie model sowiecki już zwycięża w skali światowej. Gorbaczow wprowadził pod tym względem jeszcze inny element do dobrych zwyczajów międzynarodowych. Oko za oko, mianowicie. Zasada skądinąd znana, z tym, że w tym przypadku chodzi o bardzo niejednakowe oczy. Kiedy pani Thatcher po ucieczce super-szpiega Gordijewskiego wyrzuciła 33 sowieckich agentów z Anglii, Gorbaczow wyrzucił z ZSSR 33 Brytyjczyków, w tym zapewne także kilku szpiegów. „Żelazna dama” skapitulowała, bo zabrakłoby jej dyplomatów w Moskwie. Teraz już wiadomo, że jak nie będzie szpiegów czy dyplomatów, to będą dziennikarze. Kreml nam powiada po prostu: my na wszystko znajdziemy „oko”, zawsze znajdziemy „szpiega”, dajcie nam tylko okazję. Może więc lepiej nie dawać?

Po drugie i najśmieszniejsze. Wielu Amerykanów uwierzyło, że Gorbaczow jest celem ataków sowieckiej frakcji neostalinowskiej, że on chce pokoju, ale nie może się za bardzo wychylać, bo czyha na niego okropny gang przeciwników *détente*. Tym należy tłumaczyć, że ze strony USA nie było nawet próby retorsji: nie zagrożono choćby masowym wydalaniem dziennikarzy sowieckich, choć wiadomo, iż prawie wszyscy bezpośrednio pracują dla organów. Nie postawiono nawet maleńkich znaków zapytania nad sensem np. porozumień o wymianie kulturalnej. Kogo na co? A co będzie, jeżeli przy następnym szpiegu aresztowanym w Nowym Jorku — co niechybnie musi niedługo nastąpić — KGB aresztuje np. Horowica, całą orkiestrę z Bostonu lub reprezentację USA w koszykówce? Przecież Horowic jest dokładnie takim samym szpiegiem jak Daniłow. Gdzie jest granica zachodniej tolerancji wobec „zimnowojennych” przeciwników Gorbaczowa na Kremlu?

Po trzecie i najbardziej niebezpieczne. Dziennikarze amerykańscy już wiedzą, że nie będą chronieni przed KGB. Wydawca *US News and World Report*, Mortimer Zuckerman, szalenie zmądrzał po trzydniowym pobycie w Moskwie i godzinnej wizycie w Lefortowie. Napisał wstępniak natychmiast po powrocie: „Wniosek się narzuca, powiada, iż KGB stanowi autonomiczną siłę w łonie społeczeństwa sowieckiego, ma swe własne cele i własną siłę. Obecnie jestem o tym głęboko przekonany”. Szkoda, że tak późno, dla Daniłowa za późno. Inni już to wiedzą od

dawna. Zresztą sam Daniłow też się nie zmienił w Lefortowie. Może był za krótko, choć mu i tak nie zazdroścę. Opuścił więzienie w limuzynie ambasady USA, ale się natychmiast zatrzymał, bo oczekiwała nań grupa jego zachodnich kolegów. Wysiadł i pierwsze swe słowa skierował do Reagana i... Gorbaczowa, aby im podziękować za ich „rozwagę”, uznając, iż jego wyjście z więzienia („Zamieniłem gorszy hotel na lepszy” — zauważył dziwnie) świadczy o „powadze” obu stron przygotowujących szczyt.

W każdym razie dla mniej naiwnych dziennikarzy wniosek jest jasny: od tej chwili wszyscy oni są potencjonalnymi zakładnikami. Szybkość, z jaką KGB załatwił spotkanie Miszy z Mikołajem świadczy przecież o tym, iż organy dysponują nie tylko spisem Daniłowów i Miszów, ale także gotowymi scenariuszami i „wycinkami”. Każdy Mikołaj ma już w kartotece i scenariuszu swojego Miszę. Daniłow był pierwszym amerykańskim dziennikarzem aresztowanym na okup w ZSSR. Pierwszym, ale nie ostatnim.

Po czwarte — i najsmutniejsze. Jak pamiętamy, Reagan wygrał wybory przeciw Carterowi m.in., a może nawet przede wszystkim na fali wstydu i upokorzenia, jakie ogarnęły społeczeństwo amerykańskie po pokazie bezradności super-potężnych Stanów Zjednoczonych wobec przetrzymywania zakładników amerykańskich przez długie miesiące w łapach rozzuchwalonych ajatolów w Teheranie. Wielkim sloganem Reagana był wówczas bojowy okrzyk: „Za mojej prezydentury żaden Amerykanin nie będzie zakładnikiem”. Reagan się, *hélas*, mylił, wystarczy przypomnieć Liban. Ale, powiadało się wtedy, Reagan jest sparalizowany własną potęgą, nie może przecież, po operacji anty-Kadafi, uderzyć na Bejrut (Syrię, Irak, niepotrzebne skreślić). No, a na Rosję może? Też nie, to jasne, *on ne va pas mourir pour Danilow*. Okazuje się, że slogan sloganem, a rzeczywistość trudna. Z nią trzeba się pogodzić: nasi goście z genewskich salonów też biorą zakładników.

No i wreszcie, po piąte i najboleśniej, społeczeństwo sowieckie otrzymało wspaniały dowód wszechpotęgi organów. Nawet Amerykanie musieli się ugiąć i zgwałcić swój własny system wymiaru sprawiedliwości, aby ułagodzić KGB. Szkoda tylko, choć nie powinno nas to zaskakiwać, że dowód ten KGB przeprowadziło za pośrednictwem rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Na łebka

Wielka lekcja, którą Zachód powinien — ale zapewne nie zechce — wysnuć z całej afery Daniłowa polega na tym, iż jaka-

kolwiek hipoteza byłaby prawdziwa, to wniosek jest jeden, identyczny i dramatyczny.

Jeżeli bowiem jest prawdą, że to KGB czy wojsko, lub obie te instytucje razem wykoncypowały i przeprowadziły operację Daniłow, że potrafiły przeciwstawić się sekretarzowi generalnemu i Biuru Politycznemu, to oznacza to, iż 500 dni po dojściu do władzy Gorbaczow nie kontroluje aparatu władzy w ZSSR, że ten aparat może prowadzić samodzielną politykę zagraniczną i że wobec tego Gorbaczow nie jest wiarygodnym partnerem w rokowaniach międzynarodowych.

Jeżeli prawdą jest natomiast, że afera Daniłowa została wykoncypowana i przeprowadzona przez samego Gorbaczowa, to oznacza to, że nowy sekretarz generalny KPZS jest zwyczajnym manipulatorem, kombinatorem, zdolnym do posłużenia się każdym draństwem, aby oszukać drugą stronę w negocjacjach i że nie należy wierzyć ani jednemu jego słowu, zwłaszcza słowu honoru.

Znałem w Warszawie kierownicę służbowej „Pobiedy”, znakomitego psychologa, prawdziwego mistrza w „braniu na łebka”. Kiedyś zapytałem go, co myśli o jednym z moich kolegów. Powiedział: „Tego faceta, panie redaktorze, ja bym na łebka nigdy nie wziął”. A przecież dziś chodzi właśnie o to. Pytanie bowiem brzmi: czy takiego faceta, z hipotezy numer jeden czy numer dwa, można i warto brać na łebka do pojazdu i to kosmicznego. Ba, nie tylko na łebka, ale na współkierowcę.

Kiedy nadeszła chwila Gorbaczowa, Gromyko przedstawiał kandydaturę nowego sekretarza generalnego przed KC zwołanym po śmierci Czernienki. „Gorbaczow — powiedział wtedy Gromyko — ma przyjemny uśmiech, ale szczęki ma ze stali”. Gromyko miał rację, wszystko powinno było być jasne. To tylko nam się chyba słuch popsuł.

Leopold UNGER

Pisane 16 września 1986

P.S. Pierwsze rezultaty amerykańskiej kapitulacji w sprawie Daniłowa są już widoczne na Zachodzie. W moim konkretnym przypadku przejawiało się to w sowieckim modelu funkcjonowania poczty belgijskiej i francuskiej. Artykuł o Daniłowie, który wysłałem z Brukseli — jak widać z daty — 16 września, doszedł do Maison-Laffitte 8 dni później, zbyt późno, aby pójść do składu. Ukazuje się więc z miesięcznym opóźnieniem. Dumny jednak jestem, iż mogę moim czytelnikom zakomunikować, że tekst nie stracił aktualności. Nie zmieniłem w nim ani jednego przecinka, dopisałem jedynie, 5 października, *post scriptum*, aby opo-

wiedzieć epilog romansu Mikołaja i Miszy, albo, inaczej, jak to Ronnie, dobry chrześcijanin, nadstawił drugi policzek bezbożnemu Michaiłowi.

Faktograficznie biorąc, epizodów epilogu było pięć:

1) Dziennikarz Daniłow opuścił Moskwę głównym wyjściem w honorowej eskorcie, odczytał na lotnisku pożegnalny wiersz Lermontowa, odbył triumfalny wjazd do Waszyngtonu i został przyjęty przez Reagana z małżonką.

2) Szpieg Zacharow opuścił Nowy Jork też normalnym wyjściem i też w eskorcie, choć nie honorowej. Z lotniska w Moskwie jednak wyszedł kuchennymi schodami i do dziś nikt go więcej nie widział.

3) Z 25 dyplomato-szpiegów sowieckich, pracowników misji przy ONZ, których wydalenie przed 1 października miało stanowić jedyną konkretną reakcję amerykańską na wzięcie zakładnika Daniłowa, wyjechało tylko kilkunastu i to już dawno. Główni szpiedzy zostali w USA, a wśród nich panowie Sawczenko i Skworcow, rezydenci KGB i GRU na Nowy Jork i okolice. Widocznie Reagan wolał ich mieć pod ręką.

4) Aby pomóc Reaganowi „ratować twarz”, Gorbaczow do rzucił, jak w totolotku, do tej transakcji „cyfrę dodatkową”, pozbył się mianowicie Jurija Orłowa, jednego z najwspanialszych dysydentów sowieckich. Nikt, ani Sowietów ani Amerykanie, nie zapytali Orłowa, czy ma ochotę przenieść się z miejscowości Kobylaj, 250 km na północny-wschód od miasta Jakuck do miejscowości Nowy Jork, o 400 km na północ od miasta Waszyngton. Dla ścisłości warto podać, że lot Moskwa - Nowy Jork odbywa się bez lądowania, a Moskwa - Kobylaj z trzykrotnym lądowaniem. Orłow zapewne wypoczywa, ten przynajmniej, po dziesięciu latach gułagu, na pewno na to zasłużył.

5) No i najważniejsze dla obu panów: 11 i 12 października spotkali się *tête-à-tête* w Rejkjawi w Islandii. To *rendez-vous* określili obaj wstydliwie jako „prawie-szczyt” albo „przed-szczyt”, tak jakby spotkanie szefów USA i ZSSR mogło być czymś innym niż spotkaniem na szczycie. Jeżeli akurat ci dwaj panowie znajdują się w jednym pokoju na Kremlu czy w Białym Domu, w Rejkjawi czy w Białymstoku, to jest to zawsze szczyt, nawet jeżeli hadko się do tego przyznać.

Każdy z obu panów miał swoje powody, aby tak właśnie a nie inaczej zakończyć aferę Daniłowa. Reagan — powiedzieli mi bardzo inteligentni tzw. obserwatorzy — chce przejść do historii jako człowiek, któremu udało się doprowadzić Moskwę do częściowej choćby rezygnacji z imperialnej ideologii i polityki. Ale Reagan powinien mieć bardziej realne ambicje. Na przykład żeby przejść do historii jako człowiek, któremu udało się wyeli-

minować takie ognisko zarazy, jakie dla interesów amerykańskich stanowi Nikaragua. Rosji, proszę prezydenta, trzeba patrzeć na ręce i w zęby, a nie w oczy i w duszę. W tej dziedzinie żaden szczyt jeszcze nie dokonał przełomu.

Gorbaczow miał zamiary skromniejsze, ale poważne. O przejście do historii ma czas się martwić, nie grożą mu wybory powszechne i bezpośrednie. Na razie odzyskując szpiega udało mu się uspokoić organy, których sprawność i wierność są dziś bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Euforia pierwszego okresu — uśmiechu Gorbaczowa — wyczerpała się, fazę perswazji zastąpiła faza represji. Z drugiej strony Gorbaczowowi bardzo był potrzebny mocny sukces dyplomatyczny, bo praktycznie biorąc z jego *pierstrojki* niewiele na razie wynikało. Chciał sukcesu, to i dostał. Na USA można zawsze liczyć. Cóż bowiem może być bardziej spektakularnego dla szefa ZSSR jak podróż 74-letniego prezydenta USA na zimną Islandię, aby powitać tam 54-letniego szefa KPZS, który, normalnie biorąc, miał się w tym roku pofatygować na spotkanie Reagana ale do Waszyngtonu. Gorbaczow wygrał więc szczyt, zanim wylądował w Islandii. Zamiast amerykańskiej riposty i zerwania szczytu — jak to zrobili Rosjanie ze spotkaniem Shultz - Szewardnadze po nalocie na Libię — Reagan udał się osobiście na islandzkie *rendez-vous*.

Niepotrzebnie. Dwie uwagi naprawdę końcowe. Po pierwsze, do poważnej rozmowy z kimkolwiek, a co dopiero z szefem z Kremla, potrzebna jest choćby minimalna doza zaufania. A jak tu wierzyć człowiekowi, który z zimną krwią bierze zakładników i uprawia handel żywym towarem? Dlaczego Reagan myśli, że w sprawie np. atomowych inspekcji Gorbaczow miałby się zachować inaczej? Na razie nic na to nie wskazuje. Wprost przeciwnie. Senat amerykański właśnie zażądał wstrzymania robót przy budowie budynku nowej ambasady USA w Moskwie. Okazuje się bowiem, że zaufany Gorbaczow nadział mury i konstrukcje nośne taką ilością mikrofonów i urządzeń nasłuchowych, że KGB byłby *au courant* depech ambasady, zanim doszłyby one do Departamentu Stanu. Koszt ogólny 200 milionów dolarów, nieco za drogo za „omikrofonowanie” ambasady. Detalik wart poznać: z przyczyn oszczędnościowych Amerykanie zatrudniali przy robotach robotników sowieckich, Moskwa natomiast przy tej samej okazji wysłała do Waszyngtonu ekipy robotników z ZSSR. Nic dziwnego, taki bogaty kraj!

Po drugie, krótki wypis z historii: ostatnie spotkanie amerykańsko-sowieckie w Rejkjawi odbyło się w 1972 roku. Po obu stronach stołu zasiadli wtedy Amerykanin Bobby Fisher i Rosjanin Borys Spasski. Grali o tytuł mistrza świata w szachach. Fisher powiedział wtedy: „W szachach żeby wygrać, trzeba nie-

nawidzić przeciwnika". No i wygrał, powodując prawdziwe trzęsienie ziemi w Moskwie. Spotkanie Reagan - Gorbaczow nie spowoduje niczego, poza niesmakiem. W polityce przeciwnika nie trzeba nienawidzić. Wystarczy go rozumieć. No właśnie...

L. U.

Pisane 6 października 1986

Zieloni w Polsce

Podajemy poniżej streszczenie wielostronicowego sprawozdania czterech pacyfistów niemieckich z 12-dniowej wizyty w Polsce w kwietniu 1986. Sprawozdanie to zostało przez nich sporządzone w języku niemieckim na wewnętrzny użytek.

Od 1 do 6 kwietnia byliśmy w Krakowie. Mieszkaliśmy u członków ruchu „Wolność i pokój”, dyskutowaliśmy dniami i nocami z nimi, a także z ich rodzicami, z jednym ekologiem oraz członkiem redakcji *Tygodnika Powszechnego*.

Od 6 do 11 kwietnia byliśmy w Warszawie, prowadząc dalsze dyskusje z członkami ruchu „Wolność i pokój”, a także z ludźmi z kręgu doradców „Solidarności”, dwukrotnie z Jackiem Kurońem i raz z ambasadą niemiecką.

Praktycznie przez dwanaście dni gadaliśmy od świtu do nocy, odpowiadając na ostre pytania n.t. polityki Niemiec i Zielonych doznając zarazem oszałamiającej gościnności i gotowości do rozmów. Prosimy czytelnika, by pamiętał, że mimo bardzo intensywnego pobytu zdołaliśmy poznać tylko maleńki skrawek polskiej rzeczywistości i że wiele wrażeń wymagałoby nie sprawozdania, ale powieści. Do tych należą: niesłychane zanieczyszczenie przyrody, oszałamiająca uroda starego Krakowa, beznadziejny wygląd sklepów, nędzne ubrania i mieszkania naszych przyjaciół, i przede wszystkim ich wielka powaga i prostolinijność, które zrobiły na nas największe wrażenie.

Rozmowy z ruchem „Wolność i pokój”

Ruch powstał po głódowce zeszłego roku, ogłoszonej celem wydobycia z więzienia Marka Adamkiewicza, skazanego na dwa i pół roku więzienia za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. Istnieją odłamy ruchu w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku i Szczecinie. Chodzi o odmowę przysięgi, w której żołnierze zobowiązują się do wierności całemu obozowi socjalistycznemu, w tym i ZSSR, i o prawo do zastępczej służby cywilnej. Wielu ludzi siedzi z tego powodu w więzieniach. Inni są zagrożeni.

Ruch jest bardzo zainteresowany współpracą z zachodnimi ruchami pacyfistycznymi. Członkowie są przeważnie dawnymi działaczami NZS. Wielu żyje w niewyobrażalnych u nas warunkach. Mieszkają albo u rodziców (widoki na własne mieszkanie są równe zeru), albo w rozpadających się domach akademickich, mają bardzo mało pieniędzy i żyją tak, jak u nas kloszardzi, z tym, że szalenie sobie pomagają. W obecnej sytuacji w Polsce nie mają szans ani na pracę, ani na własne mieszkanie, ani na zadowalającą ich legalną działalność społeczną. Z tym większym zdumieniem należy odnotować powagę i uczciwość, z jakimi określają swe stanowisko.

Politycznie grupy te są bardzo niejednorodne. Wszyscy naturalnie domagają się prawa do odmowy służby wojskowej, ale różnie to uzasadniają: jedni są bliscy pozycjom Gandhiego i Martina Luthra Kinga, inni odmawiają służby dlatego, że wojsko polskie jest związane z blokiem, jeszcze inni uważają, że cywilna służba zastępcza jest taktycznym posunięciem przeciwko ZSSR. Wszyscy chcieliby przywrócić pojęciu „pokoju” pozytywny walor w społeczeństwie, które ma je w pogardzie z uwagi na politykę ZSSR. Wszyscy są też zgodni co do potrzeby obrony społecznej, przy czym nikt nie wie, że dla wyjaśnienia pojęcia „obrony społecznej” na Zachodzie często posługujemy się przykładami z Europy wschodniej. Także tu istnieje szeroki wachlarz opinii, od zwolenników obrony społecznej jako jedynej uprawnionej aż po zwolenników zbrojnej walki wyzwoleniczej. W Krakowie doszło np. do ostrego sporu z działaczem KPN, który twierdził, że Amnesty International jest organizacją prokomunistyczną. Pokazaliśmy mu na dowód roczny raport Amnesty. Jego pozycja stoi zresztą w sprzeczności z pozycją KPN, która ma pozytywny stosunek do Amnesty. Z kolei członek grupy warszawskiej bronił koncepcji centralistycznej elity w autorytarnej Polsce, czemu byliśmy przeciwni. Obydwaj ci panowie widzieli świat w barwach czarno-białych i przez pryzmat Związku Sowieckiego. Na przykład twierdzili, że Trzeci Świat głoduje tylko dlatego, że ZSSR śrubuje światowe ceny zboża.

Przy współpracy z ruchami typu „WiP” wydaje nam się ważne:

— Ich całkowita nieznajomość problemów Trzeciego Świata, a także Europy Zachodniej. Najbardziej przeraziła nas nieznajomość zachodniej strategii militarnej. Praktycznie wszyscy byli przekonani, że rakiety średniego zasięgu rozmieszczone w RFN są wycelowane na Moskwę. Kiedy objaśniliśmy im zasadę rakiet średniego zasięgu i wytłumaczyliśmy, że wiele z nich jest przeznaczonych dla Polski i NRD, nie chcieli w to uwierzyć. Pewien stary chłop aż zbladł, kiedy zrozumiał, że z Niemiec są wycelowane w Polskę rakiety. Nie wiedzieli też niczego o ograniczeniu prawa do odmowy służby wojskowej, o rozbudowie infrastruktury wojskowej, o eksporcie broni do Trzeciego Świata (myśleli, że tylko ZSSR sprzedaje broń Irakowi, kiedy się dowiedzieli, że Zachód sprzedaje ją i Irakowi, i Iranowi, byli oburzeni). Prawie nikt nic nie wiedział o rewolucji islamskiej, o grabieży surowców w Trzecim Świecie przez EWG (nawet Kuroń zapytał ironicz-

nie, w jaki mianowicie sposób Europa Zachodnia żyje na koszt Trzeciego Świata). Dopiero w toku długich dyskusji zdołaliśmy zrozumieć, na czym polega ich często wyrażana nadzieja na zachodni świat. Nadzieja ta ma czysto ideologiczne podstawy.

— Dyskusja z nimi wymaga długiego czasu. Na przykład wszyscy domagali się, abyśmy we wspólnym oświadczeniu potępił międzynarodowy terroryzm. Broniliśmy się przed tym sformułowaniem rękami i nogami. Dopiero po dwóch godzinach znaleźliśmy właściwy argument, mianowicie że ZSSR piętnuje wszystkich przeciwników *pax sovietica* jako „międzynarodową kontrrewolucję”, natomiast Stany Zjednoczone określają wszystkich przeciwników *pax americana* jako „międzynarodowych terrorystów”, natomiast ruchy pokojowe nie powinny przejmować tych klisz, tylko stworzyć własny język. W końcu zrezygnowali z projektu potępienia międzynarodowego terroryzmu.

— Kryteria etyczne są zupełnie inne u nas niż u nich. Kiedy my mówimy o lojalności i kompromisie, oni mówią o honorze i gwałcie na ojczyźnie. Nasi poruszają się swobodnie po całym świecie, ich myślenie jest zdecydowanie polonocentryczne.

— Nie zauważyliśmy u młodych nienawiści do Niemców. Mieliśmy wrażenie, że rozumieją, iż z naszych odmiennych doświadczeń wyciągamy odmienne wnioski niż oni, natomiast nie mogą pojąć, dlaczego i im nie przyznajemy prawa do tego samego. Jeżeli nie będziemy się starali zrozumieć ich punktu widzenia, szybko staniemy się dla nich znów typowymi Niemcami.

Kluczową kwestią była naturalnie sprawa demokracji. My zwracaliśmy uwagę, że nie należy przeceniać formalnego państwa prawa, oni zaś upierali się, by je doceniać i zwracali uwagę, że demokratyczne społeczeństwo jest bezsilne wobec totalitarnego państwa, czy to narodowo-socjalistycznego, czy stalinowskiego, czy w łagodniejszej wersji Jaruzelskiego.

Rozmowy z doradcami „Solidarności”

W Warszawie rozmawialiśmy z kilkoma doradcami „Solidarności”, przeważnie starymi żydowskimi naukowcami, tak wykształconymi, doświadczonymi, gościnnymi i serdecznymi, że byliśmy wprost oczarowani. Wszyscy wydawali nam się spokojniejsi i chyba też bardziej optymistyczni aniżeli młodzi, czy aniżeli Kuroń. To, że Zieloni nie są osłem trojańskim Moskwy wydaje się być powszechnie uznane, ale nikt nie rozumie, że są poważną siłą polityczną. Jeśli tylko jesteśmy w miarę grzeczni i nie za naiwni, rozmowa na ten temat wydaje się wielu ludzi interesować. Jednak pytania dotyczyły przede wszystkim ogólnie RFN, perspektyw CDU itp., dopiero potem pytano o opinie Zielonych. Trzy tematy powracały najczęściej:

— SPD. Druga faza *Ostpolitik* budzi wielki niepokój. Każde wystąpienie działaczy SPD w Polsce budzi wściekłość i powszechne potępienie. Ludzie zarzucają SPD z goryczą, że traktuje „Solidarność” jako możliwe zarzewie wojny atomowej, gdy tymcza-

sem właśnie „Solidarność” byłaby gwarantem pokojowej współpracy w Europie, nie Jaruzelski. Dalej zarzucają SPD, że traktuje Jaruzelskiego jako jedynego partnera do rozmów, gdy tymczasem żadna polityka z Polską nie jest możliwa bez uwzględnienia „Solidarności”. Zrelacjonowaliśmy im nasze konflikty z SPD i wydaję nam się, że zdołaliśmy ich przekonać, że Zieloni są jakąś siłą, choć ostrzegaliśmy też, by ich nie przeceniać.

Kwestia stosunków polsko-niemieckich. Wszyscy doradcy wysoko cenią układy polsko-niemieckie. Ubolewają jednak, że tak niewiele z nich wynika, że po wielkiej akcji paczek z Niemiec rząd niemiecki nie wykorzystał wzajemnej serdeczności, że słowem polityka RFN jest bierna.

Kwestia stosunków niemiecko-niemieckich. Pytano nas o to często, ale sami pytający nie zdradzali jasno swego stanowiska.

Spotkanie z Jackiem Kurońem

Za pierwszym razem dyskutowaliśmy z nim do siódmej rano. Załączamy na ten temat obszerny raport. Drugą rozmowę bardzo trudno streścić. Kuroń jest człowiekiem pełnym politycznej namiętności, pełnym bólu — osobistego i politycznego — i bardzo pesymistycznym. Jego rozpacz z powodu sytuacji Polski ciąży nad wszystkim, co mówi. Z politycznych uwag utkwiło nam w pamięci:

— żeby nie lekceważyć Związku Sowieckiego i zarazem nie przeceniać rozmów z nim;

— żeby nigdy nie krytykować Reagana nie krytykując zarazem Związku Sowieckiego;

— żeby nie zapominać, że w ustroju totalitarnym także opozycja się totalitaryzuje i rozumieć, że nasza swoboda wynika z faktu, że żyjemy w wolnym ustroju;

— kiedyś mu powiedzieli, że w naszym społeczeństwie wszystkie wartości zostały zdeprecjonowane przez pokolenie naszych ojców, odpowiedział nam, że historia dowiodła, że każdy naród może zostać zdeprawowany. Bardzo długo na ten temat dyskutowaliśmy.

Rozmowa z ambasadą niemiecką

Zadaliśmy pytanie, dlaczego nie ma polsko-niemieckiej umowy kulturalnej ani niemieckiego ośrodka kulturalnego w Warszawie. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że NRD monopolizuje tę dziedzinę.

Wnioski

Każdy Niemiec jest w Polsce uważany najpierw za Niemca, a potem dopiero za przedstawiciela takiego czy innego ruchu.

Nasz stosunek do niemieckiej przeszłości jest oceniany nie według naszych deklaracji na temat Oświęcimia czy granicy na Odrze i Nysie, a według naszego stosunku do obecnej Polski. Jeżeli rozmówcy odnoszą wrażenie, że w imię naszego pokoju, naszego dobrobytu i naszej wolności gotowi jesteśmy żądać od innych, aby z nich zrezygnowali, to nas odrzucają. Wówczas słyszymy: Co nam po waszych potępieniach zbrodni, w których i tak nie mogliście uczestniczyć, jeżeli dziś, w obliczu nieporównanie łatwiejszego zadania, mianowicie solidarności z nami, nabieracie wody w usta? Wydaje nam się, że ruch pacyfistyczny musi gruntownie zmienić stanowisko wobec demokratycznej opozycji w Polsce.

Wszyscy ostrzegali nas przed Związkiem Sowieckim. Musimy postarać się zrozumieć, przed czym właściwie nas ostrzegano. Nie chodzi bowiem o wojskową potęgę ZSSR, a o to, że nie dorosiliśmy do takiego przeciwnika i jesteśmy bezbronni wobec jego długofalowej, zimnej polityki wielkomocarstwowej, ba, że nawet nie wiemy, jakich wartości musimy bronić. Te zarzuty są naszym zdaniem uzasadnione i powinny nas skłonić do dalszej analizy.

Jeżeli chodzi o SPD, to łączyć nas z nią musi przekonanie, że granica na Odrze i Nysie jest stała, a rozmowy z rządami Europy wschodniej konieczne. Różnice powinny polegać na:

— przekonaniu, że pogrzebanie przeszłości musi się odbywać między narodami, a nie między rządami;

— założeniu, że z wieloletnich doświadczeń polskiej opozycji demokratycznej możemy się wiele nauczyć. Odrzucamy paternalistyczny stosunek SPD do demokratycznej opozycji w Europie wschodniej (że mianowicie my jesteśmy wielkimi politykami, a oni ograniczonymi bojownikami o prawa człowieka);

— odrzuceniu technokratycznej koncepcji SPD, że pokój zapewnić można tylko poprzez układy międzypaństwowe, a wszelkie inicjatywy społeczne muszą destabilizować świat;

— uznaniu za demagogię twierdzeń, że opozycja w Europie wschodniej walczy tylko o wolność prasy i prawo do swobodnego poruszania się po świecie. Ani „Charta 77”, ani „Solidarność” nie są ruchami elitarnymi, lecz bronią szeroko pojętych swobód demokratycznych i społecznych. W przypadku „Solidarności” mamy do czynienia z precyzyjnym projektem samoograniczającej się rewolucji, w porównaniu z którym nasz ruch pacyfistyczny jest doprawdy słabym jednostronnym ruchem. Musimy nareszcie przestać wierzyć w to, co SPD mówi na temat ruchów opozycyjnych w Europie wschodniej i zasięgać informacji u samych zainteresowanych. Koalicja między SPD i Zielonymi będzie tylko wtedy produktywna, jeżeli za przystąpienie do niej nie będziemy płacić odrzucaniem ruchów, o których nic nie wiemy, i jeżeli zmusimy SPD do kontaktów z antypartyjnymi ugrupowaniami w Europie wschodniej. Rozmowy w Polsce przekonały nas — mimo różnic politycznych — że „Solidarność” jest naszym autentycznym sprzymierzeńcem. (...) Zwróćmy uwagę, że „Solidarność” jest

jedynym politycznym ruchem w Europie, który sprawił, że rozmieszczenie rakiet w Polsce było zbyt ryzykowne dla wielkiego mocarstwa militarnego. Ludzie z „Solidarności” mają rację, kiedy mówią: Myśmy wprawdzie nie gadali tyle o raketach, co Wy, ale jednak doprowadziliśmy do tego, że nie rozmieszczono na naszym terytorium nowych rakiet. Należy przemyśleć kwestię związku między raketami a walką o demokrację i prawa społeczne.

(Tłumaczenie i streszczenie Julii JURYS)

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 415 — DOKUMENTY

PROTOKOŁY TZW. KOMISJI GRABSKIEGO

TAJNE DOKUMENTY PZPR

Opracowanie i wstęp Grażyny Pomian

Przesłuchania: Edwarda Babiucha, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia, Mieczysława Jagielskiego, Piotra Jaroszewicza, Stanisława Kowalczyka, Jerzego Łukasiewicza, Tadeusza Pyki, Franciszka Szlachcica, Jerzego Pińkowskiego, Jana Szydłaka i Tadeusza Wrzaszczyka.
Str. 432. Cena F. 180,00.

TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

«GRISZA, JA TIEBIE SKAZU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TIEBIE SKAZU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA i GŁOBUS.
Str. 176. Cena F. 70,00.

TOM 421 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: Alfa: Koppa (Stanisław Mierzwa — z cyklu „Rozmowy niekontrolowane”); D. Beauvois: Polacy na Ukrainie 1831-1863; St. Wachowiak: Wojna i okupacja 1939-1945; M. de Hernandez-Paluch: Nie wiem co się z tym dzieje... (Rozmowa z przedstawicielem Huty im. Lenina); Wywiad z Władysławem Prasińskim; Hugh Gibson: Powrót do Warszawy; Protokoły przesłuchań wicemin. Skarbu J. Kozuchowskiego przed Komisją, powołaną przez gen. W. Sikorskiego do zbadania przyczyn klęski wrześniowej oraz obszerny dział RECENZJI i LISTY DO REDAKCJI.
Str. 240. Cena F. 70,00.

Wywiady «Kultury»

Zgubiło Was powodzenie...

ROZMOWA EWY BERBERYUSZ Z NORMANEM DAVIESEM

Wygląda jak polski czterdziestolatek, tym typowym wyglądem polskich miast i wsi. Zastaje go, jak transportuje przez okno fortepian do swojego nowego mieszkania na poddaszu w północnej części Londynu. Ale i tą drogą fortepian nie chce przejść; otwory w pięknych „kamieniczkach” typu Georgian są za małe na tak duży sprzęt. Więc będzie musiał zrezygnować ze swojego hobby, gry na fortepianie. Z zawodu historyk. Rozgłoszawszy pracą na temat Polski: dwutomowej syntetycznej historii jej dziejów pt. „God’s Playground” („Igrzysko Boga”) oraz jeszcze bardziej syntetycznemu ujęciu tematu pod znamienym tytułem „Heart of Europe. A Short History of Poland” („Serce Europy, krótka historia Polski”). Jego prace nie są „brykiem”. Skrótowność nie oznacza powierzchowności; w klarownym jasnym wywodzie zawarł oryginalny własny punkt widzenia na nasze dzieje. Rozmowę odbywamy po polsku, przedstawiam ją z niewielkimi poprawkami językowymi.

EWA BERBERYUSZ: — Czym jest dla pana Polska?

NORMAN DAVIES: — Przede wszystkim zbiorowiskiem ludzi, których znam, cenię i kocham. Poznając Polskę od dwudziestu paru lat i wciąż mnie fascynuje, wciąż odświeżają się coraz inne obszary; im bardziej w nie wchodzić tym, wydaje mi się, mniej o nich wiem.

E.B.: — *Im głębiej w las...*

N.D.: — ... tym więcej drzew. Tak, wedle tej zasady. Polski temat dostarcza materiału, którym obdzielić można wielu historyków i to o różnych temperamentach. Idealny teren.

E.B.: — *Jak Pan nań trafił?*

N.D.: — Jak chyba każdy obcokrajowiec, przez przypadek. Miałem jechać z grupą nauczycieli do Rosji, nie dostaliśmy wizy, więc nie chcąc tracić już zakupionego biletu kolejowego, przyjechalismy do Warszawy.

E.B.: — *Czyli jednak miłość zastępcza: nie można kochać Królowej, kocha się Kopciuszka.*

N.D.: — W bajce Kopciuszek zamienia się w Królowę! Co do mnie: była to podróż w nieznanym kierunku.

E.B.: — *No, ale nie przez przypadek celował Pan w Rosję.*

N.D.: — Nie. Jeszcze wtedy wśród młodej inteligencji angielskiej istniało silne zainteresowanie tym krajem. Rosja wydawała się przeciwnieństwem wszystkiego, co było u nas. Intelktualiści zachodni masowo tam jeździli, chcieli się z autopsji przekonać, jak tam jest. Polska okazała się inna niż moje wyobrażenia o niej, od razu mnie podbiła.

E.B.: — *Czym?*

N.D.: — Typem kontaktu z ludźmi, sposobem, w jaki Polacy porozumiewali się z nami, no i treścią tego, co mówili. Były to lata sześćdziesiąte, a oni sporo jeszcze mówili o wojnie.

E.B.: — *To Pana tak zafrapowało?*

N.D.: — Musi pani pamiętać, że wojna w Polsce była czymś zupełnie innym niż w Anglii, że przeżycia ludzkie miały tu zupełnie inny wymiar. Właściwie od tego zetknięcia z polskimi wojennymi doznaniem zaczęło się moje zainteresowanie historią Polski. Bardzo też ciekawił mnie Kościół. Wywodzę się z rodziny protestanckiej i cały świat katolicki był dla mnie egzotyką. Pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie „walka o krzyże” w Nowej Hucie...

E.B.: — *Opór się Panu podobał?*

N.D.: — Tak, bo był autentyczny i pochodził z dołu, od prostych ludzi. Egzotyką był też dla mnie ten cały wasz bałagan, z pozornym

tylko brakiem logiki. Wszystko inaczej niż u nas. Trudno mi było np. pojąć, że milicja to gangsterzy. Na przykład milicjant, który bez żenady proponuje wymianę waluty na czarnym rynku.

E.B.: — *Czy chce Pan przez to powiedzieć, że angielscy policjanci są bez skazy?*

N.D.: — Tak przynajmniej przeciętny Anglik o nich myśli.

E.B.: — *No dobrze, a co się Panu u nas nie podobało?*

N.D.: — I co mi się nie podoba do dziś, to ta wasza wieczna pretensja do obcych za historię własnego kraju.

E.B.: — *No tak. „Nocne Polaków rozmowy” przeważnie schodzą na jedno: jak to nas w historii wykorzystywano. Nie rozpoczynamy tego tematu. Zapytam Pana, jak pytam wiele osób: za kogo się Pan uważa?*

N.D.: — Za pisarza, który wyjaśnia problemy pewnych wybranych grup i jednostek szerszemu gremium. Uważam historię za gałąź pisarstwa. Brak mi cierpliwości do „historii socjologicznej”, zawsze bardziej interesowały mnie dzieje jednostek, i niekoniecznie tych najbardziej znanych.

E.B.: — *Stąd zapewne tyle w Pańskich pracach interpretacji zjawisk historycznych poprzez dzieła literackie. Czy uważa Pan, że literatura jest kluczem do zrozumienia historii?*

N.D.: — Jednym z kluczy na pewno. Jak również jest nim, prócz dokumentów — bajka i legenda.

E.B.: — *Nie przeraża Pana ugrzęźnięcie w polskim temacie?*

N.D.: — Tak, stale myślę, że powinienem już z Polską skończyć i zająć się czymś innym, np. historią Włoch; nieźle znam włoski i swoje studia rozpocząłem właśnie od tego kraju. Ale z drugiej strony kusi mnie napisanie całościowej historii Polski. Takie zamierzenie: jeden człowiek wobec tych wszystkich różnorodnych źródeł, zanurzony w nich, czerpiący z nich, i żeby to zrobić w ciągu jakichś dziesięciu lat.

E.B.: — *A niebezpieczeństwa takiego zanurzenia?*

N.D.: — No, są. Można się wpakować w zaściankowość, w parafianstwą bez znaczenia; choć z drugiej strony, w Polsce każdy szczegół jest ważny, bo Polska jest krajem na wskroś europejskim, tu krzyżują się wszelkie ważne prądy europejskie i wszelkie dzia-

łania. Od początku osiemnastego wieku Polska staje się w tej samej mierze polem działania dla innych, co dla działania własnego. Z tym, że ja nie wierzę, żeby geopolityka była przyczyną tej całej waszej biedy. To nieprawda. Polska miała historyczną szansę, żeby pozostać potęgą.

E.B.: — *Więc gdzie leży przyczyna upadku? Polacy dyskutują na ten temat od wieków, jak Pan to widzi?*

N.D.: — Jako kompleks różnorodnych czynników, zawężonych i nie rozwiązanych pod koniec panowania Sobieskiego i na początku osiemnastego wieku. Kompleks czynników wojskowych, politycznych, ustrojowych, społecznych, gospodarczych. Wszystko, moim zdaniem, było do zreformowania. Oczywiście, jednym z czynników była geopolityka, dlatego np. Szwecja, która miała podobne słabości co Polska, albo Hiszpania — jeszcze większe — przeżyły. Geopolityka, tak, ale nie tylko...

E.B.: — *Mogła być jej siłą, ta geopolityka?*

N.D.: — Mogła. Ciekawe, dlaczego Polska nie stała się mocarstwem, tylko Moskwa, która miała szansę, zdawałoby się, mniejsze, albo Prusy. Prusy były niczym, a jaką stały się potęgą. Rozpatrzmy sprawę w kategoriach psychologicznych: Moskwa i Prusy miały bardzo trudne początki, racjonalnie patrząc, widoki na ich przeżycie jako państw były nikłe, zwłaszcza w przypadku Prus. I może dlatego, że początki były tak trudne, ta roślina polityczna okrzepła. Polska rozwijała się w XV i XVI wieku niesłuchanie szybko, powiedziałbym, za szybko, no i ta szybkość sprawiła, że Polacy odurzyli się swoim powodzeniem, przestali dopuszczać do świadomości ewentualność porażki.

E.B.: — *Więc zgubił nas dynamizm rozwojowy?*

N.D.: — Boście go nie kontrolowali.

E.B.: — *A jednak Pan nie rozstaje się z tym krajem, zadufanym w sobie, zaprzeczającym swoją szansę...*

N.D.: — Mało! Pragnę temat poszerzyć o problem emigracji. Emigracja polska istnieje od trzystu lat i stale odżywiana jest nową tkanką. Nasz zakład na Uniwersytecie Londyńskim rozpoczął badania nad najbliższą nam emigracją w Anglii, w zakresie różnych dyscyplin, również dla historyka mało typowych, jak antropologia czy psychologia. Moim zdaniem emigracja polska ma kolosalne znaczenie dla życia narodu, powiem, że dlatego Polska jest narodem tak wyróżniającym się w bloku komunistycznym, bo ma taką emigrację.

E.B.: — *Ma Pan na myśli jej zasługi piśmiennicze i informacyjne? Tak, ja też doceniam tę poprawkę nad otówkiem cenzora czynioną jej rękami. Ale temat emigracji wydaje mi się tematem martwym, bo emigracja skazana jest na śmierć z natury rzeczy. Emigracja najpierw cierpi, a potem degraduje się do getta mniejszościowego w kraju zamieszkania. Przechowuje tradycję w sposób bardzo powierzchowny, sprowadzający się do kuchennej obrzędowości. Padło tu już z pańskich ust słowo „parafiańszczyzna”; emigracja to wielka prowincja. Oczywiście, istnieją elity, i te są aktywne. Ale i wśród nich obserwuje się zanik najwartościowszych cech „starego kraju”, takich jak, w przypadku Polaków: szczodrobliwości czy gościnności. Może w odruchu obronnym, ale dopasowują się w sposób mało twórczy, raczej imitacyjny do stylu tubylców. Ja tego nie mówię oceniająco, jest to zapewne proces nieuchronny w każdej emigracji, ale czy musimy o tym mówić? Czuję pewnie niedosyt w tym, co Pan powiedział o genezie swojego zainteresowania Polską...*

N.D.: — *Więc powtórzę: nie było tu racjonalnej decyzji z mojej strony. Naukowo lepiej byłem przygotowany do studiów nad Włochami. Z Polską związał mnie przypadek i trudne przeżycia osobiste. Dzięki nim poznałem głębiej kilku Polaków, których poglądy i wartości mnie zafrapowały i które zapragnąłem poznać szerzej. To wszystko.*

E.B.: — *No i jeszcze raz: co Pana w Polakach razi?*

N.D.: — *Polacy są tak różnorodni! Ale wielu reprezentuje stanowisko absolutnie dla mnie nie do przyjęcia. Jest nim polski nacjonalizm, który spotyka się na każdym kroku. Stąd bierze się przerysowane poczucie własnej krzywdy, stąd ksenofobia, a co najmniej, brak tolerancji wobec mniejszości narodowych: Niemców, Żydów, Ukraińców...*

E.B.: — *I obecnie?*

N.D.: — *Obecnie ten „przedwojenny nacjonalizm” jest kultywowany przede wszystkim w propagandzie władz.*

E.B.: — *Ale propaganda nie pokrywa się z opinią społeczeństwa.*

N.D.: — *Niestety, w tym jednym punkcie pokrywa się. Jako historyk jestem szczególnie na to zjawisko wyczulony. Otóż bardzo często słyszę od młodych Polaków, np. że Gdańsk był zawsze miastem polskim. Absurd! Według mnie, jest się czym szczyścić, że właśnie miasto niemieckie, Danzig, było tak lojalne wobec Rzeczypospolitej, że ci dawni Niemcy w Gdańsku — choć byli oni*

antypruscy, byli to jednak Niemcy — czuli się dobrze przy Polsce. Jest nonsensem to, czego się uczy dziś w polskich szkołach, że Gdańszczanie byli to albo patrioci polscy, albo Niemcy-polakożercy. Nic podobnego! To się stało dopiero w XIX i XX wieku.

E.B.: — *No, ale obecnie nie ma problemu Gdańska.*

N.D.: — *To właśnie chciałem powiedzieć: o ile nacjonalizm miał swoje racje w XIX wieku, kiedy wśród ludności mieszanej każdy żywił musiał się bronić, o tyle nie ma ich dziś. Dziś żaden nacjonalizm nie ma sensu, zamyka oczy na własną sytuację, oślepia, pozwala sobą manipulować w dowolnym kierunku. Polska opinia „kupiła” od oficjalnej propagandy „legendę piastowską” oraz ujęcie sprawy Ziemi Zachodnich i Kresów Wschodnich. Proszę zapytać młodego Polaka, każdy powie, że Ziemi Zachodnie są odzyskane, a wschodnie nigdy nie były nasze...*

E.B.: — *Więc jaki jest obecny czas dla naszego kraju, jak go Pan określi?*

N.D.: — *Jest to dalszy ciąg ogromnego okresu, ciągnącego się od XVIII wieku, kiedy celem narodu było przede wszystkim przetrwanie; nie ma mowy o jakimś wielkim zwycięstwie; samo przeżycie jest największym osiągnięciem, na jakie Polacy mogą liczyć i na jakim muszą koncentrować swoją uwagę.*

E.B.: — *Przygnębiające. Nigdy Pan się Polską nie nudzi?*

N.D.: — *Nudzi? Nie, nigdy. Wiele można o Polsce powiedzieć, ale nudna nie jest. Przede wszystkim konieczność samookreślenia się w stosunku do systemu czyni każdego Polaka interesującym. Nikt nie może się wyizolować, każdy musi zająć stanowisko. Głębokie konflikty moralne na tle samookreślenia zachodzące nie tylko w grupach, ale w każdym człowieku indywidualnie, to jest pasjonujące...*

E.B.: — *Tak, system zmusza do zajęcia postawy moralnej. Umysłowiłam sobie ten fakt dość nieoczekiwanie przy lekturze powieści współczesnego pisarza rosyjskiego, Trifonowa. Nikt się nie może przyciąć, nikt nie może zagrać moralności. Od razu widać, kto jest dużą świnią czy małą świnką, kto się świni ze strachu, a kto z cynizmu. U was na przykład, można z kimś życie przeżyć i nie dowiedzieć się, kim jest. Takim sprawdzianem były też czasy okupacji. Polska cieszyła się pochlebnią opinią, bo nie wydała ze swego łona żadnego Quislinga. Spotkałam się ze zda-*

niem wybitnego dziennikarza angielskiego, że gdyby Anglia była pod okupacją, to by masowo kolaborowała, jak Pan myśli?

N.D.: — Anglicy nigdy nie stali przed podobnym problemem — nie wiem. Z jednej strony mają w sobie to naiwne poddanie się władzy, wynikające z niezagrozonej długo suwerenności; z drugiej — istnieje w nich silne poczucie swobody. Która cecha wzięłaby górę pod obcą okupacją, trudno przewidzieć. Osobiście mogę doskonale wyobrazić sobie silnego ducha oporu w Anglii; niekonicznie walki zbrojnej, ale całe to państwo podziemne funkcjonujące na zasadzie istnienia własnego obiegu kulturalnego z rozwiniętymi gałęziami sztuki i piśmiennictwa.

E.B.: — *Co Pan myśli o polskiej literaturze?*

N.D.: — Z dystansu uderza przede wszystkim jej rola społeczna, nieporównanie większa niż w społeczeństwach wolnych, które mają możliwość wypowiedzania się w inny sposób.

E.B.: — *Ale ja myślę o wartości artystycznej.*

N.D.: — Rola społeczna jej nie zmniejsza. Lubuję się w polskiej literaturze, choć mam świadomość jej nieprzetłumaczalności. Taki Mickiewicz czy Sienkiewicz są nie do czytania dla Anglika. Moi studenci nie mogą pojąć, co w nich ciekawego.

E.B.: — *Wymienił Pan tych dwu pisarzy jednym tchem, a dla Polaka są oni nieporównywalni. Więc, wedle Pana, hermetyczność literatury polskiej zawiera się w doli narodu pozbawionego wolności. Ale przecież Irlandia, która też nie miała wolności, stworzyła literaturę uniwersalną.*

N.D.: — Pisana po angielsku.

E.B.: — *Czyli jest to kwestia języka światowego.*

N.D.: — Chodzi o te subtelniejsze warstwy języka, o ten cały system kodów, znaków, kontekstów, którego nie da się oddać bez straty w innym języku.

E.B.: — *Czy to walor, czy strata?*

N.D.: — Ani to, ani to. Po prostu tak się stało.

E.B.: — *A co się stanie z Polską?*

N.D.: — Los Polski wiąże się z rozwojem sytuacji światowej.

E.B.: — *Chodzi mi o ewolucję samych Polaków.*

N.D.: — Ja to widzę w perspektywie pewnych cykli ustalonych od dwustu lat. Okresy tak zwanego pozytywizmu przeplatają się z „romantyzmem”; bunt i odejście od buntu...

E.B.: — *Czyli teraz szykuje się okres uspienia, tak?*

N.D.: — Tak całkiem to ja nie jestem przekonany, że ten „okres buntu” już się skończył. Istnieją przesłanki na ciąg dalszy tego „powstania”; niezwykłego „powstania”, bo „Solidarność” na pewno była „powstaniem”, ale w sensie moralnym; jej metody były nietypowe dla dotychczasowej historii Polski.

E.B.: — *Skutki podobne. Co Pan myśli o religijności Polaków?*

N.D.: — Różnie. Muszę wyznać, że często uderzał mnie dogmatyzm klerykałny przypominający mi dogmatyzm protestancki, od którego uciekłem. Z drugiej strony, widzę ten Kościół jako bardzo szeroki, gdzie jest miejsce na wiele postaw. Fascynującym zjawiskiem jest wiązanie się ludzi niewierzących z Kościołem.

E.B.: — *Nie razi to Pana?*

N.D.: — Przeciwnie. Uważam to za coś bardzo twórczego, chociaż wiele zależy od ludzi i od środowiska. Pamiętam spotkanie na KUL-u, gdzie chciałem mówić o ekumenizmie w Anglii, o tych wszystkich wyznaniach chrześcijańskich, jakich w Polsce nie ma lub prawie nie ma, ale spotkałem się z całkowitą ignorancją i zupełnym brakiem zainteresowania.

E.B.: — *Na KUL-u też są różne środowiska. A jak Pan ocenia Papieża?*

N.D.: — Właśnie! On jest wolny od tego zaściankowego spojrzenia, choć jest ono obecne również i w Watykanie. W rozmowie ze mną Papież wyraźnie określił, gdzie stoi.

E.B.: — *Na Zachodzie zarzuca się mu konserwatyzm w sprawach wiary.*

N.D.: — Nie rozumiem, jak można być konserwatystą czy liberałem w sprawach wiary. Albo się wierzy, albo nie.

E.B.: — *Na koniec chciałam Panu zadać pytanie ankietowe „dla Polaków”: „Czym jest dla Pana miłość ojczyzny”?*

N.D.: — Ciekawe. Jest to szczególny stosunek emocjonalny, zabarwiony ostrym krytycyzmem, ale i bezwzględny poparciem

jest też podkreślenie konieczności kontynuowania działalności podziemnej przez zdelegalizowaną przecieź — o czym niektórzy zapominają — „Solidarność”, zwrócenie uwagi na doniosłość struktur zakładowych, wyjaśnienie roli poszczególnych ogniw, a zwłaszcza — samej TKK jako odpowiedzialnej za bieżącą działalność związku, co gwarantuje zachowanie ciągłości organizacyjnej. Oczywiście powstają nowe problemy. Ponieważ TKK składać się odtąd będzie z przedstawicieli regionów, których nazwiska nie mogą być ujawnione, zachodzi niebezpieczeństwo ogłaszania w jej imieniu fałszywek. Toteż wszystkie dokumenty, których autorem jest rzekomo TKK, wolno uważać za autentyczne tylko jeśli uwierzytelnił je w Kraju Lech Wałęsa i druga osoba, wybrana przez TKK, a za granicą — Biuro brukselskie, przedstawiciel „Solidarności” wobec międzynarodowego ruchu związkowego.

To powiedziawszy, nie sposób nie wyrazić głębokiego niepokoju co do przyszłych stosunków między TKK a Tymczasową Radą Solidarności. Lektura oświadczenia budzi obawę, że te stosunki już teraz są bardzo złe; stanowisko Wałęsy stało się w tej sytuacji zupełnie niezrozumiałe. TKK twierdzi — i słusznie — że ostatnie wydarzenia wywołały wiele zamętu i nieporozumień wśród członków i sympatyków „Solidarności”. Oświadczenie nie przywraca niestety jasności. Co gorsza może przyczynić się do rozpętania sporów i wzajemnych oskarżeń, które byłyby na rękę wyłącznie władzy. Bardziej niż kiedykolwiek, „Solidarność” potrzebuje dziś organizacyjnej i politycznej zwartości.

REDAKCJA

Sprawy i troski

List z Iraku

Mimo ostatnich deszczów glina jest wyschnięta na kamień. W stronę mojej twarzy sięga kolczasty pęd krzaka, jak chwast porastającego pustynię. Wiosną, gdy zielenią się kępy drobne listki ukryte między kolcami, jego nisko płożące się kępy spasane są owcami, których stada snują się wtedy po pustyni. Potem wszystko zostanie spalone przez słońce i pokryte pyłem, a kobiety, cierpliwie wędrując po pustynnym klepsku, karczować będą na opał uporczywe korzenie, znosząc do domów na głowach sterty badyli. Nawet leżąc bez ruchu w ten lutowy poranek, kiedy jest dopiero — przybliżyłem zegarek do oczu — siódma, nie można wytrzymać na tym piekielnym słońcu.

Kolejna eksplozja, gdzieś z tyłu, przycisnęła mnie do splekanej ziemi. Nie usłyszałem gwizdu odłamków ani ich uderzeń w kamienie. Daleko. Nasze baterie odpowiadały głuchym łomotem. Na wprost jest szosa, główna arteria komunikacyjna kraju, za nią Rzeka, obwałowana wysoko dla przeszkodzenia penetracji wzrokowej wroga, w wały wkopane działa samobieżne i czołgi, a we wnękach strzeleckich leżą przykurczeni żołnierze. Bagna rozciągają się zaraz za Rzeką i to już *noman's-land*, ziemia niczyja, którą patrolują obie strony. Klapy czołgów są otwarte, nad nimi od słońca płachty i parasole. — Jak mogą w tym wytrzymać? A w warunkach bojowych? A latem? — Nie do pojęcia. Ile to lat, od września osiemdziesiątego, równo z naszą „Solidarnością”.

Zaczęło się łatwo i przyjemnie. Entuzjazm. Wojna jak majówka. Wydawało się, że Iran jako państwo już nie istnieje. Destabilizacja kraju i krwawe czystki w armii, za szacha najsilniejszej na Środkowym Wschodzie, poruszenie wśród arabskiej ludności na terenach przygranicznych zachęcały, by sięgnąć po łatwy łup: bogate pola naftowe i rafinerie Abadanu. Była też sprawa Szatt-el-Arab, wspólnego ujścia Tygrysu i Eufratu, rzeki — drogi wodnej, która jest jedynym oknem na świat Iraku, nie-

słuchanie jednak newralgicznej, bo kontrolowanej przez Iran. I jeszcze: tutejszej dyktaturze bardzo potrzebna była zwycięska wojna, by wzbudzić falę prymitywnego szowinizmu w kraju, w którym wprawdzie niesłuchanie silne są więzy rodzinne, ale zupełnie brak społecznej solidarności i narodowej tradycji. Dyktatura oczywiście chciałaby być kochana przez naród, ale takiego narodu jeszcze nie ma. Narodu, który poczuwałby się do wspólnoty panarabskiej, ale jednak takiego, który by się czymś wyróżniał, nie tylko wymyślonym godłem, sztandarem i hymnem, który nade wszystko miałby własną historię. Zwycięstwo, wydawało się że łatwe, miało stać się zaczynem uczuć narodowych, nieznanym pustynnym Beduinom, prymitywnym rolnikom i samolubnym mieszczanom z wielkich miast. Pierwsze uderzenie poszło jak w masło, ale wkrótce okazało się, że wojna ma też swoją ciemną stronę. Alarmy, bombardowania, zabici i ranni, zaciemnienie, dezorganizacja zaopatrzenia, deficyt energii elektrycznej i wody, a także nagła i gremialna ewakuacja cudzoziemców przytłumiły dźwięki triumfalnych fanfar. A potem nastąpiły dwa wydarzenia, które wykazały, ile są naprawdę warte buńczuczne pokrzykiwania.

Jedno: w ciągu trzech minut izraelskiego nalotu przestał istnieć ośrodek atomowy pod Bagdadem, nadzieja na własną bombę.

Drugie: mimo uporczywych walk wojska irackie nie zdobyły Abadanu, głównego celu kampanii, lecz przeciwnie, w panice i z ogromnymi stratami cofnęły się na linię, która w przybliżeniu odpowiada dawnej granicy. Ściszej, zostały na tę linię zepchnięte, pobite, z wielkimi stratami.

W krótkich okresach między największymi upałami a porą deszczową, kiedy bagna są nie do przejścia, tamci przypuszczają kolejne ofensywy, odpierane krwawo po naszej stronie. Rok temu ich patroly przeszły Rzekę i okopały się po naszej stronie szosy, trwając, dopóki nie zniszczyło ich potężne uderzenie naszych wojsk pancernych od północy. Wszystkie osiedla zostały ewakuowane, a opustoszałe budynki w większości zrównane z ziemią. Z obu stron ogień nękający nie ustaje.

Mój dyżur skończył się wczoraj o północy. Było tak ciemno, że chociaż znam drogę wydawało mi się, iż zaraz na coś wpadnę. Nasza zakładowa załoga zanim bym się odezwał gotowa by postać mi serię „na słuch”. Ale nie, cały posterunek spał smacznie. Rano obudził mnie bliski wybuch. Przez okno ujrzałem nikły pióropusz kurzu. Z sąsiednich domów nasi biegli już do schronu. — Zabierają się do nas. — To było jasne. Wybiegłem na dwór. Mur nad moim oknem powoli zachodził wilgotnym liszajem. Z przebitego zbiornika na dachu chlustała woda. Byłem w połowie drogi do schronu, kiedy ziemię wstrząsnął następny wybuch, po nim drugi i trzeci. Padłem. Nasze wieże, budynki i instalacje

musiały być widoczne po tamtej stronie. Zresztą i my w chwilach ciszy wychodzimy na dachy najwyższych budynków i wtedy, kto ma dobry wzrok widzi u nich chmury kurzu wzniesiane przez samochody, pojedyncze palmy, jakieś budynki, zieleń.

A teraz leżę tu rozciągnięty jak głupi. Tak na dobrą sprawę to się nie boję. Padam właściwie dlatego, że wiem, że trzeba. Cała ta ich wojna tak bardzo mnie nie dotyczy, że nie mogę sobie wyobrazić, że mogłoby mi się cokolwiek stać. Całkowity zanik instynktu samozachowawczego. Tymczasem podczas porannych obchodów operatorzy zbierają odłamki z nocy. Podobno można się z tego zorientować co do kalibru i pochodzenia pocisków; mówią, że to ruskie. Ja się na tym nie znam. Wystarczy mi, że cały nasz teren otaczają wały ziemne, a worki z piaskiem osłaniają najważniejsze urządzenia. Czasem trzeba coś załatać, ale nie mieliśmy innych wypadków z ludźmi jak drogowe.

Ostatnie uderzenie poszło na Fao, wioskę i mały port u ujścia Rzeki, tuż nad morzem. Nasi zostali całkowicie zaskoczeni i uciekli bez oporu. W rozmowach z żołnierzami frontowymi wyczuwa się wyraźne zniechęcenie i brak wiary w pomyślne zakończenie konfliktu. Taki żołnierz się nie bije. Taki żołnierz ucieka.

Ofensywa to straty. Zwłoki żołnierzy z pobojowisk zwożone są do centralnej trupiarni w Habanija. Opowiadał mi o tym ktoś, kto tam odbierał zwłoki brata. Nad wszystkim wisi straszliwy odór psującego się mięsa. To, co kiedyś było ludźmi, a teraz stanowi zamrożone bryły, przerzuca się z kąta w kąt by znaleźć poszukiwanego. Czasem identyfikacja jest niemożliwa. Obok zwykłego w tym kraju niedbalstwa i naturalnego obrzydzenia, mużlanie dodatkowo obawiają się nieczystości zwłok, wobec tego popychają je i przewracają dragami. Wierzyć się nie chce. Okropność.

Znowu przez kraj pojadą taksówki z trumnami przykrytymi flagami na dachach. Nie zapomnę kosterka — tak nasi z poznańska nazywają japońskie coastery, autobusiki będące tu podstawą komunikacji. Ten wiozł żołnierską trumnę i lamentujące kobiety. Jedna gestem pełnym beznadziejności uniósła i opuszczała rękę ugiętą w łokciu. Prymitywne, co? — Ból wyrażać gestem i krzykiem. Jednak rozpacz i cierpienie muszą być prawdziwe. To jest wojna, na której się ginie, chociaż oni tak lubią przebierać się w kolorowe mundurki i kochają tę zabawę w wojsko.

Pomyśleć, że jeszcze niedawno piliśmy wino w Sheratonie w Basrze. Chude Angielki fikały nóżkami. Okna nocnej restauracji na najwyższym piętrze były rześcicie oświetlone. Hotel stoi nad samą Rzeką i musi być dobrze widoczny po drugiej stronie frontu. — Czemu nie zaciemniacie okien? — zwróciłem się do sąsiada półgłosem. — Przeciwnie, my specjalnie wszystko oświetlamy. Nie chcemy, żeby nas podeszli ukradkiem. — Sytuacja jak z Hemingwaya. *Piąta Kolumna*: luksusowy hotel w obłożonym Madrycie. Eksplozja. Kogoś wynoszą i zabawa toczy się dalej.

Mój rozmówca zginął w dwa tygodnie później w czasie nocnego patrolu.

Kiedy trochę ucichło, poszedłem w stronę schronu. — Ewakuacja. Odjazd za dwie godziny. — Porzucamy państwowy sprzęt i wyposażenie mieszkań. Żywność zostawiamy w lodówkach, ale na pewno zasilanie zostanie przerwane i nie będzie komu naprawić linii. Zmarnuje się. Jeżeli tu kiedyś wrócimy, zastaniemy ruiny. Wszystko rozkradną żołnierze i wysiedleńcy z okolicznych wiosek, którzy wałęsają się po pustyni. To już nasza trzecia czy może czwarta ewakuacja i zawsze tak było. Tak czy inaczej nikt z nas nie chce zostawić własnego dobytku. Chłopaki zdzierają nawet kalendarzowe plakaty Polimexu z rozebranymi panienkami i oczywiście także Matki Boskie Częstochowskie oraz zdjęcia papieża wiszące nad łózkami w pełnej wdzięku symbiozie, a potem tłoczą się z kuferkami i torbami do samochodów. Miejsmy nadzieję, że nasze zrujnowane landcruisery i rovery dojadą chociaż do Nasiriji. Nowiutki klimatyzowane wozy szefowie trzymają dla siebie w Bagdadzie. Nikt się nawet nie buntuje. Pewnie tak być musi, ale chociaż na ewakuację mogliby podesłać coś lepszego. Może nie wiedzą. Może. No, oczywiście, jeden z naszych wozów nie może zapalić. Niedobrze się robi na to dziaństwo.

Tymczasem przychodzi wiadomość o ataku rakiętowym na Amarę. Dwa Mirage odpaliły pięć rakiet. Jedna trafiła w fabrykę celulozy, reszta poszła w błoto. Niewypały. Rannych jest pięciu Polaków i podobno kupa Chińczyków. Nasi stamtąd też się ewakuują, choć są dalej od frontu.

Stuchamy radia. Stacje arabskie nadają muzykę wojskową i komunikaty. Zazwyczaj na krótkich falach przez parę godzin dziennie idzie rock i podobne hałasy. Dziś wszakże nadają muzykę poważną. To znaczy, że kiepsko. Czy dojdzie do załamania frontu? Czy jeszcze raz uda się naszym skutecznie interweniować manewrem pancernym elastycznie aplikowanym w neuralgicznych punktach? Co będzie, gdy spanikowane wojsko runie w kierunku Bagdadu? Czy ten reżim jeszcze wytrzyma?

Armia jest niezadowolona. Kto lubi siedzieć latami w okopach, na przedwojennych pozycjach, ale już po tęgim laniu? Po co? I z jaką perspektywą?

Ale nie tylko to. Na północy ciągle walki. Kurdystan odcięty jest od reszty kraju posterunkami przy szosach, które kontrolują każdy samochód zabierając wszelką żywność i poszukując broni. Chodzi o odcięcie zaopatrzenia dla tamtejszych partyzantów, ale oczywiście cierpi na tym ludność. W zasadzie można poruszać się tylko w konwoju wojskowym. Wsie, które pomagają partyzantom są pacyfikowane. Najpierw otaczają je czołgi i to jest sygnałem dla mieszkańców, by uciekać w góry. Następnie rozpoczyna się bombardowanie z dział i z helikopterów. Po zniszczeniu wioski przyjeżdżają buldożery i równają wszystko z ziemią. Gdy wojsko odejdzie, powracają pogorzelnicy próbując odgrzebać coś z ruin. Ale po takiej szkole nigdy nie pokochają tej władzy.

Niezadowolone jest miasto. Studenci w niepokoju czekają na karty powołań. Matki drżą o tych, którzy są na linii. Miejsca pracy żołnierzy już inni zajęli, partyjni leserzy, coraz częściej też kobiety, czasem cudzoziemcy. Zaopatrzenie jest niedostateczne. Drożyzna. Za granicę ich nie puszczają, a to przed wojną było tu powszechne i normalne. Prawie bez przerwy zbierane są składki „dobrowolne” i różne daniny na potrzeby wojenne. Często w złocie.

Jedyną szansą tej władzy jest to co właśnie zamierzała zmienić: brak w tym kraju solidarności i obywatelskiego poczucia odpowiedzialności za jego losy. Samolubstwo. Obojętność. Strach. Ale i to musi pęknąć.

Wehikuł reżimu toczy się w stronę przepaści.
No cóż, ja liczę na to, że wyskoczę w ostatniej chwili.

D. T.

APEL

Wśród ostatnio zwolnionych więźniów politycznych w Polsce znalazł się Leszek MOCZULSKI, przywódca Konfederacji Polskiej Niepodległej.

Witając na wolności tego nieustraszonego bojownika niepodległości, wyrażamy zaniepokojenie stanem jego zdrowia. Według otrzymanych wiadomości, wymaga on poważnej operacji serca. Chcielibyśmy zapewnić możliwość przeprowadzenia tej operacji przez specjalistów w Wielkiej Brytanii. Koszty takiej operacji i rekonwalescencji są bardzo wysokie.

W imieniu Funduszu Pomocy Krajowi zwracamy się do wszystkich Polaków w wolnym świecie z gorącą prośbą o składanie ofiar na powyższy cel. Przekazy pieniężne prosimy kierować na następujący adres.

FUNDUSZ POMOCY KRAJOWI (MOCZULSKI)
43 EATON PLACE, LONDON SW1X 8BX.

PREZYDIUM FUNDUSZU POMOCY KRAJOWI

Kazimierz SABBAT
Edward RACZYŃSKI
Edward SZCZEPANIK

Londyn, 17 września 1986 r.

Kultura przekazuje na „Fundusz Moczulskiego” F.2.500.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 416 — LEOPOLD UNGER

ORZEŁ I RESZTA

(Widziane z Brukseli)

Zawsze aktualny wybór esejów naszego stałego współpracownika BRUKSELCZYKA, w 8-miu częściach: *Na Zachodzie bez zmian, Dziury w przedmurzu, Spadek po Jalcie, Krótki kurs ZSSR, A jednak się kręci (Europa), Wieniec bez laurów, Ściana płaczu, Epilog.*

Str. 388.

Cena F. 150,00.

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcyonarz wileńskich ulic; Do Tomasa Venclovy; Noty o wygnaniu; List półprywatny o poezji; Dialog o poezji (z Witoldem Gombrowiczem); Portrety: Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe (Stanisław Vincenz), Jeffers, Szeszow albo czystość rozpaczy; Suedenborg i Dostojewski; Dostojewski i Sartre; Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sadzika, Sukiennicki, Andrzejewski.*

Str. 366.

Cena F. 120,00.

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

„PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaaresztowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.

TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Str. 336.

Cena F. 100,00.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Spotkanie w Rejkjawiaku zaczęło się równo miesiąc przed przyjazdem Reagana i Gorbaczowa do stolicy Islandii. W dniu 10 września ukazał się w sowieckich gazetach wywiad generalnego sekretarza KC KPZS dla *Rudego Prava*. Gorbaczow zażądał w nim „decyzji w kwestii rozbrojenia nuklearnego”, jako że z jednej strony „powszechnie wiadomo, że wojny nuklearnej rozpętać nie wolno i że nie może w niej być zwycięzców”, z drugiej zaś strony „polityka Stanów Zjednoczonych zaczyna ludzi coraz bardziej przerażać; oburzające przejawy militarystyki niejednemu otworzyły oczy i nikt już nie potrafi ukryć przerażenia wobec faktu, że rzeczywiście może dojść do katastrofy”.

W odpowiedzi na pytania redaktora *Rudego Prava* Gorbaczow jasno wyłożył swój pogląd: Amerykanie powinni zgodzić się na sowieckie propozycje, w przeciwnym wypadku wezmą na siebie straszną odpowiedzialność: *tertium non datur*. Generalny sekretarz dorzucił, że „mające wkrótce nastąpić spotkanie E. A. Szewardnadze z sekretarzem Stanu G. Shultzem pomoże wyjaśnić, w jakim punkcie stoimy i czy sowiecko-amerykański dialog ma szanse powodzenia”.

Spotkanie Szewardnadze z Shultzem „wyjaśniło”, że ma szansę. Gorbaczow wyznaczył Reaganowi termin spotkania w Rejkjawiaku.

Ważnym elementem „wyjaśniania szans” było aresztowanie amerykańskiego dziennikarza Nikołaja Daniłowa 30 sierpnia w Moskwie. Dawno już nie oglądaliśmy takiego pokazu niezrozumienia powodów, jakimi kieruje się kierownictwo sowieckie i techniki dyplomacji sowieckiej, która od 1917 roku działa ręką w rękę z *organami*. Na wiadomość o aresztowaniu amerykańskiego dziennikarza Zachód jak jeden mąż krzyknął: „Ach!”. Pierwsze wytłumaczenie sprawy było klasyczne: KGB postanowiło rzucić liberałowi Gorbaczowowi kłódę pod nogi i dlatego aresztowało dziennikarza. Zachodnie gazety najpierw się oburzyły, zaczęły

oskarżać ZSSR o branie zakładników. Sam prezydent Stanów Zjednoczonych wysłał do generalnego sekretarza list, zapewniając go, że Daniłow nie jest szpiegiem. Słowo prezydenta Stanów Zjednoczonych nie było dla generalnego sekretarza wystarczającą gwarancją. W czasie spotkania z mieszkańcami Stawropola Gorbaczow zresztą nazwał Reagana kłamcą, stwierdzając, że Daniłowa „złapano na gorącym uczynku”.

Zaczęły się pertraktacje, które w wyniku „badania szans” na polepszenie stosunków między ZSSR a USA zakończyły się wymianą amerykańskiego dziennikarza na sowieckiego szpiega, aresztowanego w sierpniu w Nowym Jorku.

„Afera Daniłowa” jest doskonałym przykładem „aktywnego stosowania środków” (by użyć języka sowieckiego) celem zbadania intencji Amerykanów. Operacja była starannie przemyślana. Po raz pierwszy aresztowano dziennikarza. (Amerykańscy dziennikarze przypomnieli sobie wprawdzie o aresztowaniu w 1949 roku dziennikarki Anny Luizy Strong, ale to były porachunki między swoimi: Anna Luiza Strong przez dziesiątki lat pracowała dla wywiadu sowieckiego). Aresztując Daniłowa Moskwa chciała wypróbować siłę „piątego mocarstwa”, czyli prasy amerykańskiej. Czy potrafi stanąć murem za swoim przedstawicielem? Chciała też sprawdzić, jak dalece prezydentowi amerykańskiemu zależy na spotkaniu na szczycie i czy gotów będzie udać się na nie mimo aresztowania amerykańskiego obywatela. Ponadto chciała pokazać, że „prawo Gorbaczowa” jest niezłomne: sowieckich szpiegów aresztować nie wolno! Generalny sekretarz przyjął tę zasadę wkrótce po objęciu stanowiska, kiedy rząd angielski ekspulsował z Londynu grupę sowieckich dyplomatów „złapanych na gorącym uczynku”. W odpowiedzi Moskwa natychmiast ekspulsowała taką samą grupę dyplomatów brytyjskich. Kiedy pani Thatcher wyrzuciła kolejną grupę sowieckich szpiegów, organy znów odpowiedziały oko za oko. Wielka Brytania zrozumiała aluzję. Aresztowanie sowieckiego szpiega Zacharowa uznano w Moskwie za wyzwanie i niezwłocznie aresztowano Amerykanina. Jak widać, Stany Zjednoczone też już rozumiały aluzję. Ubocznym, ale pozytywnym skutkiem aresztowania Daniłowa jest strach, w jakim teraz żyją wszyscy zachodni dziennikarze w Moskwie.

Kiedy Reagan zgodził się pojechać do Rejkjavik, mimo że w Genewie ustalono, iż „szczyt” odbędzie się w Stanach, i to pojechać przed wyborami do Kongresu, na co się długo nie zgadzał, operację „aktywnego stosowania środków” uznano w Moskwie za udaną. Sukcesem był w pierwszym rzędzie fakt, że głównym tematem rozmów Wielkiej Dwójki było rozbrojenie nuklearne.

Sowiecka dyplomacja od czasów Stalina przekonuje świat, że nic mu tak nie zagraża jak broń nuklearna w rękach Amerykanów. Od czasu apelu sztokholmskiego po dzień dzisiejszy przywódcy sowieccy „walczą o pokój” i wygrywają w każdym przypadku: czy Amerykanie idą na ustępstwa, czy nie. W pierwszym przypadku Związek Sowiecki przyczynia się do zwycięstwa po-

koju, w drugim demaskuje tych, którzy mu są przeciwni. Warto dodać, że Gorbaczow wezwał Reagana do Rejkjavik w przeddzień światowego kongresu pokoju, który rozpocznie się w Kopenhadze 18 października. Mówcy wyciągną z teczek drugi wariant swoich przemówień, przygotowanych przez Moskwę na wypadek, gdyby Reagan odrzucił warunki sowieckie.

Sukces sowieckiej dyplomacji polega też na tym, że pertraktacje rozbrojeniowe toczą się w atmosferze czysto sowieckiej „magii cyfr”. Twórcą tej techniki był Lenin. W 1919 roku Władimir Iljicz oświadczył: gdybyśmy mogli dać chłopom 100.000 traktorów, zaraz by powiedzieli „jesteśmy za komunią”, tj. za komunizmem. Ustanowienie bezpośredniego związku między liczbą a marszem do komunizmu i między liczbą a światopoglądem było genialnym odkryciem Lenina. Od czterdziestu już lat Sowietci powtarzają z roku na rok coraz głośniej: zmniejszcie o tyle a tyle liczbę rakiet, wyrzutni atomowych i bomb, a zrobimy krok w kierunku pokoju i powszechnego szczęścia.

Liczenie okrętów wojennych czy łodzi podwodnych mogło mieć sens w przeddzień pierwszej i drugiej wojny światowej, choć historycy pamiętają, że wszystkie traktaty, jakie w tej kwestii podpisywano, nie zapobiegły ani pierwszej, ani drugiej wojnie. Dziś podliczanie broni atomowych nie ma żadnego sensu poza jednym, że mianowicie wciąż zachodnich polityków w świat cyfr i planów, w którym sowieccy przywódcy czują się jak ryba w wodzie, a ludzie Zachodu są zgubieni.

Prezydent Stanów Zjednoczonych ponoć w ostatniej chwili nie zgodził się w Rejkjaviku na główne (i jedyne!) żądanie Gorbaczowa, mianowicie żeby odstąpił od programu IDS, czyli nuklearnego parasola obronnego nad Stanami Zjednoczonymi. Niektórzy komentatorzy uważają to za zwycięstwo Reagana, chociaż powinien był wiedzieć, czego od niego zażąda Gorbaczow i nie jechać do Rejkjaviku. Inni uważają to za porażkę i twierdzą, że Reagan nie wykorzystał szansy, nie zdał — mówiąc słowami Gorbaczowa — „egzaminu z dojrzałości historycznej” (wywiad dla *Rudego Prava*).

W oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków zauważmy tylko, że Gorbaczowowi udało się osiągnąć to, czego nie osiągnął Andropow: Amerykanie zgadzają się na usunięcie Pershingów z Europy Zachodniej w zamian za przeniesienie sowieckich SS-20 do Azji. Ale Związek Sowiecki i tak ma bliżej do Europy Zachodniej niż Ameryka. Nie mówiąc już o tym, że Gorbaczow z uporem podkreśla, że ZSSR jest przeciwny wojnie nuklearnej. Jak wiadomo, nie jest to jedyny typ wojny. Zaczyna się na przykład mówić o „wojnie mało intensywnej”. Przykładem takiej wojny był ostatni paryski wrzesień. Kilku terrorystów wstrząsnęło trzecim mocarstwem atomowym świata. Francuskie gazety publikowały oświadczenia francuskich polityków, jakoby wojnę przeciw Francji prowadziła „rodzina Abdallah”, zamieszkująca małą wioskę w Libanie, i że żaden „dyrygent” za nią nie stoi.

Można naturalnie zapytać, co są warte rakiety nuklearne, jeśli jedna rodzina uzbrojona w domowej produkcji bomby może —

prawie — powalić Francję na kolana. Można też spytać, czy nie należy rozpatrywać wojny „Abdallahowie *contra* Francja” jako kolejnej próby skuteczności „wojny małointensywnej”. Czy aby nie przeniesiono na teren Francji poligonu prób, które poprzednio przeprowadzano we Włoszech w epoce Czerwonych Brygad i w Niemczech Zachodnich w czasach bandy Baader-Meinhof? Francuski eksperyment jest wart uwagi, bo we Francji działali cudzoziemcy.

Spotkania na szczycie między zachodnimi politykami i generalnymi sekretarzami kończą się zawsze — niezależnie od ich wyniku — porażką Zachodu chociażby dlatego, że polityka zagraniczna znaczy co innego w ZSSR aniżeli w państwach demokratycznych. Stan permanentnego zagrożenia z zewnątrz jest głównym elementem legitymizującym władzę partii komunistycznej. Dziś odnosi się wrażenie, że jest to jedyny czynnik, na który powołuje się Gorbaczow.

Po miesięcznym urlopie Gorbaczow zatrzymał się w drodze powrotnej do Moskwy na południu Rosji, w krasnodarskim i stawropolskim kraju. Wizyty te przebiegają zgodnie z niezmiennym rytuałem: generalny sekretarz przyjeżdża do wybranego zakątka ZSSR (był już na Syberii, na Powołżu, niedawno na Dalekim Wschodzie), przechadza się wśród tłumów po ulicach, tu i ówdzie zagląda, żeby sprawdzić, jak naprawdę żyje prosty lud, „naradza się z narodem”. Generalny sekretarz daje pokaz „demokracji bezpośredniej”, zachowuje się niemal tak, jak demagog na ateńskiej agorze. „Chciałbym was spytać, czy jesteście zadowoleni z tego, co robimy w kraju” — zwraca się Gorbaczow do otaczających go pierścieniem krasnodarców. „Zadowoleni jesteście” — odpowiada tłum. Gorbaczow cieszy się z oceny narodu. Gotów jest odpowiadać na wszelkie pytania. Stenogram rozmów prowadzonych na krasnodarskich ulicach (*Prawda* z 19 września 1986) dowodzi, że pytania zadają ludzie znający się na rzeczy. Jeden pyta, dlaczego Stany Zjednoczone nadal przeprowadzają próbne wybuchy nuklearne w Nowadzie, ignorując sowieckie moratorium, drugi ma wątpliwości, czy Związek Sowiecki aby nie za miękko rozmawia z zagranicą. Gorbaczow wyjaśnia: nie, to nie miękkość, tylko cierpliwość. Po czym wyraża zadowolenie z inteligentnego pytania: „Rozumiem, chcielibyście, żeby Związek Sowiecki był silny i twardo prowadził pokojową politykę. Jest to słuszne pragnienie”. Generalny sekretarz zapytuje: kto jest za przebudową? Wszyscy.

Generalny sekretarz z uporem podkreśla konieczność przebudowy i przyspieszenia rozwoju: w przeciwnym razie „zdasz nas”. Podczas podróży na Daleki Wschód Gorbaczow użył dawno zapomnianego słowa „rewolucja”, które mu służy jako postrach. Przemawiając w Moskwie na wszechzwiązkowym zebraniu kierowników katedr nauk społecznych (*Prawda* z 2 października 1986) Gorbaczow powiedział, że w sowieckim społeczeństwie „zachodzą głębokie, jakościowe, można by rzec rewolucyjne przemiany”. Główny ideolog Ligaczow w pełni się z tym zgadza:

„ostry zakręt, jaki bierze obecnie społeczeństwo sowieckie, ma w zasadzie rewolucyjny charakter”. Jest to szczególna rewolucja i nie przypadkiem jej przywódcy zastrzegają się: „można by rzec rewolucyjne przemiany”, „w zasadzie rewolucyjny charakter”. Specyfika gorbaczowowskiej rewolucji polega na tym, że jest to rewolucja na rozkaz i z polecenia najwyższej instancji. Generalny sekretarz przypomniał w Krasnodarze (*Prawda* z 20 września 1986): „I niech nikt nie zapomina..., że nasza partia jest partią rządzącą”.

Rządząca partia organizuje rewolucję dla umocnienia swej pozycji.

W czasie każdej podróży po kraju i w każdej „rozmowie z narodem” Gorbaczow przypomina, że „w ostatnich latach nie wszystko u nas było tak, jak należy” (*Prawda* z 19 września 1986). Wyszło to na jaw w dniu, w którym generalny sekretarz objął stanowisko. Cóż się takiego stało? Dlaczego po wspaniałych początkach (1917 rok) taki mizerny koniec (przełom lat 70-tych i 80-tych)? Dlaczego trzeba przebudowywać „gospodarkę, organizację społeczną (mieszkania, usługi, lecznictwo, szkolnictwo)”? Dlatego — tłumaczy wybitny marksista Gorbaczow — że powstał rozdział „między materią a świadomością”. Świadomość nie nadąga za rozwojem materialnym. Byt wyprzedził świadomość.

Przeczytałem to objaśnienie i zasmuciłem się. O ileż ładnie brzmiało to w pierwotnej wersji, 55 lat temu! Kiedy towarzysz Stalin odkrył „rozdział”, zacytował Hegla: „Sowa Minerwy wylatuje tylko nocą”. Innymi słowy świadomość zostaje trochę w tyle za faktami” (tom XII, str. 232).

Stalinowska technika zmniejszania „rozdziewu” polega na gotowości bojowej. Jak wiadomo, nawet Stalin nie od razu ją zastosował. Na razie Gorbaczow bezustannie powtarza, że są „siły” przeciwne przebudowie i opierające się „przyspieszeniu rozwoju”. Jegor Ligaczow w przemówieniu na zjeździe wykładowców nauk społecznych wskazał gdzie należy szukać opornych. Zadanie wykładowców nauk społecznych, krzewicieli ideologii, polega na „kształtowaniu w osobowości studenta” cech „współczesnego sowieckiego specjalisty”. Przede wszystkim — przypomina Ligaczow — „bezgranicznego oddania sprawie partii”.

Kształtowanie „bezgranicznego oddania sprawie partii” napotyka na pewne przeszkody. Ligaczow nie tylko ich nie ukrywa, ale nazywa je po imieniu. Pierwszą przeszkodą jest „bezduszny zachwyt dla importu”. Dotyczy on „określonej części naszych uczonych, inżynierów, konstruktorów, specjalistów”, wśród których szerzy się szal „zakupów z importu”. Główny ideolog poucza, że do wszystkiego należy dochodzić własnym rozumem, jak Łomonosow, jak wynalazca radia Popow, jak Mendelejew, Ciołkowski i inni.

Po drugie Ligaczowa niepokoi fakt, że ludzie „zaczynają przebąkiwać o potrzebie tolerancji wobec idei religijnych, o konieczności powrotu do etyki religijnej”. Sekretarz KC jest takim sugestiom kategorię przeciwny i przypomina „elementarną zasadę marksizmu, że religia bynajmniej nie jest źródłem moral-

ności... Normy moralne wytworzył i utrwalił lud pracujący w toku wielowiekowej walki przeciw uciskowi i przemocy bogaczy...". Ważne jest też — podkreśla Ligaczow — że „w szaty religii przystraja się też burżuazyjny nacjonalizm. Widać to wyraźnie np. w działalności reakcyjnej części duchowieństwa muzułmańskiego, unickiego, katolickiego”. Prawosławie i protestantyzm widocznie na razie mówcze zadowolają.

Czego w sumie brak naukom społecznym, dlaczego wśród studentów szerzą się wyżej wymienione i inne zarazy? Dlatego, że „na wykładach mówi się jedno, a w realnym życiu studenci widzą coś całkiem innego”. Ligaczow nazywa tę chorobę po prostu: deficyt prawdy. „W wykładach nauk społecznych brak leninowskiej prawdy”.

Do najślynniejszych powiedzeń Stalina należy jego odpowiedź pisarzom, którzy w 1934 roku, po pierwszym zjeździe pisarzy sowieckich, zwrócili się do wodza narodów z pytaniem, jak teraz pisać. Ojciec i nauczyciel odpowiedział zwięźle: piszcie prawdę. Wówczas trzeba było pisać prawdę stalinowską. Dziś — leninowską.

Chcąc zlikwidować „deficyt prawdy”, Ligaczow nie cofa się przed niczym: „Niekiedy ludzie pytają: dlaczego do rozwiązania pewnych problemów trzeba się zabierać po kilka razy?”. Odpowiedź na to pytanie znajduje u Lenina: „Jeszcze nie raz przyjdzie poprawiać, przerabiać, zaczynać od nowa...”.

Politolog i publicysta Fiodor Burłackij, recydywista „odwilży”, bliski dziś zwolennikom „przyspieszenia”, wraca w długim artykule pt. „Otwarta rozmowa” do problemów nieustannego „poprawiania i przerabiania” systemu sowieckiego. Artykuł ma formę dialogu dwóch sekretarzy obwodowych komitetów partii, Streszniewa, byłego sekretarza, który nie rozumiał potrzeby „przyspieszenia”, i Szirokowa, nowego sekretarza, skrojonego na miarę nowych czasów. Streszniew wspomina: „Za naszej pamięci już trzeci raz natykamy się na te zagadnienia. Pierwszy raz po śmierci Stalina... O niczym innym wtedy nie mówiono jak o reformach, o demokracji, o samorządzie społecznym. I co z tego wyszło? Po raz drugi w roku 1965, kiedy plenum uchwaliło początek reformy rolnej. I znowu nici. Wszystko się ulotniło jak kamfora, jakby się pod ziemię zapadło”. Streszniew ma zupełną rację: „Nie dla nas ta droga. Jest sprzeczna z całym systemem”. Szirokow dochodzi do innego wniosku: „Fakt, że już kilka razy przymierzaliśmy się do reform dowodzi tylko, że są konieczne. Wtedy nie starczyło odwagi albo woli politycznej. Teraz wola jest”.

Fiodor Burłackij nie uważa nawet za konieczne napisać, kto mianowicie ucieleśnia „odwagę i wolę polityczną”. Jest to samo przez się zrozumiałe: każdy nowy generalny sekretarz tak długo mówi o reformach, aż dojdzie do wniosku, że to już mu nie jest potrzebne.

W ostatnim „Dzienniku pisany nocą” (*Kultura* nr 10, 1986) Gustaw Herling-Grudziński nazywa mnie „czarnowidzem”. Nie jest to zapewne całkiem bezpodstawne, nigdy jednak nie omiesz-

kam wspomnieć i o jasnych stronach sowieckiej rzeczywistości. Na przykład władze postanowiły ulżyć nieco obywatelom, znękanym niespodziewanymi przeszkodami, jakie nawet najbardziej oddani spośród nich napotykalą na drodze do wódki (kolejki ustawiają się o siódmej rano, sprzedaż rozpoczyna się o drugiej po południu): obecnie w sklepach z owocami można niemal bez kolejki dostać za dziewięć rubli flaszkę rewolucyjnego napoju „Rum Hawanna” o 60° zawartości alkoholu.

Wypada z całym poszanowaniem dla leninowskiej prawdy przyznać, że nie ze wszystkim jest tak źle, jak by się na pierwszy rzut oka wydawało.

Adam KRUCZEK

14 września 1986

Kronika niemiecka

Arcybiskup Kolonii kardynał Joseph Hoeffner, przewodniczący *Konferencji Biskupów Niemiec*, wygłosił na Jasnej Górze kazanie, w którym mówił o pojednaniu między Niemcami i Polakami. Wystąpienie spotkało się z aplauzem zgromadzonych ok. 150 tys. wiernych. Delegacja biskupów z RFN odwiedziła groby kardynała Wyszyńskiego i ks. Popiełuszki. ■ W Kolonii na aukcji antyków sprzedano 7-stronicowy manuskrypt muzyczny Fryderyka Chopina za 440 tys. marek. Nie udało się ustalić, kto jest nabywcą. ■ Najbardziej antyniemieccy propagandyści — Eugeniusz Guz (*Polska Agencja Prasowa*) i Daniel Luliński (*Trybuna Ludu*) — objęły ponownie stanowiska korespondentów w Bonn. Sprawozdawcą *Życia Warszawy* — na miejsce Zbigniewa Ramontowskiego — mianowano Michała Jaranowskiego. ■ Marzenna, córka Eugeniusza Guza, dziennikarka *Polskiego Radia*, była przez szereg tygodni w Hamburgu gościem Marion hr. Dönhoff (*Die Zeit*). Także Adam Krzemiński z warszawskiej *Polityki* korzystał przez kilka miesięcy ze stypendium *Die Zeit*. ■ *IV Marsz Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów (ChSWN)* odbył się na tradycyjnej trasie Carlsberg - Neustadt - Zamek Hambach. Głównym referentem był Andrzej Wirga, reprezentant *Solidarności Walczącej* na terenie Europy Zachodniej. Występowali ponadto: dr Jolanta Gontarczyk (prezes *ChSWN*); Wincenty Broniów-Orliński (w imieniu *Rządu R.P. na Obczyźnie*); Krystyna Nurkowska (*PPS*); dr Władysław Wojno (*Oddział Rady Narodowej w Niemczech*) i ks. prof. Franciszek Blachnicki, założyciel *ChSWN*. Podobno w imprezie wzięło udział ok. 350 osób. ■ *Kisiel w Tygodniku Powszechnym*: „W prasie naszej panuje ostatnio zwyczaj złośliwego podgryzania rządzącej w RFN partii chrześcijańsko-demokratycznej *CDU* i jej kanclerza Kohla, a wychwalania opozycyjnej socjaldemokracji z mgławicowym dzisiaj, starzejącym się frazeologiem Brandtem na czele. Celuje w tej akcji niejaki Luliński, dziennikarz dyspozycyjny, ale za to bardzo zły, za nim pędzi falanga Podkowińskich, Wojnow, Ramontowskich. Otóż wydaje mi się to polityką wręcz samobójczą, podrzynaniem gałęzi na której się siedzi”. ■ W Hamm-Sieg (Nadrenia Północna-Westfalia) został założony *Emigracyjny Klub „Solidarność”*. Opracowano statut i wybrano

tymczasowy zarząd z przewodniczącym Ryszardem Moździerzem, członkiem Zarządu Regionu Dolnośląskiego, b. internowanym. Biuro Klubu mieści się w Berlinie Zachodnim: c/o Krzysztof Jagielski, Neuköllner Str. 266, D-1000 Berlin 47. ■ Poznański Teatr Nowy pod dyrekcją Izabelli Cywińskiej wystawił m.in. we Frankfurcie, Krefeld, Neuss i Wuppertalu sztukę Janusza Wiśniewskiego — *Koniec Europy*. ■ Stocznia Remontowa Żegluga Śródlądowej (Wrocław) buduje zbiornikowiec dla firmy *Elbe* (RFN). Jest to pierwszy tego rodzaju kontrakt eksportowy po 15 latach przerwy. Zbiornikowiec ma mieć ładowność 1.200 ton; ma być wodowany 25 listopada br. ■ Po 3-godzinnym spotkaniu w siedzibie ONZ w Nowym Jorku ministrów spraw zagranicznych Genschera z RFN i Orzechowskiego z PRL, w prasie zachodniemieckiej ukazało się szereg artykułów zwracających uwagę na perspektywę pomyślniejszego rozwoju wzajemnych stosunków. Mówi się także o możliwości odwiedzenia Polski przez kanclerza RFN lub nawet przez prezydenta von Weizsäckera. W czasie rozmowy Genschera z Orzechowskim w Nowym Jorku poruszono szereg zagadnień spornych. Szef bońskiego *Auswärtiges Amt* poddał krytyce politykę władz PRL w kwestii łączenia rodzin. Opowiedział się również za rozszerzeniem wzajemnych stosunków, między innymi w dziedzinie wymiany młodzieżowej, którą obecne władze w Polsce nadal ograniczają lub wręcz uniemożliwiają. Orzechowski ze swej strony wyraził niezadowolenie z powodu obecnego stanu wzajemnych stosunków gospodarczych. Poważną przeszkodą na drodze rozwoju stosunków ekonomicznych PRL-RFN jest oczywiście sytuacja finansowa PRL. Warszawa ma ciągle zaległości w spłaceniu Niemcom Zachodnim nawet tych rat zadłużenia, które zostały uzgodnione podczas ostatnich układów konwersyjnych. W związku z tym rząd PRL nie może korzystać z gwarancji kredytowych w wysokości 100 mln marek, obiecanych niedawno przez Bonn, ale związanych z punktualnym spłaceniem zadłużenia. ■ W Berlinie Wschodnim zakończyło się spotkanie przewodniczących Komitetu Współpracy Gospodarczej i Naukowo Technicznej Polski i NRD. Ogółem zawarto 130 umów o specjalizacji i kooperacji w produkcji zarówno dwustronnej, jak i wielostronnej w ramach *RWPG*. W wyniku współpracy obroty handlowe będą w tym roku o 13 % większe niż w roku minionym. O 18 % wzrosną również w stosunku do roku 1985 wymiana handlowa artykułów konsumpcyjnych. ■ Jewgienij Jewtuszenko i Andriej Wozniesińskijski przebywali w Berlinie Zachodnim na zaproszenie tamtejszej Akademii Sztuk. Jewtuszenko w II programie niemieckiej TV stwierdził, że dla niego istnieje jedna literatura niemiecka, a nie zachodnio- czy wschodniemiecka. ■ Stosunki dwustronne Polska-RFN, ochrona przyrody oraz międzynarodowe kontakty gospodarcze były w Warszawie tematem seminarium zorganizowanego przez PISM i Fundację im. Konrada Adenauera w Bonn. Strona polska próbowała wmontować do programu obrad kwestię „zachodniemieckiego rewizjonizmu”, nie jednak z tego nie wyszło. Sporo było mowy o katastrofalnym stanie ochrony środowiska w PRL (nie ma wody i pieniędzy). Dr Alexander Uschakov (Kolonja) wygłosił referat na temat stosunków Europejskiej Wspólnoty i *RWPG*. Obrady prowadził dr Mieczysław Tomala (PISM). Były to pierwsze oficjalne kontakty zbliznionej do CDU Fundacji im. K. Adenauera z warszawskimi komunistami. ■ Specjalny dodatek do pisma *Das Parlament* (redakcja w Bonn) wypełniają dwie obszernie i udokumentowane prace — Dietera Bingena *Jaruzelskis Polen im Jahre fünf* (Polska Jaruzelskiego w piątym roku istnienia) i Georga W. Strobla *Gewerkschaftssystem und Arbeiterinteressen in Polen* (System związków zawodowych i interesy robotników w Polsce). ■ Na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu odbyła się konferencja naukowa historyków Polski, NRD i RFN, poświęcona roli Niemiec w działaniach, zmierzających do zniesienia postanowień traktatu wersalskiego. Konferencje będą

kontynuowane w ramach koordynowanego przez UAM problemu badawczego p.n. *Niemcy - Polska: tradycje, myśli, dążenia*. ■ Kolońska rozgłoszenia *Deutsche Welle* nadała w kilku językach audycję Margitty Weber poświęconą 10-leciu powstania KOR-u (*Wybuchowy sojusz intelektualistów i robotników*). ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung*: „Zupełnie nowa Polska; teraz — gdy po ulicach spacerują Bujak, Frasnyniuk, Borusewicz i Moczulski”. *Süddeutsche Zeitung*: „Powstała obecnie w Polsce zupełnie nowa sytuacja, która stwarza możliwości rozmów z rządem w Warszawie”. ■ W Republice Federalnej żyje obecnie 110 tys. zameldowanych Polaków. Głównymi skupiskami są Berlin Zachodni i Hamburg. Niemiecy obserwatorzy oceniają, że tylko co 7-my-8-my z ubiegających się o azyl ma do tego polityczne podstawy. Polacy szukają jedynie lepszych warunków ekonomicznych. Władze niemieckie są przekonane, że mimo wszystko 2/3 tych, którzy azylu nie uzyskali pozostanie na stałe w RFN. Przywódcy CDU w Badenii-Wirtembergii i Szlezewiku-Holsztynie uważają, że Polacy również powinni zostać objęci akcją deportacyjną. Najpóźniej do kwietnia 1987 roku ministrowie spraw wewnętrznych poszczególnych *Land*ów RFN mają przedstawić propozycje co do przyszłej praktyki wobec uchodźców z Europy Wschodniej. Na mocy uchwały konferencji ministrów spraw wewnętrznych z 1966 roku uchodźcy z tych państw mogli pozostać w RFN, nawet jeśli odmówiono im azylu. ■ Związek Polaków w Niemczech *RODŁO* zrzessa z 1966 roku uchodźcy z tych państw mogli pozostać w RFN, nawet jeśli odmówiono im azylu. ■ Związek Polaków w Niemczech *RODŁO* powstało w Berlinie w 1922 roku). Związek utrzymuje dobre kontakty z ambasadą PRL w Kolonii, skąd otrzymuje stale polskie gazety, czasopisma i książki. W *RODLE* brakuje młodzieży: zarząd Związku myśli z niepokojem, co będzie za 10 lat. ■ Dr Andreas Lawaty z darmsztackiego *Deutsches Polen-Institut*, rodem z Bytomia, przygotował na 65-tą rocznicę urodzin dr Karla Dedeciusa (wraz z Elvirą Grözinger, także współpracowniczką tego instytutu) wspaniałą księgę okolicznościową — *Suche die Meinung*. Wśród autorów jest wielu uczonych, krytyków i ludzi kultury, m.in. Polacy Stanisław Barańczak, Konstanty Jeleński, Jan Zieliński, Hubert Orłowski, Stanisław Salmonowicz, Marian Szyrocki, Olga Dobijanka-Witzakowa, Maria Janion, Tadeusz Różewicz, Witold Wirpsza i Ewa Lipska. ■ Otwin Buchbender und Julius Mrosik ogłosili na łamach *Deutsche Studien* (Lüneburg) zbiór dokumentów dotyczących działalności dywersyjnej rozgłosni p.n. *Wanda*, która nadawała audycje w języku polskim z Mediolanu w latach 1944-1945, w ramach propagandowej akcji *Wehrmacht* pod kryptonimem *Südstern* (*Gwiazda Południa*). Autorzy korzystali z dokumentów znajdujących się w archiwum Instytutu im. gen. Sikorskiego w Londynie. Szkoda, że materiały dotyczące polskich kolaborantów nie są wykorzystywane przez emigracyjnych historyków. ■ Rząd RFN utrzymuje, że w Polsce mieszka ok. 125 tys. osób pochodzenia niemieckiego, które pragną wyemigrować do Republiki Federalnej. ■ Niemiecka TV wydobyła z zapomnienia turecki Adampol; w reportażu zaznaczono, że mieszka tam jeszcze kilkanaście polskich rodzin. Przeprowadzono na miejscu wywiady i pokazano zdjęcia z polskiego cmentarza. Większość Turków polskiego pochodzenia pracuje od dawna w RFN. ■ W kolońskiej *Simultanhalle* wystawiali tkaniny artystyczne i grafiki Maria i Janusz Pac-Pomarnacy przy współpracy Jacka Łakomego. Polscy plastycy wywodzą się z Grupy III, która aktywna była w kraju do 1983 roku. ■ Na XXXVIII Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie n/Menem polskie oficyny wydawnicze na emigracji i niezależne publikacje krajowe były prezentowane na trzech stoiskach: paryskiego Instytutu Literackiego (Kultura), londyńskiej Polonia Book Fund Ltd. (stoisko zbiorowe obejmujące również wydawnictwa *Aneksu*, zachodnioblińskich oficyn *Pogład*, *Archipelag* i *Veto*, paryskich *Zeszytów Literackich* i londyńskiej *Odnowy*), na trzecim stoisku zwiedzający mogli się zapoznać z książkami

paryskich *Spotkań* i londyńskiej *Polskiej Fundacji Kulturalnej*. Na wystawie *Institutu Literackiego* poza najnowszymi pozycjami książkowymi dodatkowa atrakcja: na *Targi* zdążyły dotrzeć serie znaczków pocztowych, wydanych w podziemiu. W edycji filatelistycznej, poświęconej 40-leciu *Kultury* znalazły się portrety Jerzego Giedroycia, Józefa Czapskiego, Zofii Hertz, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Zygmunta Hertza, Juliusza Mieroszewskiego i Konstantego Jeleńskiego. Frekwencja dopisała znakomicie. Specjalne audycje o oficynach emigracyjnych nadały rozgłośnie: *Wolna Europa*, *Deutschlandfunk*, *Voice of America* i *Hessischer Rundfunk*. Obecność polskich wydawnictw niezależnych odnotowała po raz pierwszy wielka agencja *DPA*. ■ W czasie trwania *Targów* we frankfurckim kościele św. Pawła odbyło się uroczyste wręczenie nagrody pokojowej *Niemieckiej Gildii Wydawców i Księgarzy* Władysławowi Bartoszewskiemu. Przy wręczeniu nagrody obecny był prezydent Republiki — Richard von Weizsäcker. Przyjęte z wielkim aplauzem wystąpienie Bartoszewskiego zostało przedrukowane przez wielkie dzienniki niemieckie, a rozgłośnie telewizyjne i radiowe poświęciły sylwetce Bartoszewskiego specjalne programy. Rządowy tygodnik *Das Parlament* wydrukował w dodatku nadzwyczajnym półtorastronicowy wywiad z polskim laureatem, który przeprowadziła Helga Hirsch. 5 października br. był „polskim dniem” we Frankfurcie n/Menem. ■ Na koniec kilka liczb: frankfurcka „olimpiada drukowanego słowa” zgromadziła w tym roku 6.920 wydawców z 61 krajów. Na 96 tys. metrów kwadratowych wystawiono 120 tys. tytułów, z czego 80 tys. stanowiły nowości. Hale targowe odwiedziło ok. 125 tys. osób.

Andrzej J. CHILECKI

ORBIS BOOKS (LONDON) LTD.

NAJSTARSZA
KSIĘGARNIA POLSKA W LONDYNIE

66 Kenway Road, London SW5 ORD

Telefon: 01-370 2210

Książki polskie — wydawnictwa emigracyjne i krajowe — oraz w języku angielskim (również wydawnictwa amerykańskie) dotyczące spraw polskich i Europy Wschodniej. Wydawnictwa zachodnie w języku czeskim, rosyjskim i ukraińskim.

Prowadzimy dział antykwaryczny książek polskich — wydania przedwojenne i emigracyjne. Wykazy wysyłamy na żądanie. Prosimy o nadsyłanie dezyderatów.

Słowniki — książki dla dzieci — płyty i kasyety.

Wykonujemy zamówienia pocztowe. Przyjmujemy karty kredytowe ACCESS, VISA, AMERICAN EXPRESS, EUROCARD, MASTERCARD.

Nasz biuletyn informacyjny *NOWE KSIĄŻKI* ukazuje się 3 razy do roku.

Prenumerata roczna: £ 3.00; \$ 5.00 — dla stałych klientów bezpłatna.

Kronika kulturalna

Proza Tadeusza Nowakowskiego

CZYLI NAJPIĘKNIEJSZE PRZEKLEŃSTWO ŚWIATA

„...i do naszego stołu podchodzi wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o wyrażającej wewnętrzną siłę i inteligencję twarz, oczy stalowoszare z leciutkim zezem, ta twarz poryta pionowo bruzdami znamionującymi wieloletnie cierpienie — raczej moralne niż fizyczne — garnitur dość elegancko uszyty, choć podniszczony, a także kołnierz troszkę przyprószony łupieżem, lecz dłoń mocna i sucha, uścisk ręki przyjemny, pełen powagi, szcunku. (...) Przygląda mi się on badawczo, ale nie natrętnie, następnie bez żadnych zbytecznych wstępów zaczyna wygłaszać gładką i niezłe skonstruowaną recenzję mojej książki. Rejestruję dużo przymiotników, wypowiedzianych na jednym oddechu, bez zajknięć: prężna, zwarta, świeża, emocjonalna, gniewna, odkrywczą... (...) Radiowiec ten Nowakowski! Zaserwował mi półgodziną AUDYCJĘ, tyle że prywatną, w intymniejszym sosie...¹”

Tak opisywał Tadeusza Nowakowskiego gwiazdor literatury krajowej roku 1968, Andrzej Brycht, swojski mistrz ostrego paszkwilu. A oto ów moment poznania w wersji drugiej strony:

„A więc zjawił się któregoś dnia ów dryblas o z lekka prosiaczkowatej urodzie i knajackim uśmiešku, przedwcześnie otyły, w dęciaku, wcięty w pasie, elegant z Woli (...), w sakpalcie (...), a z tego sakpalta zaraz na progu wyjął butelkę siwuchy, potrząsnął nią radośnie w rękawiczkach *peccari* i powiedział, że bardzo, bardzo się cieszy, zawsze o tym marzył, żeby poznać mnie osobi-

1. Andrzej Brycht, „Raport z Monachium”, PAX, Warszawa 1968, str. 66-67.

cie (...) i zapytał, czy też mam taki kapelusz jak on, a jeśli mam, to niech pokażę... Potem wziął mój kapelusz w boksyerskie łapki, zmiął go i powiedział: 'Zobaczymy, he-he, czy się rozprostuje, bo mój, jak go zmiąć, to sam się po chwili, he-he, rozprostowuje'. Mój się sam po chwili nie rozprostował²".

Na pozór niewiele w zestawieniu tych dwóch opisów sensu. Bo i cóż wynika z oczywistej przewagi Tadeusza Nowakowskiego w trudnej sztuce paszkwilu, po co w ogóle dotyczyć śliskiego i wstydliwego tematu jego publicystycznego mistrzostwa, skoro mowa ma być o Twórczości Literackiej, sprawie poważnej i (na szczęście, na szczęście) nic z tymi błyskotliwymi wybrkami nie mającej wspólnego? Ba, gdybyż tak było! Ale dziennikarski geniusz Nowakowskiego — na własną odpowiedzialność i z pełnym przekonaniem używam tego słowa — zbyt mocno wpłynął na recepcję jego pisarstwa i w kraju, i na emigracji. Ona z kolei zaowocowała kompleksem, który się wciąż przez jego książki przewija. O mały włos nie stał się kiedyś Tadeusz Nowakowski pisarzem emigracyjno-krajowym, jego „Obóz wszystkich świętych” był już u nas przygotowany do druku, fragmenty zamieściły i *Tygodnik Powszechny*, i *Polityka*, po cichu zgłoszono ponoc książkę do prestiżowych nagród literackich, krytycy szykowali się do triumfalnego ogłoszenia, że pustka przy i po Borowskim została zapełniona, i to jak! Niestety, zza pleców żywego klasyka wyskoczył nagle Politykier, Paszkwilant, Rycerz Zimnej Wojny i skład „Obozu Wszystkich Świętych” rozrzucono. W dziesięć lat później — widać to nawet po tomiku Brychta — drzwi do Kraju zaczęły się znów przed Nowakowskim uchylać: jakby nie było, taki talent! Taka inteligencja! Taka nawet — jeśli już brać pod uwagę pełny kontekst — postępowość! Ale cóż począć z człowiekiem, który przez całe życie zachowuje się jak Alfred Jarry na łożu śmierci: z kimś, kto zapytany w chwili konania o ostatnie życzenie, prosi o wykałaczkę? I pozostał Nowakowski naszą *bête noire* — mniej lub bardziej *noire* zależnie od meandrów historii. Z czego nie wynika bynajmniej, że emigracja dmie na jego cześć w fanfary.

Bo czy może — wieczne pytanie literackiej krytyki — czy może urodzony propagandysta, świetny dziennikarz być jednocześnie wybitnym pisarzem? Jakże darować komuś, kto znosi z wrogiego, konkurencyjnego podwórka „publicystyki” doraźne pasje i namiętności, podejrzaną łatwość władania słowami, szpile dowcipu, złośliwości, parodii, karykatury, niezliczone barwności, bardziej na miejscu w radiowej improwizacji niż w KSIĄŻCE, dziele poważnym zawsze w końcu mającym szanse na stanie się

2. Tadeusz Nowakowski, „Aleja dobrych znajomych”, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1968, str. 310.

kiedyś lekturą szkolną? Więcej szarzyzny, na Boga, więcej zgrzebności, ładu, równych szwów na solidnym beletrystycznym samodzielu! Maria Danilewicz Zielińska w „Szkicach o literaturze emigracyjnej³” podsumowuje nowsze utwory Nowakowskiego zdaniem: „Zawodowa praktyka radiowa szkodzi słowu pisanemu”, i zdanie takie nie mogło się nie pojawić. Co gorsza, sam pisarz nie oparł się sile tego filologicznego aksjomatu. W szkicu o swym sławnym imienniku (nie krewnym) Zygmuncie Nowakowskim stwierdza wręcz *ex cathedra*, niczym człowiek w pełni już zaindoktrynowany: „Dwóm Bogom służyć nie można: literaturze pięknej i twórczości użytkowej⁴”, sam zżyma się na ludzi ceniących go za „konfekcję literacką” czy wręcz „dewocjonalia patriotyczne”, podejmuje próby odejścia od własnej biografii, obsesji polskości, magii chwili — próby, na szczęście, nie do końca konsekwentne.

Eau de Pologne

„Bogurodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo, Nike Grunwaldu i wiedeńskiej wiktorii, puklerzu bitwy warszawskiej, gwiazdo Kołomy i Oświęcimia, kotwico Polski Walczącej, larum montekasyńskiej potrzeby, Madonno ostatniej barykady, sanitariuszko Szarych Szeregów...”. Ten początek własnej litanii ułożonej „na akademię piśsudczyków”, przyjętej ze wzruszeniem, recytowanej po latach z pamięci przez przypadkowo spotkanych ludzi, cytuje powieściowiec *alter ego* Nowakowskiego⁵ niemal ze wstydem i niesmakiem: oto, co zdobywa prawdziwą popularność. Konfekcyjka... Wstyd i niesmak wydają się zresztą raczej haraczem na rzecz wszechmocnej Obiegowej Opinii. Rozdarcie na propagandystę i pisarza nie wiąże się w wypadku Nowakowskiego z kwestią „jakości”. W jego pisarstwie znalazła schronienie gorycz, to wszystko. Gorycz — i ten skrawek ciemności, dla którego nie ma miejsca gdzie indziej, a który trzeba próbować zrozumieć, opowiedzieć, uwiecznić.

„W czterech nowoczesnych aerodynamicznych samochodach-kaplicach nadjechali kapelani wojskowi: pop, rabin, ksiądz i pastor. (...) Samochody stanęły obok siebie, koło w koło. Po otwarciu tylnych drzwi ukazały się ołtarze polowe. Żydówki ustawiły się przed samochodem ze złotą gwiazdą na burcie. (...) W głębi sąsiedniego samochodu złociły się ikony. Tłumy katolików przyklękły przed ołtarzem Matki Boskiej. Zaczęły się modły. Pienia

3. Instytut Literacki, Paryż 1978.

4. Tadeusz Nowakowski, „Aleja dobrych znajomych”, str. 70.

5. Tadeusz Nowakowski, „Byle do wiosny”, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1975.

w kilku językach były nagrane na płyty, ale wnet je zagłuszono. Kilkujęyczny śpiew łamał się, urywał i nakładał na siebie jak fale radiowe, aż wreszcie buchnął jeden wielki, nieartykułowany lament wszystkich ludzi. Żydówki przypadły do nóg rabina jak fale jeziora do brzegu. Zastygły, chwytając powietrze ustami, wzywając bez krzyku imienia Jego, Adonai, który nie może być przez śmiertelnych nazwany. Polki kładły się krzyżem, prawosławni bili się w piersi, Włosi z krzykiem podnosili ręce do nieba, Kałmucy zawodzili głucho i przeciągle. (...) Przez gigantofon huczały organy. Niebo pomrukiwało samolotami. Na pobliskiej szosie płynęły kolumny samochodów. (...) Potężny głos wołał na płycie:

— My God... mon Dieu... Mein Gott... Hospody, pomyśluj... Boże nasz... mio Dio...".

Ten opis nabożeństwa dziękczynnego za odzyskaną wolność, nabożeństwa międzynarodowego tłumu kacetowców zwiezionych przez wyzwolicieli na dawny stadion Hitlerjugend, opis zawarty w „Obozie wszystkich świętych”, nie ustępuje na pewno patosem — tym najczystszy, najrzadszy patosem — cytowanej wzdardliwie w innej książce „konfekcyjnej” litanii. Ale przed tą wielką sceną jest wybuch dzikości i bestialstwa wyzwolonych męczenników w ciągu niewielu godzin poprzedzających zaprowadzenie przez Amerykanów nowego rygoru. W nocy przed dziękczynnymi modłami na „polskiej sali” w oddanych kacetowcom koszarach rozjuszony tłum zamordował jeszcze zabłąkaną tam Żydówkę i broniącego jej „inteligenta”. A potem, w toku huczącego przez megafony specjalnego kazania („Alleluja! Pan zwyciężył, a duch nieprawości legł w prochu i pyle!”) akurat płyta z polskim tekstem zatnie się nagle, przedrzeźniając piękną modlitwę bełkotem: „... na - słoń - ce - wol - noś - ci - na - słoń - ce - wol - noś - ci...”. Ironiczna, ponura pointa.

Tak będzie u Nowakowskiego zawsze. I to zapewne legnie u podstaw częstego porównywania go z Borowskim, choć siła — epicka siła — jest tu o wiele większa. Tak samo będzie pisał w 1975, gdy nad wielkim „polskim” festynem beatyfikacji („Byle do wiosny”) zaciąży jadłowite pytanie, czy doszłoby do beatyfikacji, gdyby Ojciec Maksymilian dokonał swego czynu w obozie nie tak politycznie nieaktualnym jak Oświęcim. I gdy „ochrypli lament ludu, który przyczołgał się z daleka”, ludu zadowolonego „Serdeczna Matko” w Bazylice Piotrowej, wypadającego z przybyłego w ostatniej chwili, po trzech dobach jazdy, poobijanego, nędznego białostockiego autokaru, by paść na kolana w rzymskim słońcu, kryjąc twarz w dłoniach — gdy ten „ochrypli lament” zderzy się z ciętym, złośliwym opisem międzynarodowych manipulacji polskim piekłem: i kogóż tam „na górze”

obchodzą nasze łyzy? *Eau de Pologne*... Zawsze tak będzie w tej prozie: łożem zrozpaczonych, których widok wywołuje u patrzącego „trzepot pod sercem”, towarzyszyć musi, wypowiedziana lub nie, ich kpiąca, pogardliwa nazwa. To tylko *Eau de Pologne*, nic więcej.

Mistrz szyderczych point, humorysta zderzający natychmiast każdy jasny moment z równoległym do niego koszmarem. Danilewicz Zielińska widzi w pisarstwie Nowakowskiego „spojrzenie na świat jako na złośliwą karykaturę tego, co mogłoby być *condition humaine*”, Michał Chmielowiec pisze o „tragikarykaturze”. Jednocześnie wiecznym tematem tej prozy jest — oczywiście — „sprawa polska”, i nie ma to nic wspólnego z emigracyjnym statusem autora: wystarczy być pisarzem polskim... Wieczny temat — niemal wbrew woli twórcy, który z nim walczy, wykpiwa go, ulega, poddaje mu się, próbuje od niego odchodzić (krótka powieść „Syn zadżumionych” została całkowicie osadzona w realiach RFN cudu gospodarczego, „Polonez” — choć polski w treści — napisany po niemiecku, odcina się od *ewig Polnische* przynajmniej dystansem języka) i powraca. Powraca z niechętnym, ironicznym: „Polska’ to jednak najpiękniejsze przekleństwo świata⁶”.

Piekło masochistów

Ale czy istotnie być Polakiem jest równoznaczne z otrzymaniem przy urodzeniu wyroku skazującego na dożywotnie galery, na więzienie z obostrzonym rygorem, na krąg drutów kolczastych? Pytanie całej naszej literatury po osiemnastowiecznym *knock-out*’cie, od którego zaczyna się ta „własna” i „prawdziwa”, a nie legendarna Polska. „Obóz wszystkich świętych”, właściwy debiut urodzonego w 1917 roku Nowakowskiego (w 1957 — po „klasycznym”, słabo zauważonym tomie opowiadań), jest tylko próbą odpowiedzi na to pytanie — czy mniej jeszcze, potwierdzeniem jego retoryczności. Tak, trzy razy tak, oczywiście, że tak. Na pozór niewiele. A jednak Nowakowski zdobył sobie tą powieścią od razu miejsce w kulturze polskiej (polskiej, nie „emigracyjnej”) tak trwałe, że na dłuższą metę rozrzucenie składu w jednej drukarni jest ciekawostką bez większego znaczenia. Choć w terażniejszości ma ono, oczywiście, znaczenie ogromne...

Pytanie i dowód jego retoryczności. Maleńki obwód zamknięty fabuły: pewien człowiek ucieka „od swoich” — i wraca do nich. Czteryście sześćdziesiąt siedem stron opisu „jak” i „dlaczego”. Zwłaszcza „dlaczego”. Podporucznik Stefan Grzegorz

6. *Ibidem*, str. 59.

czyk (pseudonim „Mściciel”) po obozie hitlerowskim odsiaduje dalsze — nie wiadomo, jak długie jeszcze — lata w obozie dla dipisów (D.P. Camp Papenburg). Buntuje się, „zdradza”, zostaje „kolaborantem”: żeni się z Niemką. Odzyskuje wolność, normalność, kończy z wiecznym polskim masochizmem — i, skruszony, z własnej woli wraca pokornie do klatki, do obozowego baraku, pod rozkazy durniów, między ludzi, którymi gardzi i których nie lubi: do Polski. A więc czym ona jest, ta Polska?

Oczywiście, pamięcią. Na pewno. Najprostsza odpowiedź. I większa część „Obozu...” to szaleństwo pamięci, retrospekcje: ewokacja rodzinnego miasta Nowakowskiego, Bydgoszczy. Ewokacja, dla której trudno znaleźć odpowiednik w literaturze. Zdarzające się porównania z opisem Warszawy w „Lalce” Prusa są o tyle nieadekwatne, że tam chodziło o miejsce akcji, statyczne, trwałe, żywe, realne, tak realne, że wieczne — tu o rzeczywistość utraconą, wspomnienie patetyczne do granic możliwości, zagęszczone i rozedrgane: nie miasto, a rozdrapywana rana, nie przeszłość, a religia, największa miłość życia, samo życie, wszystko. Emigracyjna ostrość widzenia: na pewno. Nie tylko odległość, ale i czas trzeba było pokonać, aby powrócić w tę jedyną rzeczywistość i tak nigdzie poza własnym odczuciem nie istniejącą w tym kształcie: nigdzie i nigdy. To jeszcze nie ojczyzna. Węczęć co nią jest?

Poezja, sztandar, wtajemniczenie w mroki „narodowego masochizmu”: z tego można wręcz zakpić. W oficjalnym hurra-patriotyzmie nietrudno się dopatrzeć zwykłego oszustwa. „Zawsze to samo. Grupa opatrnościowców i spryciarzy na dachu, miliony entuzjastów w piwnicy”. Szkoła, koszary, obóz aż kipią od „politycznej pornografii”, wybornej pożywki dla cynizmu: jeżeli się chce skoczyć w „dezercję”, oto najlepszy punkt odbicia. Może raczej „narodowy masochizm” widziany u innych najbardziej przybliży do rozwiązania zagadki. Biedota, niedobitki kacetowe, umęczone, storturowane, z powybijanymi zębami, znoszące swój los z niepojętą pokorą, bez buntu — czegoż się one trzymają? Ojczyzny. Ojczyzny „objawionej, napowietrznej, pomyslanej w modlitewnikach... Szli tysiącami na dno, a jeszcze z głębi cuchnącego bajora wyciągali kostniejące palce po strzępek sztandaru, po jedno piórko ze srebrnego ptaka...”. Czy warto? Czy zasłużyła na to — na cokolwiek! — ta mityczna „ojczyzna”? Trzeba by mesjanizmu, żeby to wytłumaczyć; lepiej nie tłumaczyć wcale.

Ci, którzy „jeszcze z głębi cuchnącego bajora wyciągali kostniejące palce po strzępek sztandaru”, nie chcą wracać do Polski powojennej, choć wypycha się ich do niej siłą, choć niezgoda oznacza może lata całe w obozowym baraku, a potem zaczynanie od zera na obczyźnie, choć agitatorzy z UNRR-y oferują dekla-

rującą chęć powrotu paki żywnościowe, pełne duńskiego masła i włoskiego salami, kawy ziarnistej i cameli, pasztetu i sardynek, daktyli i czekolady, choć sypią na własną rękę wszelkimi możliwymi obietnicami mającymi się ziścić nad Wisłą — byle pozbyć się wreszcie tych ludzi niewygodnych i niepotrzebnych. Węczęć nie jest ojczyzna także geograficznym konkretem, nie jest krajobrazem, realnymi ulicami realnych miast, językiem, narodem: to wszystko traci sens, jeżeli jest „nie takie”. Zatem idea, idea na pozór mglista, trudna do wyrażenia słowami, a przedziwnie spójna, twarda jak krzemień, gdy próbuje się cokolwiek z niej uszczknąć, zdeformować ją kompromisem, doraźną ugodą. Mgiełka, bardziej rzeczywista niż wszystko inne. Potwierdzająca co krok swoją realność, więc istniejąca. Czy zmienia życie w piekło, czy też, przeciwnie, pozwala w piekle wyżyć?

Powieść zaczyna się wielkim skandalem: odejściem bohatera z „piekła masochistów”. Ale nie trzeba nawet ściągać rebelianta za nogi, z powrotem do polskiego kotła z wrzącą smołą, choć chęci potępiencom nie brakuje — jak w starym dowcipie. Wróci z własnej woli. Nie jego powrót jednak (choć byłoby to logiczne) zamyka powieść; potrzeba jeszcze choć paru stron, pokazujących, że to, do czego wrócił, naprawdę jest piekłem. I róbćcie z tym „problemem”, co chcecie!

Na zewnątrz jest normalne życie. Druga wojna światowa dobiegła końca, ludzie żyją z podwójną, potrójną siłą, żeby nadrobić to, co stracili, to w „Obozie wszystkich świętych” czas się zatrzymał. Wolny, szczęśliwie zakochany, wchodzący wreszcie w normalne życie podporucznik Grzegorzycy porusza się swobodnie po kraju, który „miał szczęście przegrać wojnę”. Akceptuje się go jako Polaka: cóż, teraz, po walce, można przyznać z szacunkiem, że dzielny to był przeciwnik — tak reagują ludzie normalni, a Niemcy już się stają normalni. Dzielny przeciwnik, choć cudaczny, niepojęty, niezrozumiały, egzotyczny. I słucha niedawny „Mściciel” wojackiej niemieckiej opowieści nad piwem o bitwie pod Chojnicami: czołgi i kawaleria, nieszczęsny polski stereotyp! „Z góry prażył ich ogień myślicy” — opowiada były czołgista — „z boku były w nich ckm-y i działka dwucentymetrowe, z przodu i z tyłu zagarniały ich czołgi, wozy pancerne i miotacze płomieni. A oni — po staroświecku, na odgłos trąbki, z lancami na wysokości końskiego ucha, z furkocącymi proporczykami, z głośnym 'Hurra!', szarżowali prosto na ścianę ognia, dymu, stali i żelaza (...), już ranni, już strąceni z koni, stratowani na miazgę biją się dalej. Podbiegają pod gasienice, sieką szablami w pancerne płyty, biją łbami i pięściami w stal i żelazo...”. Po praw-

dzie, już tego opisu by wystarczyło, żeby odrzucić pokusę „normalności” i wrócić do „piekła masochistów”. Tak się też stanie.

A co się dzieje w polskich piekle? Nic. Czekają się. Ciągłe się czeka. Skruszony, złamany buntownik leży w swym „drewnianym grobowcu” na obozowej pryczy, przy ścianie z dykty. Słucha odgłosów z piekła. Ojciec, dziecko. Mówią o nim. Stał się oto jeszcze jednym przykładem: dowodem, że z piekła nie ma ucieczki.

„— Nie trzeba się buntować, syneczku. Bo kto się buntuje, temu jeszcze gorzej. Choćby ten Grzegorzycy. Próbował się urządzić za obozem, wybiegł za bramę jak wariat, i — co? I nic. Nie dało się. Wrócił do klateczki jak niepyszny. Trzeba czekać, to wszystko.

— Oj, czekać, tatusiu — jęknął chłopczyk za dyktą. — Ciągłe tylko czekać, czekać i czekać...

— Co robić, moje dziecko. Takie życie. Trzeba czekać”.

Na co czekać? Jak długo? W 1975 roku Nowakowski odpowiedział tytułem nowej wielkiej powieści: „Byle do wiosny”. Z jeszcze bardziej drwiącym uzupełnieniem tego tytułu w tekście: „Do Wiosny Ludów, oczywiście”.

Beatyfikacja

Powieść nosiła początkowo lepszy chyba tytuł: „Beatyfikacja”. I już drobny zapowiadający ją fragment⁸ pozwalał oczekiwać wydarzenia: sam wybór tematu był przerwaniem mostu między literaturą emigracyjną a krajową, spotkaniem obu w pół drogi, nową jakością w tragicznie podzielonej polskiej kulturze. W październiku 1971 na beatyfikację franciszkanina-kacetowca zjeżdża do Rzymu Polonia z całego świata; przyjeżdżają także tysiące Polaków z kraju — trzykrotnie więcej, niż w 1938 na kanonizację Andrzeja Boboli! „Widmo współistnienia hula po Europie”. Rycerze Zimnej Wojny idą na lody, ten sam autokar wiezie z lotniska Fiumicino wymieszanych w najlepszej zgodzie dziennikarzy z wrażliwych rozgłośni lub Transatlantic Press i aktywistów ze Zduńskiej Woli, stary chłop w maciejówce siedząc pod renesansową kolumną obtłukuje o obcas przywiezione znad Wisły jajka na twardo, wielki festyn rozwija się w szumie łowickich pasiaków i skrzydeł Orła Białego, zmierzając z nieodpartą logiką do finałowego „wesołego oberka”... Czy raczej do kończącego książkę słowa: „Amen”. I Nowakowski wydobywa w pełni całą

8. Tadeusz Nowakowski, „Buon giorno Roma”, *Kultura* nr 6/309, Paryż, czerwiec 1973.

groteskowość tej sytuacji; groteskowość coraz mocniej podmalowaną czernią.

Powiedzmy od razu: konstrukcja powieści jest słabsza niż w znacznie wcześniejszym „Obozie wszystkich świętych”, rozłożenie akcentów nierównomierne, nadmiar wątków sprawia, że ten, który ostatecznie obejmuje pod koniec „prowadzenie”, może wręcz zostać uprzednio przegapiony: literackie grzechy powszednie, określane przez krytykę słowami „przegadanie” i „niedopracowanie”. Na pewno są to grzechy tej powieści; i na pewno nie zmieniają one faktu, że jest to powieść wybitna.

Zagęszczone, kontrapunktowe uwiecznienie chwili — zderzone z tym, co chwilami wydawać się może najmniej istotnym elementem festynu: z postacią beatyfikowanego. Postacią dla dwóch tylko uczestników rzymskiego korowodu żywą: dla głównego bohatera, Adama Malinowskiego, *porte parole* autora — i dla maniaka z kraju, „magistra” Wiskorza, szukającego w Watykanie — jak wszędzie przedtem — sprawiedliwości. Żyją, bo nie dającą się pojąć, zaakceptować. Oto wyniesiony zostaje na ołtarze człowiek własnych czasów i własnych doświadczeń, *kacetowiec*. Oświęcimiak Wiskorz mówi na rzymskiej ulicy: „... to nasz dzień: kacetowe święto!”. Dodając jednym tchem: „Mnie, panie, tylko jeszcze nienawiść do bezkarności trzyma przy życiu” — i tu właśnie rysuje się konflikt. Bo Maksymilian Kolbe, franciszkanin, który w obozie koncentracyjnym oddał własne życie za współwięźnia, zostaje beatyfikowany nie jako męczennik, lecz jako wyznawca; bo cnotą najwyższą z praktykowanych przezeń wyniesioną jest posłuszeństwo. Posłuszeństwo wobec przełożonych, praw, losu, historii, posłuszeństwo stopione z pokorą: nie do przyjęcia, nie do zrozumienia! Wiskorz, Polak „z kraju”, przyjeżdża do Rzymu z trzema kilogramami zeznań, na własny koszt przetłumaczonych na włoski i francuski, zeznań obciążających innego franciszkanina — doradcę gubernatora Franka do spraw kościelnych, „łotra w habicie. I tacy się zdarzali. Infułat Sitko z Tarnowa, oświęcimiak, gdyby dożył, mógłby zaświadczyć...”. Nikogo ta stara sprawa nie obchodzi: kóż będzie po tylu latach odszukiwał i karał konfidenta z dawno minionej wojny, donosiciela, autora listy duchownych przeznaczonych do Oświęcimia; kto dotknąłby tej cuchnącej sprawy właśnie w odświętnych, pełnych glorii dniach beatyfikacji? W dniu wyniesienia na ołtarze ofiary — pamiętać o katach? Opanowany swą *idée fixe* Wiskorz wydaje się śmiesznym i nudnym pieniaczem. Gdy jednak tuż po przyjeździe do Rzymu w żałosny i niespodziewany sposób zginie, jego dziwną walkę podejmie główny bohater: to on skompromituje się teraz jako śmieszny i nudny pieniacz, narazi się „strefom wpływów”, przegra.

Posłuszeństwo, pokora — o ileż łatwiejsze, wygodniejsze, ko-

rzystniejsze są w życiu te wielkie cnoty od buntu! A nie można się nie buntować. Ewangelia każe przebaczać, „ale ja wtedy, w obozie — mówi Wiskorz — ślub złożyłem, przysiągłem sobie i rektorowi Sitce, już umierającemu, przyrzekłem, że sprawy dopilnuję...”. Trzydzieści lat zmarnowanych na usiłowania dotrzymania tej przysięgi i absurdalna, niezauważona prawie śmierć w świątecznym rzymskim korowodzie. I krótka milcząca modlitwa głównego bohatera wśród powszechnego uspokojenia, zapomnienia, uładzenia: „O łaskę miłości prosimy Cię, oświęcimski Panie!”. I wieczna obsesja polskości: czy istnieje dla narodów w tej co polski sytuacji cnota trudniejsza od gloryfikowanego oto w dźwięku dzwonów i szumie pasiaków posłuszeństwa? A przecież w pogodnym roku beatyfikacji z okrzykiem Lucyfera „*Non serviam!*” można li-tylko, wśród powszechnego śmiechu, atakować wiatraki...

Oczywiście, jest to powieść polityczna. Symbol religijny, dylemat religijny odgrywają tu rolę iście polską i dla Polaków oczywistą: „Bóg a sprawa polska”. To już się nawet nie poddaje ocenom, tak dalece jest faktem — nienaruszalnym, niezmiennym.

Cnota posłuszeństwa, łaska miłości. Wokół tego wszystkiego toczy się swoją koleją polski festyn. Widmo współistnienia obleka się w ciało, emigranci wymieniają skargi („...setki memoriałów bez odpowiedzi, manifestacje na które razem z mówcą przychodzi dziesięć osób, upokorzenia w poczekalniach..”) bądź, odsuwając z pogardą talerz spaghetti, intonują tęskne litanie do „barszczyku z uszkami i szyneczki z chrzanem”, krajowcy opisują zebrania partyjne, odwracają znekany wzrok od wystaw sklepowych, mdleją w tłumie przed bazyliką; życie toczy się dalej, byle do wiosny. Nie można w nieskończoność „leżeć jak pies na sztandarze”. Zwłaszcza że dziecko powie trafnie: „Nie obraż się, tatku, ale w twoim wieku pies by już nie żył cztery razy”.

Prątkująca pamięć

A jednak normalność nie jest normalnością, wiosna wiosną, wolność wolnością: bo pod tym wszystkim szaleje chora, „prątkująca pamięć”. Pamięć własna, zbiorowa, przejęta, drażąca i deformująca każdą terażniejszość. Ta sama, która ściągnęła bohatera „Obozu wszystkich świętych” z powrotem do „piekła masochistów”, która zniekształca jak krzywe lustro polski festyn beatyfikacji. Nade wszystko jest Tadeusz Nowakowski pisarzem tego właśnie tematu: pamięci.

Barak Obozu Wszystkich Świętych był schronieniem dla Bydgoszczy. Czynszowa kamienica przy ulicy Grunwaldzkiej, odpadający tynk, napisy w sieni, swąd przypalonych kartofli na scho-

dach, dotyk omszonej, wilgotnej cegły; i gołębie nad rynkiem, dęby nad kanałem, kominy fabryczne, mosty, blaszana chorągiewka na smukłej wieżyczce Fary, okopcony obraz Matki Boskiej z różą: tak właśnie Bydgoszcz-ojczyzna „wyłaniała się z wód przeszłości jak wrak zatopionego okrętu”. I Bydgoszcz pierwszego dnia wojny z ranionym w wybuchu, konającym ulubieńcem miast, łabędziem Marcinkiem, i Bydgoszcz Krwawej Niedzieli z prowadzonymi na śmierć „sokołami” pozdrawiającymi bosego, spoiniewieranego prezydenta, rozlepiającego na murach własne klepsydry; i Bydgoszcz ostatniego spojrzenia. „Srebrne, czarne i czerwone dachy. Grzebień kominów na dachach. (...) Niebo było niebieskie jak na wioskowym witrażu, aż za niebieskie”. Bydgoszcz uroczystych dni bezpowrotnej przeszłości: cechy z chorągwiemi, sokoli w szamerowanych pelerynach, chór piekarzy, król bractwa kurkowego z ryngrafem i w cylindrze. Bydgoszcz codzienności: zardzewiałe sztachety balkonów, przeraźliwy gwizd starego tramwaju na zakręcie Grunwaldzkiej, niezliczone prątki pamięci... Wszystko to, do czego nie ma powrotu, do czego tylko może być bliżej lub dalej; więc niechże będzie bliżej — za każdą cenę. I pokajany, skruszony syn marnotrawny obozu dla dipisów będzie lżył sam siebie, siedząc na pryczy w baraku, znów za drutami: „Słaby, głupi, śmieszny człowieku, przywiązany do niewidzialnego sznurka. Nic nie wygrałeś. Wszystko przegrałeś. Wybrałeś swoich sokołów. Wybrałeś swoją Grunwaldzką. Wróciłeś do Papenburga...”.

Prątkująca pamięć: podstawa istnienia i główna przeszkoda w istnieniu, podstawa niezgody, źródło „*Non serviam!*”. Nie ma wolności, nie ma spokoju, nie ma „przyzwyczajenia”: nie dopuści do niego autonomia pamięci. Samo słowo „wolność” zostanie na zawsze zatrute straszliwym wspomnieniem wiosny, kończącej wojnę, wiosny, podczas której na oczach tysięcy milczących świadków żandarmeria brytyjska i amerykańska formalistycznie, spokojnie wydawała cześć jeńców z obozu władzom ich państwa, na pewną śmierć. „Ścigani, biegli z płaczem w stronę kamiennego muru, z całym rozpędem roztrzaskiwali sobie czaszki o ścianę. Chorzy uciekali z lazaretu, zrywali bandaż z głów, żebrali o nóż lub brzytwę. (...) W jednym z samochodów grało radio. (...) Oszałała ze strachu biedota szukała w śmietniku szkła do przecięcia żył, padała na kolana przed żandarmami, całowała im długie wiśniowe buty. Pamięta biały bez kwitnący nad murem, słońce pierwszej wolnej wiosny i wesołą muzykę, wydobywającą się z jeopa...⁹”. Tak pamięć odmienia sens słów, pojęć, przeszłości i przyszłości.

9. Tadeusz Nowakowski, „Obóz wszystkich świętych”, Libella, Paryż 1957.

Pamięć będąca nie tylko osobowością, ale i jej przeciwieństwem. Jesteśmy tym, co pamiętamy, oczywiście. Ale to, co pamiętamy, przerasta nas nieskończenie; pamięć jest wiecznym roztapianiem siebie w ogromie rzeczywistości i złudy, zatarciem granic między sobą a innymi. Stąd w książkach Nowakowskiego częsta, jawna autobiograficzność nie oznacza tego samego, co autotematyczność wielu innych twórczości. Najprościej rzucić do tygła „własne” fakty: prostsze to, niż wznoszenie sztucznych konstrukcji mających kamuflować to, co nie najważniejsze. Bo i czemuż — na przykład — postać łącząca niezliczone wątki powieści „Byle do wiosny” nie miałaby być emigracyjnym radiowcem. I tak będzie ta postać tylko jednym ze szczegółów fresku, i tak nie o obnażanie jej duszy chodzi. Pamięć jednocześnie łączy kropkę z oceanem i wyodrębnia ją z niego. Tylko tyle.

Tu coś się nie zgadza

„Tu coś się nie zgadza” — mówi przechodzień na ulicy niemieckiego miasta Bochum, widząc niekończącą się kolejkę przed kinem wyświetlającym wojenny film. Nie sposób było przewidzieć dwanaście lat wcześniej, w momencie przegrania wojny, że kraj, który w tej wojnie stracił sześć milionów zabitych, a zyskał dwa miliony kalek, tak szybko będzie gotów do wystawiania w ogonkach, byle obejrzeć wojnę na ekranie. Ta mała scenka z „Syna zadzumionych” oddaje w jakiś sposób reakcję Nowakowskiego-pisarza na świat opisywany. Jako dziennikarz, jako propagandysta obcuje z rzeczywistością podległą na pozór logice, rzeczywistością, w której skutek ma przyczynę, a przyczyna skutek, zaś droga od jednego do drugiego daje się bądź przewidzieć bądź wytłumaczyć. Jako pisarz ma przed sobą rzeczywistość, w której „coś się nie zgadza”. W której może nawet „nic się nie zgadza”. Z wyjątkiem najpiękniejszego przekleństwa świata. Jedyny stały punkt w chaosie...

Dlatego też to piarstwo — znane w kraju, jak cała literatura emigracyjna, w najlepszym razie „w kalekim i ułamkowym kształcie, od przypadku do przypadku¹⁰” — okazuje się rejestracją bezsilności, która jest zjawiskiem politycznym, przekazywaniem prawdy o swoim czasie, która jest prawdą polityczną — i tak dalej, i tak dalej. Musi więc zeń wynikać tragikarykatura losu ludzkiego, takiego, jakim on powinien być (ale dlaczego właściwie „powinien”, czy dlatego tylko, że taki bywał, bywa, kiedy indziej, gdzie indziej?), tragikarykatura wychodząca z „przeklętego miejsca” świata, „przeklętego miejsca”, którym jest polskość

10. Maria Danilewicz Zielińska, „Szkice o literaturze emigracyjnej”.

— choć nie tylko ona. I więcej jeszcze: nie kłócający się bynajmniej z fajerwerkami humoru skrajny pesymizm, dotyczący już nie tylko opisywanych treści, lecz i samego faktu opisywania, jego sensu. Jeżeli żył milionów są tylko *Eau de Pologne*, czym może być uwiecznianie ich — lub nie? „Pewnego dnia przestałem łyżeczką od herbaty opróżniać ocean, i wyobraźcie sobie, nikt tego, poza mną, nie zauważył¹¹”. A przecież jest ta twórczość zjawiskiem, którego nie da się w przyszłości wymazać ze scalonej wreszcie literatury polskiej, które już w nią wrosło na zawsze.

Anna BOJARSKA

11. Tadeusz Nowakowski, „Byle do wiosny”, str. 118.

Przemówienie Władysława Bartoszewskiego we Frankfurcie

(Z OKAZJI NADANIA POKOJOWEJ NAGRODY
KSIĘGARSTWA NIEMIECKIEGO 1986)

Dnia 5 października 1986, na uroczystości przekazania Władysławowi Bartoszewskiemu tegorocznej nagrody pokojowej księgarstwa niemieckiego w historycznej sali Paulskirche we Frankfurcie nad Menem (gdzie w 1948 roku obradował pierwszy parlament niemiecki), zwyczajową pochwałą laureata wygłosił prof. dr Hans Maier, prezes Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich, jeden z członków jury tej nagrody. Poniżej ogłoszony tekst przemówienia laureata stanowi polską wersję jego oryginalnej wypowiedzi w języku niemieckim.

Laudatio Profesora Hansa Maiera przyjmuję z tym większą wdzięcznością i wzruszeniem, że nie zapomniałem i nie zapomnę, iż Hans Maier należał do tych niemieckich intelektualistów, którzy w grudniu 1981 roku, gdy wraz z wieloma innymi pozbawiony byłem wolności, wystąpił jako prezes Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich do władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o zwolnienie mnie i moich przyjaciół z miejsca odosobnienia.

Decyzja o przyznaniu mi Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego była dla mnie tyleż zaskakująca, co radosna, a ponieważ zwykłem treść i sens przyznawanych mi wyróżnień traktować poważnie, uznaję ją także za wysoce mnie zobowiązującą. Wśród dotychczasowych laureatów tej nagrody nie brak przecież osób,

które w znacznym stopniu przyczyniły się do kształtowania podstawowych pojęć w zakresie moralności społecznej, pojęć o człowieku, celach jego życia, o szczytnych ideałach wolności i pokoju, o doświadczeniach historii i perspektywach historii. Nie brak osób, które wywarły niemały wpływ na moje własne myślenie przez swe słowa i dzieła, ale przede wszystkim przez swą postawę w chwili ostatecznego wyboru — mam na myśli doktora Henryka Goldszmita-Janusza Korczaka, jednego z cichych bohaterów naszego stulecia. W pierwszych latach przyznawania Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego wyróżniono nią takie osobistości, zapisane już dziś na kartach kultury europejskiej, jak Albert Schweitzer, Romano Gaurdini, Martin Buber, Reinhold Schneider czy Karl Jaspers. W ostatnim dziesięcioleciu znaleźli się wśród laureatów tej nagrody m.in. ludzie o innym, specyficznym doświadczeniu, znanymi też dla naszej epoki — Leszek Kołakowski, Lew Kopelew i Manès Sperber. Z wyrażonym w tej sali w październiku 1983 roku moralnym i politycznym testamentem zmarłego w międzyczasie Manèsa Sperbera w pełni się identyfikuję.

Jest mi szczególnie miło, że moim bezpośrednim poprzednikiem, laureatem Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego 1985, był Teddy Kollek, burmistrz Jerozolimy, która w moim odczuciu była i jest nie tylko świętym miastem trzech religii — mozaizmu, chrześcijaństwa i islamu, ale Miastem całej ludzkości. Teddy Kollek, człowiek, który łączy głęboki patriotyzm wobec swego narodu i państwa z prawdziwym poszanowaniem ludzi innych wyznań, innej narodowości i innych poglądów.

Nigdy chyba tyle co dziś nie mówiono w Europie o pokoju: o potrzebie pokoju, o obronie pokoju, o miłości pokoju. Chwilami nasuwa się obawa, że w istnej powodzi oświadczeń i deklaracji, zakłęb i hasła na ten temat gubi się już niemal prawdziwy, czyli głębszy sens samego pojęcia. Powstaje wręcz podejrzenie, że w wielu wypadkach chodzi bardziej o własny spokój i wygodę niż o pokój, że pojęcie pokoju staje się przedmiotem manipulacji. Postępujemy się nim coraz częściej, ale zbyt rzadko zastanawiamy się nad warunkami, które trzeba spełnić, aby pojęcie pokoju sprowadzone zostało do jakiegoś wspólnego mianownika dla całej cywilizowanej ludzkości. A przecież jeden z największych umysłów niemieckich XX wieku, Karl Jaspers, sformułował tu, w Paulskirche, w swojej mowie z okazji przyznania mu nagrody pokojowej, trzy zasady, których głębia i prostota wydają się w świetle dzisiejszych doświadczeń jeszcze bardziej oczywiste niż w 1958 roku:

„Po pierwsze: nie sposób utrzymać pokoju zewnętrznego bez pokoju wewnętrznego w ludziach. Po drugie: pokój — jedynie poprzez wolność. Po trzecie: wolność — jedynie poprzez prawdę”.

I całkowicie jednoznacznie:

„Najpierw wolność, potem pokój na świecie! Żądanie odwrotne: naj-

pierw pokój — potem wolność ludzi. Zewnętrzny pokój, utrzymywany na krótko przez przypadek, despotyzm, zżeczne pociągnięcia albo lęk wszystkich przed wszystkimi, nie jest pokojem utwierdzonym w człowieku. Rzeczywisty nie-pokój wynikający z braku wolności jednostek doprowadziłyby wkrótce znów do wojny. (...) Jeżeli chcemy wolności i pokoju, musimy się spotkać w wymiarze prawdy, która leży poza wszelkimi partiami i zapatrywaniami, poza naszymi rozstrzygnięciami i decyzjami”.

Należę do generacji wychowanej jeszcze w cieniu doświadczeń pierwszej wojny światowej i naznaczonej we wczesnej młodości przekraczającą wówczas wyobraźnię ludzką próbą drugiej wojny światowej. Ale należę też do narodu niezwykle ciężko doświadczanego w niewoli w wieku XIX i po krótkiej chwili oddechu zagrożonego w swoim istnieniu od roku 1939. Dlatego też może sprawa pokoju ma dla mnie szczególną wagę. Ale z tego samego powodu jest ona dla mnie nierozdzielna od sprawy wolności człowieka i grup ludzi, wolności wyznania czy światopoglądu, wolności wyboru miejsca i form życia, wyboru systemu politycznego i gospodarczego, wolności słowa, wolności od strachu. Dopóki te warunki bytowania ludzi nie zostaną spełnione, dopóki nie zostaną spełnione nawet na naszym starym subkontynencie europejskim szczytującym się wszak tradycją kilkudziesięciu pokoleń ludzkich czerpiących ze wspólnych źródeł kultury i cywilizacji, dopóty nie zapewnimy podstaw trwałego pokoju. Nawet gdybyśmy się do nich w niektórych krajach przybliżyli.

W jednej z ksiąg Starego Testamentu — *Deuteronomium* — znajdujemy przestrożę Mojżesza, pouczającego swój lud po latach ciężkich doświadczeń, aby rozmyślając o przeszłości uczył się z historii.

W pokoleniu, do którego należę, które widziało na własne oczy mury i zapyry z drutów kolczastych dzielące ludzi — mury getta w Warszawie i gdzie indziej, mur dzielący przez lata Jerozolimę i mur dzielący do dziś Berlin — najważniejsze wydaje się popieranie wszystkiego, co ludzi łączy, i przeciwstawianie się wszystkiemu, co ludzi, wbrew ich woli, dzieli.

Żaden naród, żadne państwo, żaden rząd i żadna partia polityczna nie ma patentu na humanizm, człowieczeństwo i szlachetność, ani na bezbłędne postępowanie. Ale nikt też nie jest w dzisiejszym świecie skazany na akceptację na stałe ucisku jako formy sprawowania władzy. Wiele państw umiało skorzystać niemało z nauki historii, z doświadczenia, że jakkolwiek idea nienawiści ani imperialna pycha nie popłacają. Głoszenie, czy praktykowanie po cichu zasady nienawiści rasowej, narodowej, wyznaniowej, klasowej, zresztą nienawiści jakichkolwiek grup ludzi wobec innych ludzi — prowadzi w ślepią ulicę. Można by to uznać za truizm, ale czy z całą pewnością jest to problem całkowicie przewyciężony, nieistniejący, nieaktualny w stosunkach międzynarodowych i w stosunkach wewnętrznych poszczególnych państw współczesnego świata? Czy zmienia się w sposób wystarczający mentalność polityczna mocarstw, czy dostrzeżalna jest rzeczywista gotowość do kompromisu, do rzetelnej rezygnacji z poszerzania stref wpływów politycznych i militar-

nych przy jawnym czy podstępym użyciu środków przemocy, dywersji, terroru? I to wszystko w czasach, w których wolny rozwój stosunków gospodarczych, kulturalnych, naukowych i swoboda kontaktów między ludźmi mogłyby w większym stopniu zagwarantować pomyślność wielu narodów, niż samo tylko zawzięte trwanie przy tradycyjnych — a zdawać by się mogło dawno skompromitowanych — metodach przemocy!

Uważa się na ogół za bezsporne, że na pierwszym miejscu wartości wspólnych Europie stoi *człowiek*, jego życie, dobro i przyszłość. W świetle doświadczeń historii najnowszej nikt przynajmniej nie odważa się tego głośno kwestionować, i samo to stanowi już pewien postęp w dziejach. Człowiek więc ma być na tej ziemi celem, a nie narzędziem. Państwa, organizacje społeczne, partie polityczne mają służyć człowiekowi, a nie on im. Do XVIII-wiecznych haseł wolności, równości i braterstwa dołączyło się bardzo realistycznie pojmowane hasło sprawiedliwości społecznej, czyli ładu zapewniającego poszanowanie praw człowieka pracującego i stworzenie mu godziwych warunków życia. Ale równocześnie był przecież ten, zbliżający się ku końcowi, wiek XX wiekiem straszliwej zbrodni na ludziach w imię obłąkanych idei i pozostanie zapewne w historii wiekiem masowego wyniszczenia ludzi pod kryptonimem „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”, lub innymi kryptonimami, ale także obozów koncentracyjnych utworzonych w różnych miejscach i w różnym czasie przez ludzi dla ludzi. Cały cywilizowany świat potępia wprawdzie w ostatnich dziesiątkach lat ucisk rządzonych przez rządzących, ale dotychczas nie zdołaliśmy, niestety, doprowadzić do tego, by instytucja więźniów sumienia, tortury stosowane przez różne policje polityczne, ucisk z powodu wyznawanej wiary czy przekonań i mordowanie kapłanów różnych wyznań, należały do pojęć znanych już tylko z książek, aby przestały funkcjonować różnego rodzaju obozy pracy przymusowej i obozy koncentracyjne. Mało tego — postęp medycyny doprowadził w dwudziestym stuleciu do przymusowego izolowania i maltretowania ludzi w zakładach psychiatrycznych, jeśli wyznają i głoszą poglądy sprzeczne z ideologią i interesami władzy.

Pojęcie wolności słowa, badane w wielu krajach, opisywane w setkach prac politologów, socjologów i badaczy środków masowego przekazu, ciągle jeszcze interpretowane jest w sposób całkowicie odrębny w różnych krajach europejskich. Prymitywne przeświadczenie, że odcięcie ludzi od źródła informacji, wyłączenie ich z wolnego obiegu wiadomości, ułatwi bezdyskusyjne władanie grupami ludzi czy narodami i przyjęcie przez nich jednolitej formuły czy też jednolitej recepty politycznej albo ideologicznej, wydawać się może naiwnością, jeśli nie nonsensem, w dobie współczesnego rozwoju środków masowego przekazu. A jednak praktyka taka istnieje. Można jednak uznać za pewne, że jeśli nawet przez jakiś jeszcze czas dawać ona będzie zamierzone rezultaty, to w historii nie sprawdzi się i przeminie, i będzie widziana z czasem w podobnej niesławie, jak instytucja niewolnictwa.

Bezspornym i szczęśliwym faktem jest, że w Europie — choć niestety nie na całym świecie — nie doszło od ponad czterdziestu lat do wojny między państwami. Zawahałbym się jednak przed nazwaniem pięknym słowem „pokój” stanu rzeczy, w którym w kilku krajach europejskich rządzi szczególnie i krwawy zorganizowany terroryzm, pociągający za sobą wciąż nowe krwawe ofiary wśród ludzi. Wydawać by się mogło, że przeciwstawianie się temu zbrodniczemu i ponuremu zjawisku może stanowić jeden z ważnych celów działalności szczerze ideowej młodzieży, która uczestniczy w różnych europejskich organizacjach ruchu pokojowego. Nie może być przecież mowy o wiarygodności jakichkolwiek organizacji czy partii politycznych, które by programowo lub też podświadomie lekcewały prawo naturalne i wynikające z niego prawa człowieka, których nikt mu nie może ani podarować, ani odebrać, w tym podstawowe prawo do życia i do ochrony życia.

Nienawiść, wrogość i pogarda wobec ludzi mają i dzisiaj różne oblicza. Terroryzm jest tylko jednym z nich. Ale znamy i inne zagrożenia porządku moralnego. I tak np. dla rzekomego uniknięcia tzw. większego zła, praktykuje się niejednokrotnie uległość wobec przemocy i naruszania podstawowych praw osoby ludzkiej. Antysemityzm ubiera się w fałszywą maskę tzw. anty-syjonizmu, co pozwala na manipulowanie niskimi namiętnościami i wywoływanie z uspienia różnych resentymentów. Swoistym przejawem pogardy wobec ludzi jest też apodyktyczne orzekanie o granicach wolności dla innych, pragmatyczna nonszalancja w traktowaniu narodów uciśnionych. Jakżeż jasno i jednoznacznie brzmi na tym tle głos Papieża Jana Pawła II, który w swej pierwszej encyklice *Redemptor hominis* podjął problem istoty praw człowieka jako fundamentu życia w pokoju:

„Pokój sprowadza się w ostateczności do poszanowania nienaruszalnych praw człowieka. Dziełem sprawiedliwości jest pokój (*opus iustitia pax*) — wojna zaś rodzi się z ich pogwałcenia i łączy się zawsze z większym jeszcze pogwałceniem tych praw. A jeśli prawa człowieka są gwałcone w warunkach pokojowych, to staje się to szczególnie dotkliwym i z punktu widzenia postępu niezrozumiałym przejawem walki z człowiekiem, którego nie sposób pogodzić z żadnym programem określającym siebie jako „humanistyczny”. A jakież program społeczny, ekonomiczny, polityczny, cywilizacyjny mógłby zrezygnować z takiego określenia? Żywimy głębokie przekonanie, że nie ma takiego programu w dzisiejszym świecie, w którym nawet na gruncie przeciwnych sobie światopoglądów nie wysuwa się zawsze człowieka na pierwszy plan.

Jeśli przeto pomimo takich założeń prawa człowieka bywają na różny sposób gwałcone, jeżeli w praktyce jesteśmy świadkami obozów koncentracyjnych, gwałtów, tortur, terroryzmu, a także różnorodnych dyskryminacji, to musi to być konsekwencją innych przesłanek, które podkopują, a często niejako unicestwiają skuteczność humanistycznych założeń owych współczesnych programów i systemów”.

Jury pokojowej nagrody księgarstwa niemieckiego uznało za słuszne, określając cechy mojej osoby, nazwać mnie żarliwym katolikiem, żarliwym Polakiem i żarliwym humanistą. Zaszczyc-

ne te określenia zaczerpnięto, jak sądzę, z pewnego tekstu wysoce przeze mnie cenionego Heinricha Bölla, który zechciał poświęcić mi nieco przyjaznej uwagi w jednym ze swoich felietonów radiowych w 1983 roku. Przyznaję wprost, że uznaję się za człowieka żarliwego. A inne przypisane mi właściwości są też prawdziwe. Urodziłem się bowiem w Polsce, a więc w Europie, a następnie ochrzczony zostałem w Kościele katolickim. Wymieniam tu nieprzypadkowo jednym tchem Polskę, Europę i Kościół, bo przynależność do określonego kręgu tradycji i kultury, a więc i do tego, co nazwane tu zostało humanizmem, wiąże się nierozdzielnie zarówno z moją przynależnością narodową i tradycją Kościoła, do którego należę, jak też z całym dorobkiem myślowym i kulturowym Zachodu. Niezmiernie ważnym elementem tego dorobku wydaje mi się ukształtowanie w ciągu stuleci wspólnej Europejskiej hierarchii wartości i pojęć, które mogły zbliżyć lub łączyć ludzi ponad granicami językowymi, narodowymi i państwowymi. Mam na myśli to, co wspólne było w Europie setkom milionów ludzi: powszechna oczywistość pojęć takich, jak wolność i godność osoby ludzkiej, poszanowanie życia ludzkiego, negatywna postawa wobec wszelkich form gwałtu i przemocy, solidarność z prześladowanymi, opiekuńczość wobec słabych i bezbronnych, szczególnie stosunek troski wobec matki i dziecka. Dla młodych ludzi wychowanych w Polsce przed drugą wojną światową oczywiste było, że są to wartości powszechnie obowiązujące w Europie, a więc i u naszych sąsiadów. Wrzesień 1939 roku i następujące po nim lata były więc nie tylko okresem doświadczeń w cierpieniu i ofiarności w walce o wolność i niepodległość ojczyzny, lecz także próbą obrony tego porządku moralnego. Praktyka totalitaryzmu i wrogiej okupacji usiłowała bowiem obrócić ten porządek w gruzy.

Inteligencja polska, wychowana przez wiele pokoleń w związku z najlepszymi tradycjami kultury europejskiej, w poszanowaniu dla osiągnięć myśli Zachodu, także Niemiec, zadawała sobie wielokrotnie w latach drugiej wojny światowej pytanie, jak mogło w ogóle dojść do tego, do czego doszło. Na jakiej glebie wyrosnąć mógł owoc tak głębokiej nienawiści i bezdusznego okrucieństwa, jak to, które reprezentowali co dzień na okupowanym terenie Polski przedstawiciele ówczesnego państwa niemieckiego, ówczesnego aparatu władzy, rządząca partia narodowo-socjalistyczna, jej entuzjaści, zwolennicy, czy też ludzie ślepo jej postuszni. Czekaliśmy na głos solidarności niemieckich Kościołów chrześcijańskich, na objawy otrzeźwienia, na przejaw ludzkiego protestu wobec niebywałych okrucieństw, których ofiarą padali „podludzie”, za których uznano Słowian, i „robactwo”, za które uznano Żydów. Dochodziły do nas wiadomości o odważnych protestach niektórych duchownych katolickich i ewangelickich, grupy wokół rodzeństwa Scholl, a w końcowym okresie wojny także ruchu 20 lipca przeciw systemowi narodowo-socjalistycznemu. Nasłuchiwalśmy jednak daremnie jednego choćby jasnego zdania w obronie narodów podbitych i ciemiężonych, w tym narodu polskiego.

Zadawaliśmy sobie pytanie o przyszłość Niemiec, o moralną przyszłość społeczeństwa niemieckiego po tej wojnie, u której kresu musiały przyjść w naszym niezłomnym przekonaniu straszliwa klęska zła, zwycięstwo ideałów wolności i sprawiedliwości. Przyznaję, że patrzyliśmy wtedy z wielkim sceptycyzmem na możliwość przeobrażenia w realnie wyobraźnym czasie narodu, który powierzył władzę Hitlerowi, a który nawrócić by miał do chrześcijańskich wartości europejskich.

Naród niemiecki zapłacił rzeczywście ogromną cenę za wywołaną przez Niemcy wojnę. Cenę strat ludzkich, terytorialnych, cenę podziału. Ale jednak budzące szacunek trud, praca i ofiarność milionów Niemców, a przede wszystkim głęboka reorientacja polityczna — związaną się z wielkimi demokracjami Zachodu, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, które już w latach 1939-1941 oceniały właściwie niebezpieczeństwo hitleryzmu dla świata i dla samych Niemiec — przyczyniły się do stosunkowo bardzo szybkiej odbudowy życia społecznego, gospodarczego i politycznego między Elbą i Renem. Nie nadążały za tym często problemy moralnego przezwyciężenia przeszłości i wyciągnięcia z niej wszystkich wniosków, niezbędnych dla zdrowia psychicznego i prestiżu Niemców i dla przywrócenia tak boleśnie pogwałconej hierarchii wspólnych wartości kultury europejskiej. Dr Richard von Weizsäcker, Prezydent Republiki Federalnej Niemiec, występując w 40-tą rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej, 8 maja 1985 roku, powiedział w duchu godnej najwyższego szacunku rzetelności moralnej:

„8 maja był dniem wyzwolenia. Uwolnił on nas wszystkich od nieludzkiego systemu narodowo-socjalistycznych rządów przemocy.

Nikt z powodu tego wyzwolenia nie zapomina cierpienia, które dla wielu rozpoczęły się właśnie po 8 maja, ale przyczyn ucieczek, wygnania i niewoli nie możemy się doszukiwać w końcu wojny. Leżą one u jej początku, u źródła tej dyktatury, która do wojny doprowadziła. Nie wolno nam 8 maja 1945 oddzielać od 30 stycznia 1933 roku.

Nie mamy doprawdy powodu, ażeby brać udział w dzisiejszych uroczystych obchodach zwycięstwa, ale mamy wszelkie powody po temu, aby uznać 8 maja za kres błędnej drogi niemieckiej historii, zawierający ziarno nadziei na lepszą przyszłość”.

Moje przeszło 20-letnie doświadczenie kontaktów z Niemcami jako Polaka z określoną wiedzą wyniesioną z lat wojny i okupacji — mimo wszystko, co pozostało niezmiennie w pamięci — umożliwiło mi uwierzenie na nowo w człowieka w tym kraju, w jego zdolność i gotowość do czynienia dobrze. Odgrywały tu i odgrywają ogromną rolę inicjatywy i wysiłki wielu intelektualistów, piękne postawy ludzkie i różne bezimienne dzieła ludzi dobrej woli. Ale także działania instytucjonalne: Kościołów chrześcijańskich, organizacji i stowarzyszeń społecznych, kulturalnych i naukowych. A również, a może przede wszystkim, młodych Niemców o otwartych głowach i sercach, którzy widzą w swoich polskich rówieśnikach partnerów, a może i przyszłych przyjaciół.

Już w pierwszej połowie lat 60-tych odegrały poważną rolę

inicjatywy podjęte przez powołaną w kręgu niemieckiego Kościoła ewangelickiego *Aktion Sühnezeichen* niemieckiej sekcji międzynarodowej organizacji *Pax Christi*, a później także przez ciche i ambitne dzieło *Maximilian Kolbe Werk*. W 1965 roku ogłoszony został ważny memoriał niemieckiego Kościoła ewangelickiego. W tym samym czasie zajmowano się problematyką stosunków niemiecko-polskich w środowisku intelektualistów katolickich znanym jako *Bensberger Kreis*. W listopadzie 1965 roku, pod koniec Soboru Watykańskiego II, polscy biskupi katolicy podjęli trudną decyzję, o historycznej doniosłości, wyciągając pierwszy rękę do zgody w swym liście, skierowanym do katolickich biskupów Niemiec. W grudniu 1965 roku biskupi niemieccy odpowiedzieli na to orędzie. Te i wiele innych kroków, w tym szczególnie kontakty niezależnych intelektualistów polskich z intelektualistami i różnymi organizacjami społecznymi i kulturalnymi w Republice Federalnej Niemiec, przyczyniły się do stworzenia klimatu społecznego, w którym możliwy stał się dla polityków dalszy krok, jakim był układ pomiędzy rządami RFN i PRL z 7 grudnia 1970 roku. Był to niewątpliwie akt polityczny dużej wagi, który wpłynął w pewnym stopniu na wzrost zaufania, a w dużej mierze na poprawę losu setek tysięcy ludzi i ożywienie stosunków między Niemcami i Polakami, między Polakami a Niemcami. Ale jednak, gdy analizuje własne doświadczenia tzw. pracy na rzecz pokoju, obstawać muszę przy twierdzeniu, że najważniejsze jest nie to, co gotowi są oświadczyć i podpisać politycy, choć pomniejszać tego nie należy, ale jakie procesy zachodzą w odczuwaniu, w sumieniu i intelekcie ludzi różnych narodów, na ile przewyciężony jest stereotyp w myśleniu o innych, egoizm, a nawet egotyzm. Na ile dojrzewa np. zrozumienie, że ziemia, na której żyjemy tutaj i teraz, po obu stronach Renu, Elby, Odry, Wisły — jest i będzie w pokoleniach naszych wnuków i ich następców nadal miejscem zamieszkania i współegzystencji, lepszej lub gorszej, ludzi, którzy muszą nauczyć się współżyć ze sobą. I choć w stosunkach Niemców z Polakami i Polaków z Niemcami może to być, m.in. z powodu obecnego podziału Niemiec i podziału Europy, trudniejsze niż między innymi narodami Europy, to jednak jest to jedno z wielkich zadań, do których zobowiązane jest nasze pokolenie: nie tylko *mimo* doświadczeń drugiej wojny światowej, ale właśnie z *powodu* tych doświadczeń, które dowiodły, że myślenie kategoriami ekstremistycznymi, kategoriami wyniosłości czy jednostronnej przewagi prowadzi do nikąd. Ogromna większość dziś żyjących Niemców i Polaków urodziła się po drugiej wojnie światowej. Nie zwalnia to starszych od przekazywania następcom wiedzy o faktach. Ukrywanie czy zniekształcanie faktów historycznych nie prowadzi do niczego.

Tak zwane przewyciężenie przeszłości jest osiągalne przede wszystkim przez zbliżenie i wzajemne lepsze zrozumienie się jak największej liczby ludzi. Całkowite pojednanie narodów jest — jak z wielu doświadczeń historycznych wynika — procesem psychologicznym i społecznie dużo trudniejszym i bardziej przewlek-

łym niż ewentualne polityczne porozumienie państw. Deklaracje instytucji i układy polityków stanowić powinny raczej otwarcie szerszej drogi dla naturalnych i spontanicznych kontaktów ludzi, niż być traktowane jako rozwiązanie problemu samo w sobie.

Nie mam zamiaru unikać tzw. problemów drażliwych. W pełni rozumiem, że dla wielu Niemców należy do nich problem tzw. ziem nad Odrą i Nysą. Obecność dziś około 11 milionów Polaków na tych ziemiach uważać należy za bezpośredni skutek drugiej wojny światowej, zainicjowanej przez Trzecią Rzeszę. Pozwolę sobie powołać się tu ponownie na mającą dla wielu z nas — i to zarówno Niemców, jak i Polaków — przeformowe znaczenie psychologiczne i moralne wypowiedź prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera w czasie Godziny Pamięci w niemieckim Bundestagu dnia 8 maja 1985 roku:

„Hitler dążył do panowania nad Europą, i to drogą wojny. Szukał więc do niej sposobności, aż znalazł w Polsce.

23 maja 1939 roku oświadczył przed niemiecką generalicją: 'Dalsze sukcesy są nie do osiągnięcia bez rozlewu krwi... Gdańsk nie jest celem, o który chodzi. Dla nas istotne jest rozszerzenie przestrzeni życiowej na Wschodzie i zabezpieczenie wyżywienia. Odpada więc problem oszczędzania Polski, pozostaje decyzja zaatakowania jej przy pierwszej nadarzającej się okazji. ... Trzeba dążyć do zadania nieprzyjacielowi od razu poważnego ciosu lub do jego całkowitego zniszczenia. Prawo czy bezprawie albo traktaty nie odgrywają tu żadnej roli'.

23 sierpnia zawarty został niemiecko-sowiecki pakt o nieagresji. Tajne klauzule regulowały przewidziany rozbiór Polski.

Pakt ten został zawarty w celu ułatwienia Hitlerowi wkroczenia do Polski. Ówczesne kierownictwo Związku Sowieckiego zdawało sobie w pełni z tego sprawę. Dla wszystkich ludzi politycznie myślących w owym czasie było oczywiste, że pakt niemiecko-sowiecki oznacza atak Hitlera na Polskę, a tym samym drugą wojnę światową. Nie zmniejsza to niemieckiej winy za jej wybuch. Związek Sowiecki godził się na wojnę innych narodów, aby przy tym skorzystać. Ale inicjatywa wojny wyszła od Niemiec, nie od Związku Sowieckiego. Hitler był tym, który użył przemocy. Wybuch drugiej wojny światowej pozostanie związany z imieniem Niemiec.

W czasie tej wojny reżym narodowo-socjalistyczny uciskał i poniżał wiele narodów. W końcu pozostał tylko jeden naród do uciskania, zniewolenia i zhańbienia: własny naród, niemiecki. Hitler wielokrotnie powtarzał: 'Jeśli naród niemiecki nie jest w stanie tej wojny wygrać, niech raczej zginie'.

Inne narody padły najpierw ofiarą wojny idącej z Niemiec, zanim sami staliśmy się ofiarą naszej własnej wojny”.

Uciekinierzy, wygnani, przesiedleńcy — wszyscy oni należą do ofiar tej wojny, podobnie jak ci Polacy, którzy w konsekwencji drugiej wojny światowej utracili swoją bliższą ojczyznę we Lwowie, Wilnie czy gdzie indziej na Wschodzie. Tragicznie zawikłane okoliczności historyczne i polityczne doprowadziły do tego, że Polacy, może lepiej od wielu innych narodów w Europie, są w stanie zrozumieć cierpienia i trudności ludzi, którzy byli zmuszeni porzucić swą ojczyznę, rozumieją też problem podziału narodu, bo sami go przeżyli. Pozbawienie ludzi ich ścisłej ojczyzny nigdy nie jest samo w sobie czynem dobrym, zawsze złym, nawet jeśli nie widać innego wyjścia w określonej sytuacji histo-

rycznej i politycznej. Polacy przybywający ze wschodu Polski na Dolny Śląsk czy Pomorze Zachodnie w pierwszych miesiącach po wojnie zapewne bardziej odczuwali tragizm swego losu, niż radość ze zwycięstwa...

Gdyby mi kto — niespełna 10-letniemu wówczas Polakowi z Warszawy, drżącemu z zimna, głodu i lęku w ziemie 1940 roku, na placu apelowym w Oświęcimiu, pozbawionemu twarzy i imienia *Schutzhäftling Pole Nr 4427* — powiedział, że w wymiarze jednego mojego życia doczekam przeobrażenia większości Niemców w społeczeństwo rządzące się prawami humanitaryzmu i żyjące w praworządym europejskim państwie demokracji parlamentarnej, uznałbym to być może za optymistyczne marzenie utopisty. Możliwość zaś akceptacji Polaków przez Niemców, odejście od dość powszechnego już w XIX wieku i utrzymywanego potem stereotypu Polaka jako człowieka stojącego niejako z natury niżej niż Niemiec, wydawała się mało prawdopodobna. I choć do dziś dyskutować by można, czy i w jakim zakresie przezyciężone zostały stereotypy w myśleniu Niemców o Polakach i Polaków o Niemcach, to jednak piękna uroczystość, w której dziś uczestniczymy w tym historycznym gmachu, zdaje się stanowić nie całkiem pozbawione znaczenia wydarzenie na drodze przeobrażeń budzących nadzieję i pozwalających na nieco optymizmu. Oto jeden z poniżanych i odczłowieczanych, ale nie poniżonych i nie odczłowieczonych Polaków uznany został przez gremium reprezentujące niewątpliwie elitę dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego za godnego wyróżnienia nagrodą, przyznaną za działalność na rzecz pokoju. W orzeczeniu jury, które podnosi wartość działań odrzucających stosowanie przemocy i nienawiści, widzę pośrednie uznanie dla drogi tych wszystkich moich rodaków, a jest ich wiele milionów, którzy z ogromną ofiarnością, cichym uporem a przy tym dużo większym poczuciem realizmu, niż to jest często Polakom przypisywane, podnoszą głos w obronie podstawowych wartości etycznych i społecznych, żądają poszanowania prawa człowieka do godnego i wolnego życia, prawa robotnika, pracownika i chłopca do współzarządzania swym własnym państwem. Mam tu na myśli ten potężny ruch społeczny, który w ciągu krótkiego okresu kilkunastu miesięcy uzyskał możliwość akceptowanego przez władze państwowe PRL działania, znany pod nazwą „Solidarność”, jak też i tych, którzy do dziś, w imię tych samych zasad moralnych i ideowych, walczą bez użycia siły, trafiają do więzień i podlegają innym prześladowaniom i trudnościom.

Powstanie Związków Zawodowych „Solidarność” i rozwój związanego z nimi ruchu społecznego były właściwie *sui generis* kontynuacją postawy przywiązania Polaków do wolności udokumentowanej już w historii wielokrotnie. Idee tego ruchu, jego działanie na rzecz ludzi pracy, jego uparte dążenie do rozstrzygnięcia spornych problemów na drodze uczciwego dialogu, wspiera też jednoznacznie w swych wypowiedziach tak wielki autorytet naszych czasów, jak Papież Jan Paweł II.

W okresie ostatnich kilku lat bardzo wielu ludzi dobrej woli w Niemczech udzielało w duchu miłości bliźniego i solidarności znacznej pomocy społeczeństwu polskiemu. Pełne znaczenie psychologiczne tego faktu może okazać się w przyszłości donioślejsze, niż jego niewątpliwie znaczenie materialne.

Współczesny niemiecki historyk Europy Wschodniej, profesor Jörg K. Hoensch, w swej wydanej przed trzema laty „Geschichte Polens”, rozważając aktualną sytuację Polski i Polaków, twierdzi, że:

„W Polsce rozwinęła się nowoczesna, dojrzała, zróżnicowana i pewna siebie formacja społeczna, którą łączy ze zmiennym biegiem historii narodu żywa świadomość tradycji, żarliwy patriotyzm i głębokie, emocjonalne przywiązanie do Kościoła katolickiego. Gwarancją konstruktywnego przezwyciężenia nadal istniejących poważnych problemów współczesnych jest wiara w opanowanie wielorakich niebezpieczeństw przeszłości, zagrażających suwerenności i etnicznej substancji Polski, przekonanie o dysponowaniu najcenniejszymi cnotami zachodnioeuropejsko-chrześcijańskiej kultury, niezłamana witalność i umiejętność regeneracji oraz zapał do kształcenia się i solidarności narodowa”.

Ocena ta jest być może nadmiernie optymistyczna. W każdym razie jednak Polacy liczą na zrozumienie i solidarność społeczeństwa niemieckiego, które stać się mogą ważnym czynnikiem w budowie mostów między naszymi narodami. Może i mnie będzie dane nadal w tym współuczestniczyć.

Władysław BARTOSZEWSKI

P.S. Dowiedzieliśmy się, że Tygodnik Powszechny miał ogłosić w numerze z 12 października br. powyższy tekst przemówienia Wł. Bartoszewskiego oraz informacje o całej uroczystości — ale cenzura zdjąła cały materiał pozostawiając jedynie nazwisko autora... (REDAKCJA).

Kossowski wrócił do Aylesfordu

W roku 1952 ogłosiłem w *Wiadomościach* szkic pt. „Kossowski of Aylesford” (jest on przedrukowany z obszernym uzupełnieniem w mojej książce „Szukanie równowagi”, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1985, str. 253-263). W połączeniu nazwiska artysty ze średniowieczną nazwą miejscowości w hrabstwie Kent w południowej Anglii, o godzinę jazdy od Londynu, było coś z niewinnego żartu. Po latach okazało się, że był to również podszept intuicji, nieświadomego przeczucia. Czas, który upłynął od moich pierwszych odwiedzin Aylesfordu potwierdził ściśle, rozciągnięte na lata (z górą dwadzieścia) związanie Adama Kossowskiego z tym miejscem. Przypieczętowała to sprężenie jego śmierć i pogrzeb właśnie w Aylesfordzie (4 kwietnia 1986). Do-

konało się zamknięcie drogi u jej początku, domknięcie koła zatoczonego wokół trudnego, skupionego, harmonijnego życia. Jest w tym coś ze wzniosłości i coś z symbolu.

Koło zaczęło się toczyć po prostu jak każde koło wprawione w ruch. Chłopiec z Nowego Sącza (ur. 1905) studiował w Akademii Krakowskiej, w Akademii Matejki, Wyspiańskiego, „Wyczółka” i tyłu znakomitych patronów. Miał pobudzających nauczycieli (Weiss, Kowarski, Pękalski). Jako terminator uczestniczył w podniecających przedsięwzięciach jak podnoszony do dawnej chwały Zamek Wawelski i Jasna Góra. Potem przyszły samodzielne prace, wśród nich dekoracja kościoła w sienkiewiczowskiej Okrzei (zaślubł w nim w 1938 roku Stefanę Szurlejównę, dziennikarkę i eseistkę, później ostatnią redaktorkę emigracyjnych *Wiadomości*).

Od początku zdradzał zmysł monumentalności. Po przeniesieniu do Warszawy został starszym asystentem klasy malarstwa ściennego w tamtejszej Akademii, zaczął zdobywać nagrody i zamówienia (Arsenał Warszawski, nowy Dworzec Główny).

To była pogodna uwertura jak z „Wiosny” Griega. W ten punkt wlotu ku błyskotliwej przyszłości uderzyła wojna. Aresztowany w listopadzie 1939, otrzymał w Charkowie wyrok, skazujący go na pięć lat łagru na dalekiej północy, przy budowie kolei nad rzeką Pieczorą, między Kotłasem a Workutą. Były to doświadczenia najcięższe, o których Kossowski mówił rzadko, ale zwolniony po upływie półtrzecia roku, dotarłszy okrężną drogą z białego piekła do Anglii, złożył o nich świadectwo w cyklu wstrząsających gwaszy, wystawionych w Londynie w roku 1943 pt. „*Polish Soldier's Journey*”. Pisałem o tej wystawie („coś z 'Anhellego', coś z Goyi”) w ówczesnym *Dzienniku Polskim* i *Dzienniku Żołnierza*. Pamiętam, jak przy jakimś przegodnym spotkaniu Kossowski powiedział: „Biegnę na moją wystawę zobaczyć to, coś Ty na niej zobaczył”. Nie pamiętam wyniku tej konfrontacji. Może artysta mi go nie zdradził. Był skromny i powściągliwy ponad zwykłą miarę.

Histora gwaszy sybirskich na tym się nie skończyła. W pewnej chwili znany wtajemniczonym (i już nieżyjący) nadgorliwiec usunął je z pola widzenia. Rzekomo wywiózł do Stanów Zjednoczonych „dla bezpieczeństwa” i ukrył pod korcem czy zniszczył. Na szczęście przed tym zbrojnym aktem petyzmu dla oprawców Kossowski sfotografował swój cykl, dzięki czemu szczęśliwie się zachował i w sprzyjającej chwili ukazał się w piśmie wydawanym przez Uniwersytet w Manitoba *Mosaic — Journal for Comparative Study of Literature and Ideas* (VIII/3) został utrwalony ku wiecznej pamięci.

Były łągiernik stanął w wojennym i powojennym Londynie *vis-à-vis de rien*. Nosząc w sercu ślub poświęcenia się sztuce religijnej, jeśli wyjdzie żywy ze śnieżnej otchłani, szukał po omacku drogi w obcym mu świecie. Zaczął modelować z gliny małe i większe figurki i kompozycje religijne i świeckie, barwić je i wypalać. Wystawiane w paru galeriach od razu znajdowały

nabywców i zwracały uwagę krytyków (jeden z nich wywiódł pokrewieństwo artystyczne Kossowskiego z Witem Stwoszem). *The Observer* w swym kolorowym dodatku z listopada 1966 roku, reprodukując jedną z ceramik Kossowskiego jako reprezentanta Anglii („*The Anglo-Polish artist...*”) dodał, że kilka jego ceramik znajduje się w British Museum, o czym Kossowski sam nie wiedział. Musiały to być ceramiki z tych czasów, gdyż później ich nie robił.

Obok tej pracy zarobkowej Kossowski próbował również wrócić do malarstwa, malował pejzaże z Hampsteadu, gdzie wówczas mieszkał i z Walii, dziś u prywatnych kolekcjonerów angielskich, i wziął udział w międzynarodowym konkursie sztuki religijnej w Londynie w 1945 roku, na którym otrzymał nagrodę za obraz olejny „Weronika”. Jednym z rezultatów tego było zaproszenie go do ważnego wtedy, w czasie odrodzenia architektury i sztuki sakralnej w Anglii, stowarzyszenia artystów katolickich („*Guild of the Catholic Artists*”) i wejście do środowiska angielskich architektów i plastyków.

Tu jest ogniwo, które jego egzystencję i działanie artystyczne sprzęgło z Aylesfordem. Po czterystu latach milczenia zaczęło się w tym mieście nowe życie, bić nowe źródło. W 1949 roku do zabudowań klasztornych, w części zamienionych po Reformacji na pałac, do drzew, które zdołały przetrwać i urosć, wrócili pierwotni właściciele, ojcowie karmelici, których stąd przegnał kolekcjoner żon i cudzego dobra Henryk VIII. W 1950 roku znany angielski rzeźbiarz, Philip Lindsay Clark, przywiózł tam Kossowskiego, załatwiwszy na własną rękę jego spotkanie z przeorem, który już o nim słyszał. Ten przyjazd zdaje się należeć do kategorii symboliki mistycznej.

Spotkanie Kossowskiego z o. Malachy Lynchem, pierwszym przeorem odradzającego się klasztoru, było symboliczne. Był to Irlandczyk, z rodziny katolickich duchownych, zażywny, majestatycznie urodziwy, łagodny, uciszony wewnątrz jak wszyscy ludzie ogarnięci wizją i wiarą, że wizje są po to, by zmieniały się w dotykálną rzeczywistość. (Już po tym pierwszym spotkaniu dowiedziałem się, że o. Lynch również pisał; jego ogłoszona drukiem książka nosi tytuł „*Courage to build anew*”). Wśród starych budowli z wapiennego, poczerniałego ciosu, wśród gęstego drzewostanu, o. Malachy (zważyliśmy go z polską i po biblijnemu Malachiaszem) robił stary i nowy klasztor, sprzed stuleci i z dzisiejszego dnia. Wszystko wydawało mu się możliwe i łatwe.

Siedząc tam między nimi w zielonym, migocącym cieniu wczesnego lata, widziałem jasno, że ci dwaj — polski artysta i starszy o parę lat zakonnik — rozpoznali się jakimś tajnym zmysłem. Uważnie siebie słuchali, ufali sobie wzajemnie. Z czasem Kossowski stał się cichym doradcą i bezimiennym opiniodawcą, choć jak mi się później czasem skarżył, jeden raz, gdy chodziło o architekturę nowego kościoła, nie udało mu się wstrzymać tego, co było przedtem założone. Ale przez z górą dwa dziesiątki lat Polak, urodzony w Nowym Sączu, niedoszły architekt, świetnie zaprawiony plastyk, człowiek pogłębiony zesańcym doświadczeniem,

stał się artystycznym odnowicielem, artystycznym twórcą nowego Aylesfordu.

Już właśnie zaczął to dzieło, które miało się stać dziełem życia. Dwie jego prace, pod wieloma względami znamienne, przywiodły mnie tutaj po raz pierwszy.

Jedną był cykl siedmiu obrazów w kapitularku, odtwarzający dzieje zakonu od nadania reguły na macierzystej górze Karmel w Ziemi Świętej aż do powrotu w aylesfordzkie mury, malowanych temperą (farbami klejowymi), której technikę Kossowski opanował w czasie przedwojennego pobytu we Włoszech. Drugą, zbliżającą się do ukończenia praca, inspirowana przez o. Malachiasza, była kontrastowo odmienna. Składała się z 15 kapliczek, obrazujących Tajemnice Różańca. Był to ciąg trójkątne oprawionych w drzewo, zamykanych na drewniane drzwiczki wielobarwnych kompozycji ceramicznych. Ciągnęły się wzdłuż zielonego stoku, tu i ówdzie wspinały się na pochyłość. Później zwięźczała je apoteoza — wizja Marii Panny, obdarzającej św. Szymona Stocka, założyciela klasztoru, pierwszym szkaplerzem.

Samo narzuca się odniesienie tego dzieła do renesansowego klanu rzeźbiarzy, malarzy, ceramików florenckich della Robbiów, których Kossowski widział i widywał w czasie swoich lat włoskich, którzy stanowili dynastię, ciągnącą się przez trzy pokolenia, może dłużej. Ale bliższe i bardziej oczywiste, bardziej przekonujące jest wiązanie z tradycją polskich przydrożnych kapliczek, tak charakterystycznych dla polskiego krajobrazu. Na ten trop kieruje sam Kossowski w wyznaniu, że w projekcie drewnianych opraw dla tych ceramik wzorował się na kapliczkach ludowych. Taka sama w tym dziele naiwna, czuła prostota, taka sama żarliwa nabożność, taka sama świeżość.

Od tego zaczął się związek Kossowskiego z klasztorem aylesfordzkim. Rozciągnął się na dwa dziesiątki lat, zamknął się liczbą stu prac rozmaitego rodzaju: obrazów malowanych temperą i obrazów olejnych, kolorowych płaskorzeźb ceramicznych i kompozycji mozaikowych, projektów witraży, detali z kutego żelaza. Objął dzieła rozmaitego charakteru i przeznaczenia od stacji Drogi Krzyżowej, wielkich *panneaux* jak „Święci karmeliccy” i „Męczennicy angielscy”, poprzez *predelle* (nastawy dolne ołtarzy) i *redos* (ich nastawy górne) aż do lichtarzy i kropielnic.

Zmysł monumentalności sasiaduje w nich z czuciem dla drobiazgu. Nowoczesność ujęcia przeplata się i zespala z dawnością. Wymowne są naoczne przykłady tej symbiozy: starożytne rzeźby, umieszczone w niszach nad ołtarzami i oprawione jak klejnoty detalami plastycznymi, pomyślanymi i wykonanymi przez Kossowskiego. Niektóre budynki i zamknięte przestrzenie w nich, np. kaplica św. Anny, są całościami kompozycyjnymi zrodzonymi z jednej wizji i wykonanymi jedną ręką od czarnych kafli posadzki do zielonego tła ścian i kunsztownymi zdobieniami techniką *sgraffito* na nich i prześlizną *predellą* w tej samej technice pod ołtarzem.

Może to jest sugestia mechaniczna, ale szczytem aglomeratu artystycznego w Aylesfordzie, tej wielkiej a przenikniętej jednym

duchem kompozycji przestrzennej wydaje się relikwiarz, zawierający czaszkę św. Szymona Stocka, trzynastowiecznego przeora klasztoru aylesfordzkiego i generała całego zakonu, z którego imieniem i doznaniem mistycznymi łączy się praktyka noszenia brązowego szkaplerza, zwanego „karmelitańskim”. Relikwiarz, wysokości 11 stóp, ustawiony w głębi trójdzielnej, jakby złożonej z trzech baszt budowli, skrzyżowanie obelisku ze smukłą wieżyczką, został przez Kossowskiego odlany w kilku częściach w betonie i pokryty oszczędnie ornamentowanymi czarno-piaskowymi płytami ceramicznymi. Ta strzelista architektoniczna konstrukcja, łącząca odległą egipską tradycję obelisku z nowoczesnym wyrafinowaniem prostoty, jest widoczna z każdego miejsca sanktuarium, wspina się w górę jako symbol nieukojonego napięcia, lotu ponad ziemię, trwania ponad śmierć.

Pracując dla Aylesfordu z krótszymi i dłuższymi przerwami przez dwa dziesiątki lat, Kossowski promieniował z niego szeroko na całe Wyspy Brytyjskie: na Anglię, Walię, Szkocję, Irlandię, dwukrotnie przekroczył Ocean, dziełami umieszczonymi w Houston i w Chicago (w dobrej kompanii rzeźby Picassa, wolno stojącej kompozycji freskowej Chagalla i *mobiles* Caldera). W sumie ta galaktyka, ciągnąca się świetlistą, kolorową smugą za Aylesfordem, obejmuje ponad 30 różnych miejscowości i setki obiektów różnego rozmiaru i różnych technik. Są wśród nich pewne formy zwyczajowe czy obowiązujące, jak Drogi Krzyżowe (każda złożona z 14 Stacji), Kossowski wykonał tych cyklicznych kompozycji dziewięć albo dziesięć ale nawet ułamkowa ich znajomość pozwala zauważyć brak schematyczności czy maniery. Będzie to można stwierdzić z całą pewnością po analizie porównawczej, gdy przyjdzie na nią czas, a powinien przyjść jak najprędzej.

Tu dotyka się pośrednio centralnego nerwu wrażliwości Kossowskiego. Każdy przedmiot sakralny, każda stacja Drogi Krzyżowej jest dla niego nowym doświadczeniem religijnym, wyrasta ze spontanicznego wzruszenia, każda jest wibracją uczuciową, każda jest wyznaniem wiary. Może zasługuje na uwagę, że Kossowski podbudowywał swoją wiarę wysiłkiem intelektualnym, czytał wiele literatury religijnej, do jednej z ostatnich prac — Objawienie św. Jana, o której będzie mowa dalej — przeprowadził specjalne studia symboliki apokaliptycznej i tzw. „numerologii” czyli mistyki, mistycznego znaczenia liczb.

Darmo byłoby wymieniać, bez dostatecznego wsparcia fotograficznego nazwy walijskie, szkockie, angielskie, miejscowości, w których znajdują się tympanony jak wielki „Sąd Ostateczny” w Leyland czy Rainham („Morderstwo św. Tomasza Becketa”), jak kompozycje ołtarzowe, wystroje kaplic, ale także chrzcielnice, figury świętych, krzyże stojące i zawieszane u stropu.

Dla ilustracji tego wielkiego dorobku poza aylesfordzkiego warto z różnych powodów wymienić dwie prace, z których jedna jest dziełem niesakralnym, druga odsłania w Kossowskim współczesnego mistrza trudnej techniki tradycyjnej. Obie znajdują się w Londynie.

Pierwsza to kompozycja ceramiczna na zewnętrznych ścianach

biblioteki miejskiej w londyńskiej dzielnicy Camberwell. Ta bodaj największa rozmiarami praca Kossowskiego, licząca tysiąc stóp kwadratowych, rozwija się jak kolorowy pochod przez dzieje prastarej drogi do Londynu. Otwiera ją inwazja rzymska, zamyka pełen godności i spokoju *bobby* w granatowym mundurze. Jest to kompozycja o wielkim rozmachu, wielkiej pomysłowości w kombinowaniu scen i motywów historycznych.

Drugie dzieło, jakby wieniec życia, to kaplica św. Benedykta w Queen Mary College uniwersytetu londyńskiego. Jest to dokonanie pod wielu względami osobliwe. Mieści się w budynku wzniesionym po ostatniej wojnie, w przestrzeni kolistej, bezprzebieg okiennych, z jednym tylko wejściem, ze światłem wachlarzowato rozpiętym na suficie. Na wewnętrznej powierzchni walca, nad czterdziestu ceglanyymi siedziskami, okrążającymi ściany, Kossowski rozpiął plastyczną transpozycję Apokalipsy św. Jana, wizyjną zawartość jej ponad dwudziestu rozdziałów skupił w siedmiu podłużnych polach, poprzedzielanych pionowymi, wąskimi prostokątami, na których są wyobrażenia czterech Ewangelistów, św. Piotr i św. Paweł. Piotr ma twarz artysty, jest jego autoportretem. To może wskazywałoby, jaką wagę przywiązywał do tej pracy.

Poziome *panneaux* zdumiewają wczuciem się w wizjonerstwo, w symbolikę, w przerażającą i jednocześnie wzniosłą wymowę Apokalipsy. Szczegółowy rozbiór tego dzieła wymagałby sporej dysertacji, na którą tutaj nie ma miejsca. Dwa przykłady muszą na razie wystarczyć. Wśród czterech jeźdźców, najbardziej upowszechnionego motywu Apokalipsy, Śmierć galopuje na końskim szkielecie, którego kręgi szyjne są oddane trójkątami, stojącymi na wierzchołkach. W scenie Sądu Ostatecznego anioły dmące w trąby przywodzą na pamięć „*l'ange à l'oliphant*” na szczycie Notre Dame w Paryżu.

Z technicznego punktu widzenia jest ta dekoracja prawdziwą *tour de force* sposobu wypowiedzi plastycznej, noszącego nazwę *sgraffito*. Polega on na pokrywaniu gładkiej powierzchni dwiema warstwami zaprawy, z których dolna jest przeważnie czarna, a górna biała lub kolorowa i na wydobyciu skrobaniem poszukiwanego układu linii i płaszczyzn. *Sgraffito* to jakby wielobarwna płaskorzeźba, jakby rzeźbiona grafika. Ten zabieg techniczny sięga bardzo dawnych, jeszcze egipskich czasów i był bardzo popularny we Włoszech w czasach renesansu. Jego przykłady można tam znaleźć do dzisiaj, zwłaszcza w kościołach na Sycylii. W Wielkiej Brytanii jest niemal nieznaną i stanowi tu właściwie unikat, zadziwiający brawurowością wizji, zuchwałością przekładania wersów Apokalipsy na język wizualny, pomysłowością wiązania elementów obrazowych w całości kompozycyjne, z których każda jest inna, a wszystkie zespala jeden powiew natchnienia.

Nieliczni świadkowie tej pracy Kossowskiego pamiętają, że nie raz pracował do późnej nocy i wczesnych godzin świtu sam na sam ze swoją wizją. Był w tym też przymus mechaniczny, wynikający z szybkiego schnięcia warstwy zwierzchniej. Ale twórca zdawał tu egzamin z ostrości widzenia i precyzji ręki.

Okoliczność patetyczną stanowi fakt, że Objawienie św. Jana jest dziełem praktycznie nieznanym. Mają do niego dostęp tylko ludzie związani z *college*'m, którzy może nie zawsze zdają sobie sprawę z tego, na co patrzą. A jest to drugie — obok relikwiarza w Aylesford — szczytowe osiągnięcie Kossowskiego, upośledzone w porównaniu z tamtym przez swoją niedostępność. Udostępnienie go w postaci albumu wydaje się pierwszym, najpilniejszym dezyderatem nakazanym przez pamięć o zmarłym artyście.

Kilkanaście lat przed śmiercią Kossowski musiał opuścić studio na Old Brompton Road z wielkim piecem ceramicznym w prawym rogu od wejścia i ogromnymi sztalugami, na których modelował swe płaskorzeźby. Widzę go, jak zanurza ręce w cebrzyku z szarą, mokrą gliną, biernie czekając na kształt, na przeobrażenie przez ogień w terrakotę i przyjęcie koloru w powtórnym zabiegu wypalania. Przeważnie ten ostatni proces był powtarzany kilka razy. Na zewnętrznej ścianie tego studia, gdzie pracował niemal 30 lat, powinna się znaleźć tabliczka kommemoracyjna, ale trudno się tego spodziewać, jeśli polskie środowisko w Londynie z dziesiątkami organizacji i bezlikiem prezesów zawodnych o swe godności nie zdobyło się na takie upamiętnienie pobytu Norwida w tym mieście, choć ludzie dobrej woli wskazali i utarli im drogę.

Dla Kossowskiego przyszło ono od niespodziewanej strony — z Aylesfordu, gdy 31 marca br. wydał ostatnie tchnienie. Na pewno był przywiązany do tego miejsca, rozumiał znaczenie tego punktu ziemi w swoim życiu i swojej egzystencji artystycznej, ale równie pewne jest, że nie powstało mu w myśli, że śmierć mogłaby zamknąć krąg oparty o Białe Morze u mety klasztoru w Aylesford. Na wieść o jego zgonie przyszło stamtąd zaofiarowanie pogrzebu i pochówku na przyklasztornym cmentarzu.

W tym spontanicznym geście kongregacji było upomnienie się o kogoś swego i przysparzenie jako swego, przynależnego do miejsca i obok dzieła, które poczęło się w jego duszy i wyszło z jego rąk. „Kossowski of Aylesford” — na pół żartobliwe nazwanie sprzed kilkudziesięciu lat nabrało pełnej treści i powagi. Krąg życia i dzieła zamknął się z geometryczną precyzją.

W uroczystości pogrzebowej przemieszała się serdeczna, braterska bliskość z najwyższym splendorem. W wigilię pogrzebu trumnę przywiezioną z Londynu przyjęła u wejścia do sanktuarium cała kongregacja ojców, braci i nowicjuszy, razem około czterdziestu. Ta sama kongregacja w tradycyjnych białych habitach z konturowo stebnowanymi czerwonymi krzyżami na piersiach i plecach wypełniła nazajutrz stalle w środkowej części sanktuarium. O wezwłowie trumny oparto podobiznę Czarnej Madonny.

Mszę żałobną celebrowało kilkunastu zakonników. Monumentalny przeor ojciec Maguire, *wing commander* w czasie ostatniej wojny, z białą głową, przypominającą autoportret Leonarda da Vinci, wygłosił zza pulpitu piękną eulogię pożegnalną (ukazała się ona drukiem w *Pilgrim's Letter*, Aylesford, summer 1986). Oto dwa fragmenty z tej eulogii: „*Adam regarded his religious art as*

his prayer, his way to worship God". — „He also regarded it as his apostolate, his way of communicating his faith, his vision of God to others" („Adam uważał swoją sztukę religijną za modlitwę, za swój sposób oddawania czci Bogu". — „Rozumiał ją również jako apostołstwo, jako przekazywanie swojej wiary, swojej wizji Boga innym").

Komunię pod dwiema postaciami przyjęła cała kongregacja i tłum rekolekcjonistów, uczestniczących w niecodziennym nabożeństwie. Przez cały czas angielszczyzna przeplatała się z łaciną śpiewu gregoriańskiego (na powierzchni wypłynęła pamięć dwójga ludzi, Leona Schillera i Toli Korian, którzy nauczyli mnie odczuwać jego piękno). Nad wszystkim wspinała się w tle iglica relikwiarza i trzymała pod sklepieniem najwyższą nutę. Przekładała ją na mowę obrazową tzw. „piętnasta" Stacja Drogi Krzyżowej, przedstawiająca grób otwarty wzlotem zmartwychwstania.

Pod nabożeństwem ruszył przy dźwięku marsza Chopina orszak żałobny, który mógł się wydawać pochodem do wieczności. Najpierw szli parami biali mnisi, za nimi płynęła trumna, w ślad za nią szła samotnie czarna, nagle zdrobniała postać wdowy, za nią garstka najbliższych przyjaciół przybyłych z Londynu i Walii.

Zaczęliśmy się wspinać na wzgórze po miękkiej, wilgotnej trawie. Dopiero wtedy usłyszałem, gdy milkł na chwilę gromadny śpiew, głos modlący się po polsku. To ojciec Edward Okoń, Polak karmelita, powtarzał raz po raz słowa prośby o „wieczne odpoczywanie". Tak na obcej ziemi, pod obcym niebem zabrzmiała mowa, którą mówił, w której myślał i śnił umarły.

Gdy wspięliśmy się na grzbiet pagórka, oddzielonego ciosowym murem od wolno, bezszelestnie płynącej rzeki, po prawej stronie dołu stanęła kongregacja, po drugiej my wszyscy, znani sobie i nieznan, nagle zbratani śmiercią i obietnicą. W pewnej chwili na nieboskłonnie zaciągniętym od rana słońce wygarnęło się z obłoków i padło snopem światła na nasze głowy i na wieko skrzyni leżącej już na dnie mogiły. Było w tym coś symbolicznego: jakby niepokalane, przedwiosenne niebo otworzyło się na oścież, spojrzęło ulgą i pociechą.

Broniłem się przeciwko natarczywej symbolice tego pogrzebu póki z prostych znaków, z prawie dotykanej aury wspólnoty nie wywinęła się formuła: *Artifex Dei* — Artysta Boży.

Tymon TERLECKI

Powyższy esej ukazał się 11 września br. w nowojorskim *Nowym Dzienniku*, do którego p. Terlecki przesłał go, nie informując o tym *Kultury*.

(Red.)

KLUB IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO

W ostatnich tygodniach ukonstytuował się w Monachium klub polityczno-dyskusyjny, którego celem jest m.in. rozwijanie polskiej niepodległościowej myśli polityczno-publicystycznej, obrona prawdy historycznej, popieranie badań z zakresu polskiej kultury i tradycji, współpraca z demokratycznymi ugrupowaniami reprezentującymi narody znajdujące się pod panowaniem sowieckim. Na obszarze Republiki Federalnej Niemiec klub współpracuje ze wszystkimi, którzy popierają ideę Europy demokratycznej, wolnej i zjednoczonej.

Przewodniczącym klubu jest Tadeusz Nowakowski, I wiceprzewodniczącym Włodzimierz Odojewski, sekretarzem Alina Perth-Grabowska. Klub przybrał imię wybitnego publicysty emigracyjnego, Juliusza Mieroszeńskiego. Utworzenie Klubu zbiegło się z dziesiątą rocznicą Jego śmierci.

Klub ma status Towarzystwa Wyższej Użyteczności Publicznej i osobowość prawną.

Klub stoi na gruncie poglądów pluralistycznych i nie jest związany z żadnym ugrupowaniem politycznym ani z żadną instytucją w Kraju ani na emigracji.

Działalność Klubu (referaty, dyskusje, spotkania, wystawy, konkursy itp.) będzie dokumentowana i publikowana. Niektóre imprezy klubowe 1986/1987:

- dyskusja n.t. „Czym jest dzisiaj pojęcie niepodległości?";
- odczyt pt. „Partie polityczne w Polsce po 13 grudnia";
- spotkanie panelowe o stosunkach polsko-niemieckich (dwujęzyczne);
- cykl spotkań z wydawcami prasy emigracyjnej;
- wieczory autorskie pisarzy i publicystów rosyjskich, ukraińskich, białoruskich, czeskich;
- spotkanie p.n. „czym Polska przyciąga uwagę Europejczyka" z udziałem publicystów zachodnich piszących o Polsce;
- konkurs na pamiętniki emigrantów pt. „Pierwsze kroki";
- wspólny koncert polsko-czeski politycznych „pieśni protestu".

Warunkiem przyjęcia do Klubu jest posiadanie rekomendacji przynajmniej dwóch członków-założycieli. O przyjęciu kandydata decyduje Zarząd.

NAGRODA IM. JIRI LEDERERA

Laureatem nagrody — za literackie przekłady z języka czeskiego na polski — został Andrzej S. JAGODZIŃSKI, zamieszkały w Warszawie. Nagroda ta została w bieżącym roku przyznana po raz pierwszy.

Nagroda (w wysokości F. 5.000,00) przyznawana jest Polakom, Czechom oraz Słowakom, którzy uprawiając niezależną działalność kulturalną przyczyniają się do wzajemnego zbliżenia polsko-czechosłowackiego.

Jiří Lederer, czeski dziennikarz i publicysta, zmarły na emigracji 12 października 1983 roku, przez całe twórcze życie przyczyniał się niestrudzenie do wzajemnego zrozumienia między naszymi słowiańskimi narodami.

O przyznaniu nagrody decydują redakcje: kwartalnika polskiego *Zeszyty literackie* i czechosłowackiego *Svedectvi*, obie z siedzibą w Paryżu.

Książka ma luźną konstrukcję; rozbita na trzy części i 22 paragrafy (plus zakończenie), nie bardzo trzyma się chronologii, obfituje w dygresje i nawroty myślowe, we wtręty polemiczne, w aluzje do chwili obecnej. Pisana jest dla wyrobionego czytelnika, obeznanego z „literaturą przedmiotu”, z dostępnymi dziś podręcznikami. Wielokrotnie autor podkreśla, że pomija sprawy ogólnie wiadome, skupia się zaś na wątkach polemicznych lub zafałszowanych. Jest to więc z założenia obraz naszych dziejów jednostronny, o czym autor lojalnie uprzedza. Wartki styl, barwny tok opowiadania, temperament polemiczny autora unoszą jednak czytelnika, narzucają mu określoną wizję przeszłości.

Bohaterem zbiorowym omawianego 50-lecia jest obóz niepodległościowy, czyli to środowisko, które po klęsce powstań nie zrezygnowało z oporu przeciwko zaborcom, usiłowało kontynuować walkę „nawet bez nadziei”, na drodze samokształcenia i społecznikowania, ale też konspiracji i demonstracji, przygotowań rewolucyjnych i powstańczych. Ze społecznego punktu widzenia trzon tego obozu stanowi inteligencja, zwłaszcza inteligencka młodzież i organizacyjnie rzecz biorąc, nurt ów bierze początek we wczesnych kółkach socjalistycznych i „ligowych”, skupia się w PPS, a mówiąc ściślej w jej skrzydle skupionym wokół Piłsudskiego; po rewolucji 1905 roku, wzbogacony świeżymi dopływami, przeistacza się w obóz legionowy i koniec końców, w pomyślnej koniunkturze międzynarodowej, wywalcza i odbudowuje niepodległe państwo.

Pozostałe warstwy i organizacje społeczne jak też osobistości książka omawia i ocenia z punktu widzenia ich stosunku do sprawy niepodległości. Szczególnie wyrazisty jest pod tym względem paragraf „Odcienie narodowej kapitulacji”, poświęcony łącznej charakterystyce polskich konserwatystów tudzież SDKPiL. Sąsiadują tu na dwóch kolejnych stronach kąśliwe charakterystyki Róży Luksemburg i Hipolita Korwin-Milewskiego... Obie wymienione osoby byłyby, sędzę, tyleż zaskoczono co zdegustowane tym zestawieniem...

Piłsudskiego autor określa jako największego Polaka swoich czasów i najbardziej zasłużonego dla sprawy narodowej. Jednak nie jest to piłsudczykowska hagiografia: niejedno posunięcie tego bohatera zostało mu pocytnane za błąd polityczny, zwłaszcza zaś do pomajowego okresu ma autor stosunek krytyczny. Pisząc o jego rywalach, rozkłada akcenty odmiennie: Dmowski jest dla niego postacią „raczej antypatyczną”, ale trzeba mu przyznać trafne polityczne rozeznanie oraz wiekopomną zasługę położoną dla Polski w Wersalu. Witosa autor podziwia, jako charyzmatycznego przywódcę, ale przeciwstawia się legendzie, jakoby się czymkolwiek przyczynił do zwycięstwa 1920 roku. Podrwiwa z opowieści, jak to na urząd premiera powołano Witosa „prosto od pług, jak rzymskiego Cincinnata (czy jednak w połowie lipca odbywa się orka w Krakowskim?)”. Sędzę, że w grę mogła wchodzić podorywka ziemniaków...

Wśród luminary kultury autor broni przed wiadomymi zarzutami Sienkiewicza, ze względu na patriotyczne oddziaływanie

Książki

O budowaniu Niepodległej

Szczególna sytuacja naszego narodu — ograniczonego w swej suwerenności, zagrożonego w duchowym jestestwie — skłania wielu rodaków do oglądania się wstecz, w stronę wieku XIX, czasów niewoli, zmagania wolnościowych i usiłowań ratowania narodowości. Obok uczonych podejmują tę problematykę publicyści i literaci, starając się nie tylko odtwarzać wydarzenia sprzed lat stu i dwustu, ale też objaśniać je i oceniać. Jeśli nie sami pisarze, to na pewno ich czytelnicy, zastanawiając się nad ubiegłym stuleciem myślą także o dniu dzisiejszym i wychytują analogie, doszukują się prawidłowości, z wiedzy o tamtych czasach próbują jakby czerpać naukę na teraz. Niestabnące spory fachowców i dyletantów na temat alternatywy walki zbrojnej i pracy organicznej, „szans” tych czy innych powstań, racjonalności czy też bezdroży „ugody”, oceny orientacji politycznych II Rzeczypospolitej — wszystko to odnoszone bywa do naszych dzisiejszych losów, do rachunku sumienia ostatnich naszych klęsk i do refleksji: co dalej?

W nurt tych rozważań wpisuje się także książka Wojciecha Giełżyńskiego „Budowanie Niepodległej”*, historia Polski w dobie powstaniowej oraz pierwszej wojny światowej. Doprowadzona do roku 1920, jest utrzymana w konwencji eseju, skądinąd jednak wsparta o rozległe odczytanie w monografiach i przyczynkach naukowych, wydawnictwach, źródłach i pamiętnikach, a dla XX wieku także w prasie. Korzysta również autor z tradycji rodzinnej: ojciec jego, Witold Giełżyński, czynny był w strajku szkolnym 1905 roku, redagował w czasie pierwszej wojny światowej aktywistyczną *Myśl Polską* i *Głos Stolicy*, odbył jako ochotnik kampanię 1920 roku. Od ojca między innymi czerpał autor dane o polskiej masonerii.

* Instytut Literacki, „Biblioteka Kultury”, tom 410, str. 336, Paryż 1985 (cena F. 100).

„Trylogii”; ma sentyment dla Konopnickiej, czci, rzecz jasna, Zeromskiego, powściągliwiej ocenia zasługi Prusa, bo „program miał ubożutki”... „notorycznie nie rozumiał psychologii narodu, ani prawideł walki politycznej”. Na piedestale ustawia Gieżyński Edwarda Abramowskiego i słusznie przypomniana została postać wielkiego społecznika, o której w Polsce dziś mało kto wie.

Esej historyczny oceniać trzeba z dwójakiego punktu widzenia: na ile odtwarza przeszłość zgodnie ze stanem historycznej wiedzy oraz w jakim kierunku oddziaływa na czytelników.

Z pierwszego punktu widzenia można by oczywiście wytknąć autorowi niemałą ilość lapsusów, niekiedy nawet drastycznych, ale po prawdzie nie mają one związku z głównym tokiem jego wywodów. Czytelnika niniejszej recenzji drobiazgi te mało obchodzą. Polemikę podjął wypada z głównymi założeniami książki.

Po pierwsze zatem: jak najbardziej zasłużona apologia „budowniczych niepodległości” eksponuje dokonania jednego tylko nurtu ideowo-politycznego, inne zaś zbywa pobieżnie, lub przemilcza. W zasadzie jest to historia Kongresówki. Kilka stron poświęcono „walce o ziemię” w Poznańskim, kilka ruchowi ludowemu w Galicji, stroniczkę Kresom Wschodnim. O Śląsku i Pomorzu są tu i ówdzie wzmianki. Wkładowi dzielnic tych w odzyskanie niepodległości nie została oddana pełna sprawiedliwość.

Ma rację autor, że *gros* ziemiaństwa reprezentowało tendencje ugodowe, że nasza burżuazja była w większości niemiecka lub żydowska, że masy chłopskie (przynajmniej w Królestwie) Polskę ignorowały. Może jednak należało zamarkować, że wśród młodzieży aktywnej w ruchu niepodległościowym znalazło się nie tak znów mało synów ziemiańskich; że wśród „burżujów” o niemieckich i żydowskich nazwiskach nie brakło patriotów, łączących hojnie na cele publiczne; że we wspomnieniach ludowych działaczy z przełomu stuleci znaleźć też można świadectwa o pozytywnym reagowaniu chłopów na hasła narodowe. Skądinąd zaś: nie każdy inteligent warszawski, krakowski czy lwowski był ideowym i zaangażowanym niepodległościowcem.

Autor odwołuje się do głośniejszego czasu książki Bohdana Cywińskiego „Rodowody niepokornych”. Nazywa ją książką „ogromnej wagi”, lecz zarazem „książką ułomną”, ponieważ poświęca niewspółmiernie mało uwagi rodowodom „najbardziej niepokornych”, mianowicie piłsudczykom. Stawia więc sobie Gieżyński za cel „dopisanie suplementu do książki Cywińskiego”. Bardzo chwalebnie — ale który czytelnik będzie w stanie zestawić obie książki? Rzecz Gieżyńskiego, w piętnaście lat po Cywińskim, też można by nazwać „ułomną”, jako że aktywność katolików polskich została w niej przedstawiona niemal wyłącznie od strony negatywnej. (Owszem, uwzględnione zostały zasługi wielkopolskiego kleru na niwie organicznej). Ale w pozostałych zaborach Kościół polski to nie tylko lojalistyczni i konserwatywni biskupi. Mówiąc o społeczeństwie polskim przełomu stuleci, należała się wzmianka o charytatywnej pracy galicyjskich zako-

nów, o tajnych bractwach „honorackich” w zaborze rosyjskim, o pracy duszpasterskiej wśród unitów. Wśród pochwalonych słusznie działaczy spółdzielczych zabrakło księdza Blizińskiego; do listy wspaniałych i zasłużonych dla polskości kobiet-pedagogów można było dorzucić nazwisko Cecylii Plater-Zyberk. Dla Gieżyńskiego nurt katolicki w ruchu niepodległościowym to była „wąziutka strużka”. To fakt, że do niedawna historycy katolicyzmu polskiego o własnej swej „nielegalisztynie” pisali niechętnie; wszakże po Soborze działali niejedno dla poszerzenia w pamięci owej „strużki”.

Wojciech Gieżyński natomiast poszerza „strużkę” inną, mianowicie masonską. Dowiadujemy się od niego wielu ciekawych rzeczy: jak środowisko warszawskich masonów, głównie z inicjatywy Abramowskiego, zmontowało na progu stulecia „zakamuflowaną siatkę”, która rozbudowywała przeróżne „twierdze polskości”, zwłaszcza zaś ruch spółdzielczy. Jak środowisko to wspierało nurt niepodległościowy w PPS; jak w pierwszych tygodniach wojny 1914 roku masoni Patek, Zaleski i Filipowicz, wsparci przez Wielki Wschód Francji, nawiązali pierwsze kontakty pomiędzy Piłsudskim a zachodnią Ententą. Wszystko to są cenne wskazówki, poparte świadectwami ojca autora — tym cenniejsze, że dzieje odbudowy łóż warszawskich po rewolucji 1905 roku wydają się wciąż zagmatwane. Gieżyński powołuje się na dwóch autorów piszących na ten temat: Leona Chajna i Ludwika Hassa. Oceniał ich dowcipnie: „Chajn wielu rzeczy nie wiedział, ale rozumiał całokształt, Hass wie prawie wszystko — ale mało rozumie”.

Z oceną roli politycznej masonerii w Polsce XX wieku jest trochę tak, jak z dyskusją nad polskim Oświeceniem i udziałem w nim licznych księży. Jest faktem, że wielu zasłużonych luminarzy XVIII wieku chodziło w sutannach; czy wnosić stąd należy o postępowym charakterze katolicyzmu polskiego za Stanisława Augusta, czy raczej sądzić, że postępowi intelektualiści owych lat obierali karierę duchowną z różnych konieczności życiowych? Analogicznie dowiadujemy się z recenzowanej książki, że notoryczni masoni warszawscy przed rokiem 1914 byli zaangażowani w PPS, w tzw. pedecji, w „Zaraniu”, w zarządach wielu organizacji oświatowych, w kółkach „staszycowskich”, w towarzystwie kooperatystów, że przodowali wśród obrońców politycznych itd. Można zjawisko to interpretować w sposób dwójaki. Albo zakładać, że masoneria polska, formalnie jeszcze nie zrzeszona w „Wielkim Wschodzie”, kierowała z ukrycia całością robót niepodległościowych, legalnych i nielegalnych. Albo inaczej: że wspomniani działacze niepodległościowi zrzeszali się w lożach, lub przystępowali do nich, jako że odpowiadały one ich przekonaniom, albo też dogadzały im ze względów taktycznych. Rzecz się sprowadza do nieco odmiennego rozłożenia akcentów, ale na ten temat podyskutować warto.

W toczonym od lat sześćdziesięciu sporze o wewnętrzne, czy też zewnętrzne przyczyny sprawcze odrodzenia państwa w 1918 roku, autor nasz, rzecz jasna, kładzie nacisk na własne siły i

osiągnięcia narodu. Wytworzyła się w wyniku wojny korzystna dla Polski sytuacja międzynarodowa, lecz w tym momencie istniało w społeczeństwie polskim dosyć żywiołów pragnących niepodległości oraz istniał ośrodek kierowany przez Piłsudskiego, który umiał koniunkturę wykorzystać. Jedno i drugie — zdaniem autora — było owocem trzydziestu z górą lat wysiłków, legalnych i nielegalnych, pokolenia niepodległościowców. Kładąc nacisk, z pedagogicznych przede wszystkim względów, na zasługi owych „niepokornych”, którzy w najcięższych warunkach, na przekór nadziejom, podtrzymywali i krzewili ducha, budowali owe „twierdze polskości” — autor niedostatecznie — moim zdaniem — zwraca uwagę na okoliczności zewnętrzne, które działalność tę czyniły w ogóle możliwą. Miałbym tu na myśli:

- Eksplozję demograficzną ludności ziem polskich.
- Europejską koniunkturę gospodarczą, w której na różny sposób partycypowały wszystkie trzy zabory, a także polska emigracja zarobkowa. To prawda, że nie wszystkich bogaczy w naszym kraju sprawa polska interesowała, ale „twardej waluty” było dość wiele w obiegu, by sfinansować niejedno przedsięwzięcie niepodległościowe.

- Dostrzegalny od lat 80-tych XIX wieku kryzys wewnętrzny caratu. Tłumaczy on między innymi fakt, że żandarmeria w Królestwie, zaprzęgnięta tropieniem spisków socjalistycznych, patrzyła przez palce na wszelkie inne formy „nielegalizacji”, zwłaszcza oświatowej, ignorując też patriotyczne zaplecze legalnych prac organicznych.

- Liberalny klimat ówczesnej *belle époque*, udzielający się nawet państwu zaborczym. Polityka germanizacyjna Bismarcka i Bülowa nie znała jeszcze metod hitlerowskich. Władze carskie wieszały i zsyłały tysiącami rewolucjonistów; ale iluż ich tą czy inną drogą wydostało się z więzień i ze zsyłki, aby wrócić do partyjnej roboty. Autor opowiada zresztą, na podstawie listów Stróżeckiego, jak dobrze sobie radzili zesłańcy polscy na Kołymie około 1900 roku. Na pierwszego maja urządzili sobie nawet ucztę i na deser ananasa!

- Ostatni element ówczesnej sytuacji: napięcia międzynarodowe, narastające już od schyłku lat 80-tych ubiegłego wieku. Starcie zbrojne między zaborcami okazywało się w zasięgu możliwości. Otwierały się więc widoki lepszej koniunktury dla sprawy polskiej, z kolei zaś pomyślne te widoki mobilizowały do wysiłków.

Okoliczności te znane są autorowi, choć woli on opiewać stracone wysiłki swoich bohaterów, nie zawsze uwidoczniając, jakim cudem mogły one w ogóle dochodzić do skutku. Pamiętać zaś o owych okolicznościach trzeba, między innymi dlatego, że cechowały one epokę już minioną, sprzed pierwszej wojny światowej. Dzisiejsi „niepokorni” działają w odmiennej sytuacji, pod niektórymi względami na pewno trudniejszej, pod innymi być może korzystniejszej, i z tym wszystkim powinni się liczyć, jeśli pragną korzystać z doświadczeń XIX wieku.

Końcowa partia książki zawiera dwa paragrafy, z którymi

nie zamierzam podejmować polemiki. Jeden mówi o polsko-ukraińskim zatargu zbrojnym o Lwów, w 1918/1919 roku. Stwierdza prawdziwość legendy „orląt lwowskich”: polska młodzież uratowała wtedy Lwów dla Polski... na lat dwadzieścia. Ale reszta społeczeństwa — politycy, wojskowi, mieszczenie, robotnicy — zachowali się wtedy (zdaniem autora) żałośnie lub haniebnie. Sam zaś konflikt z Ukraińcami był ciężkim politycznym błędem, popełnionym (podkreśla autor) jeszcze przed powrotem Piłsudskiego z Magdeburga. „Dojrzały politycy — czytamy w książce — może nie tylko Lwów zaprzepaścili wtedy, ale i niepodległość...”.

Drugi z paragrafów końcowych, wart zastanowienia, dotyczy kampanii 1920 roku. Autor odrzuca legendę o powszechności zrywu narodowego w obliczu ofensywy Armii Czerwonej. Do powołanej wtedy armii ochotniczej zaciągnęli się nie chłopci, nie robotnicy, ale w przeważnej części młodzież inteligencka — nie tylko zresztą młodzież. Te ochotnicze pułki, rzucone na front bez wykszolenia, ciężko się wykrwawiły; ofiara ich umożliwiła jednak Piłsudskiemu przegrupowanie sił i rozstrzygnięcie bitwy formacjami regularnymi. Niniejszy akcent końcowy podtrzymuje więc koncepcję autora o inteligencji polskiej, najwartościowszej, najbardziej ofiarnej warstwie przewodniej narodu. Nie jest to pogląd moralny, ani też chętnie głoszony, mimo iż podzielany przez wielu inteligentów.

Na wstępie tej recenzji zwróciłem uwagę, że na znaczeniu historycznego eseju waży nie tylko jego zgodność z faktami, ale także rezonans jaki napotyka u czytelników. Z tego punktu widzenia sądząc, książka Giełżyńskiego stawiała sobie cele krzepiące i mobilizujące. Dzisiejszemu młodemu pokoleniu postawiła za wzór młodzież polską sprzed lat blisko stu; pokazała, jak umiała ona postawić na kartę swój dobry byt i szansę życiową, jak przysłużyła się narodowi, stawiając opór zaborcy w warunkach, zdawałoby się, beznadziejnych. W początkowych zwłaszcza partiach książki narracja autorska przeplata się ze wskazówkami praktycznymi: kiedy konspirować warto i należy, jak unikać „wpadek”, w jakiej mierze celowość danej akcji, czy demonstracji, mierzyć można i trzeba poniesionymi doraźnie stratami. Zauważa więc ta książka przesłanie do młodego pokolenia, aby nie ustawało w dążeniu „do wyzwolenia człowieka”.

W zakończeniu zatytułowanym: „Na teraz i na pojutrze” autor broni się przed zarzutem, jakoby odwoływał się do emocji młodego czytelnika, jakoby głosił hasło: „trzeba się szykować do powstania”. Ostrzega tylko przed postawami zniechęcenia, bierności, akceptacji, egoistycznego zasklepienia. Ukazując przykłady „niepokornych” z zeszłego stulecia kończy akcentem wiary: „Nadal zależy od nas wiele, choć nie wszystko”. A także postulatem: „Naród musi przetrwać, zachować swoją tożsamość”.

Książka jest więc pobudzająca do myślenia i warta studiowania. O jednym tylko pamiętać winien czytelnik: mamy tu jedno z możliwych spojrzeń na historię popowstaniową; żadne zaś wzory przeszłości, nawet najbardziej chwalebne, nie nadają się do ślepego naśladowania.

Marek Halter i jego «Księga Abrahama»

W zamierzeniu autora wymieniony utwór nie jest tylko powieścią. Przerwywają ją i przeplatają rozdziały, zawierające bezpośrednio relacje z życia Marka Haltera i jego rodziców. By podkreślić ich charakter wiernego świadectwa (a nie powieściowej fikcji), rozdziały te złożone są kursywą i zaopatrzone szeregiem referencji. Łatwo zresztą stwierdzić, że opisy tych samych wypadków znajdowały się także w pierwszej książce Haltera pt. „Wariat i królowie”, wydanej jako autobiografia, więc utwór ściśle dokumentalny. W tym charakterze był i jest on reklamowany; w tym charakterze służy prasie, radiu i telewizji jako źródło do prezentowania „niezwykłego” życiorysu autora.

Już tę autobiografię nasycali jednak, i to po brzegi, czyste wymysły. Halter opisuje np. swoje dramatyczne przeżycia dziecka w getcie warszawskim, ucieczkę stamtąd kanałami (pod opieką matki) etc. Do swych „doświadczeń” w getcie wraca zresztą notorycznie w wywiadach i przy wielu innych okazjach. W rzeczywistości nigdy getta nie znał i nie widział, gdyż już w październiku 1939, dokładnie rok przed założeniem getta (2 października 1940) znalazł się z rodzicami pod okupacją sowiecką w Białymstoku, skąd udało im się potem ewakuować w głąb Związku Sowieckiego. Wymysłami są także wszystkie (powtarzam: wszystkie) jego „przygody” w Uzbekistanie, a wymyślił ich dużo, jedne bardziej sensacyjne od drugich. Później jeszcze pisze o sobie w Polsce — dokąd Halterowie repatriowali się po wojnie: „Antysemityzm nie zniknął (...) lecz ja nie bałem się walki: miałem czternaście lat i rewolwer”. W rzeczywistości urodzony w 1936 Halter miał w 1946 lat dziesięć, a — o ile wiadomo — nawet w ustroju demokracji ludowej dziesięcioletnie pacholeta nie przechadzały się z rewolwerem w rękę.

Już w pierwszej książce Haltera znalazły się również początki wymysłów, dotyczących jego protoplastów. Tak wymyślił sobie np., że w czasie zbrojnych walk getta Warszawy jego dziadek, z odbezpieczonym granatem w ręce, rzucił się z balkonu na niemiecki czołg. Albo, że moskiewska *Prawda* (i to w pierwszych miesiącach wojny niemiecko-sowieckiej) pisała szeroko o jego pradziadku, który (co jest również nieprawdą) wydawał pierwsze ulotki socjaldemokracji w Rosji do robotników żydowskich.

Bezkrzytycyzm, z jakim media francuskie przyjmowały te białulki, zachęcił Hatera do wyprodukowania wielkich rozmiarów (646 stron podwójnego formatu) „Księgi Abrahama” (*La mémoire d'Abraham*), rodzaju sagi rodu Halterów, naprzód rzekomo skrybów, później drukarzy. Zaczyna się ten długi łańcuch generacji po zburzeniu Jerozolimy, w 70 roku nowej ery. Odnosnie pierw-

szych czternastu stuleci autor nie rewindykuje jeszcze autentycznych powieściowych antenatów. Jego stanowisko zmienia się zasadniczo z wiekiem XV i z postacią niejakiego Gabriela, który miał utrzymywać stosunki z samym Gutenbergiem, był pono twórcą hebrajskich czcionek i — w mieście Soncino, położonej niedaleko Cremony (dokąd przybył z Alzacji) — pionierem w dziedzinie edytorstwa, wydawcą książek nie tylko włoskich, ale także hebrajskich. W rozdziałach złożonych kursywą autor przedstawia się z całą powagą jako potomek w linii prostej owego Gabriela. Czy rodowód zmyślony w ten sposób nie zasługuje na kpiący uśmieszek? Pomyłka. Pod piórem szeregu recenzentów figuruje on w charakterze informacji obiektywnej, którą Halter eksploatuje w dodatku również materialnie, w sposób budzący oszołomienie¹.

W jaki sposób powstała ta książka? Długo mówiły o tym jedynie szeptem wtajemniczonych. Sprawa powstania książki była wszakże — jak się okazało — zbyt gruba i zbyt rozgałęziona, by utonąć na dobre w ukryciu. Toteż z czasem... — „W ciągu szeregu lat — ujawnił Daniel Rondeau — pracowała dla niego ekipa ośmiu dokumentalistów (*enquêteurs*) (...). Do wykończenia pracy Halter zmobilizował kilku wirtuozów w tej materii, w tym Braudela” (*Libération* z 4 i 5 sierpnia 1985). Historyk Patrick Girard, pytany przez innego dziennikarza, potwierdził: „Było nas rzeczywiście czterech czy pięciu do wytyczenia prawdopodobnego szlaku wędrówek tej rodziny”. Tenże dziennikarz (Nicolas Beau) relacjonuje: „oskarża się autora, iż 'Księgę Abrahama' napisał mu 'murzyn' Jean-Noël Gurgan, który zredagował już wcześniej pierwszą książkę Haltera”. Gurgan, zagadnięty bezpośrednio, broni się: pomogłem Halterowi — powiada — rozplanować powieść, zorganizować ją”. Nicolas Beau notuje jednak zabawną „zbieżność”: maksyma, która zdobi własną książkę Gurgana, wydaną grubo wcześniej, wynurza się niefortunnie w tekście „Księgi Abrahama” (*Libération* z 4 stycznia 1986).

Chodziło zatem — jak z tego jasno wynika — o zakonspirowane przedsięwzięcie przemysłowe, zatrudniające w ciągu lat szeregi historyków, zbieraczy, przerabiaczy i stylistów. Cała koncepcja „Księgi Abrahama” zaczerpnięta jest zresztą z powieści André Schwarz-Barta „Ostatni Sprawiedliwy” (czego sprawozdawcy nie uznali jakoś za wskazane wzmiankować, chociaż książka ta, uwieńczona nagrodą Goncourtów w 1959, długo należała do wielkich *bestsellerów*). Dynastię Sprawiedliwych zastąpił Halter po pros-

1. W broszurze, wydanej w języku francuskim (*Le cas de Marek Halter. Jusqu'où est-il tolérable d'aller trop loin?* Paris 1984) ujawniłem rożnowisko jego „biograficznych” kłamstw. Po ukazaniu się tej broszury otrzymałem dziesiątki listów, m.in. od wielu żydowskich naukowców, pisarzy i działaczy. Gratulowali mi (cytuje wybitnego korespondenta) *d'avoir accompli cette œuvre de salubrité publique*; inni dziękowali za „przełamanie tej haniebnej zmywy milczenia”. Był też życzliwy korespondent, który lękał się, że „po tym co ogłosiłem, Halter może mi wytoczyć proces o zniesławienie”. Uspokoiłem go: właśnie Halter wie najlepiej, że wszystko co napisałem o nim mogę w pełni udowodnić.

tu dynastią skrybów i drukarzy. Ogromna różnica między dwoma autorami polega wszakże na tym, iż twórca tej powieściowej koncepcji André Schwarz-Bart nie miał próżności i fanfaronady Haltera: nie przedstawiał siebie samego jako bohatera swojego eposu, ani swoich przodków jako licznych pokoleń Sprawiedliwych.

Niektórzy recenzenci książki Haltera piszą o „oddechu wieków”. I słusznie. Dotyczy to jednak historii Żydów, do której (w oparciu o materiały dostarczone przez wspomnianą ekipę historyków i zbieraczy) odwołują się liczne rozdziały, ale nie do walorów literackich samego utworu. Stwierdzić bowiem należy, że psychologia w tej książce po prostu nie istnieje. Język występujących osób jest niezróżnicowany, a jedyna stylizacja polega na mechanicznym zdobieniu cytatami z żydowskich tekstów religijnych. Chociaż, z uwagi na temat, postaci jest bardzo dużo, trudno powiedzieć, iż bodaj kilka z nich utkwilo wizualnie czytelnikowi w pamięci. Nawet wypadki i sytuacje, mające za sobą bogatą już literaturę piękną (np. XVII wiek w Amsterdamie: dramat Uriela da Costa, Rembrandt portretujący Żydów itd.) wyprane są tutaj z poezji, przeniesione prosto z surowych fiszek, zgromadzonych przez pracujących konspiracyjnie dla Haltera historyków. W innej części cały okres żydowskiego Oświecenia w XVIII wieku w Berlinie (z Mojżeszem Mendelsohmem), w Königsbergu, w Strasburgu, później w Paryżu w przededniu i podczas francuskiej rewolucji etc. opisany jest pod jedynym pretekstem, mianowicie bardzo prymitywnie powieściowo motywowanych ucieczek Berla z Żółkwi przed ścigającą go żoną. Przykłady można by długo mnożyć, gdyż taka jest cała technika książki.

W znanych powszechnie sagach powieściowych wybitni autorzy brali jako wzór rzeczywiste postacie i rzeczywistą historię swoich rodzin. Ze względu na właściwe beletrystyce przekształcenia nie dawali jednak tym postaciom nazwisk rzeczywistych, lecz fikcyjne (protagoniści Johna Galsworthy nazywają się Forsyt a nie Galsworthy; protagoniści Tomasza Manna nazywają się Buddenbrook a nie Mann itd.). W „Księdze Abrahama” odwrotnie: do szlaku wędrówek, wykombinowanych przez wspomniany zespół historyków, do wypadków, do scen i do zwyczajów kreślonych według materiałów dostarczonych mu przez zatrudnionych w tym celu zbieraczy, autor wprowadza każdorazowo fikcyjną, mniej czy więcej schematycznie pomyślaną osobę, którą mianuje kolejnym z rządu protoplastą rodu Halterów.

Znany pisarz i krytyk literacki Arnold Mandel określił system Haltera tytułem poświęconego mu artykułu: *Tam-tam et esbroufe*, czyli afrykański bęben (hałaśliwej autoreklamy) i strojenie ważnych min (*Information Juive*, nr 53, marzec 1986).

Dodajmy, że Halter kieruje lansowaniem swojej książki w różnych krajach i bardzo dynamicznie w nim uczestniczy. Daje wywiady, organizuje inscenizacje. Ilość zmyśleń, podrzucanych przez niego prasie w charakterze rzeczywistych faktów dowodzi przy tym, że jego przymysł permanentnej mistyfikacji znajduje się w pełnym rozkwicie. W reklamowych „niedyskrecjach” suflowanych

gazecie *Quotidien de Paris* (z 3 listopada 1984), Marek Halter zapowiedział, że wkrótce „uda się do Watykanu, gdzie papież Jan Paweł II zgodził się go przyjąć”. Cel tej pielgrzymki? — „Spodziewam się — wyznał bez żenady — że papież da mi lekkie pchnięcie, konieczne do lansowania mojej książki we Włoszech”. Spotkanie nastąpiło sześć miesięcy później, w trakcie publicznej audiencji i trwało (według wersji Haltera) siedem minut. Papież zapytał go, gdzie się urodził. Na co Halter odpowiedział bez zająknięcia: „Urodziłem się w getcie warszawskim”. Efekt nieustraszonego kłamstwa był natychmiastowy: — Papież „silniej uściśnął mi rękę i w jego oczach widziałem, że będzie słuchał tego co mam mu do powiedzenia”. Gdy Halter wskazał na swoją odznakę organizacji SOS-Rasizm i „nalegał” (?), papież (który — zauważmy — wiele razy wcześniej i wiele razy później, bez czyjegokolwiek nalegania, występował zdecydowanie przeciw rasizmowi) miał odpowiedzieć, że „prowadzę robotę pozytywną”. Na mocy czego Halter, przesiąknięty do szpiku kości tupetem i kultem własnej osoby, dyktuje dziennikarzowi: — Tak oto zobowiązałem (!) papieża, by pobłogosławił SOS-Rasizm!” (*Le Matin* z 4 lipca 1985).

Celem pielgrzymki do Watykanu było jednak, jak wiemy, uzyskanie „pchnięcia”, koniecznego do lansowania we Włoszech jego książki, tymczasem o książce nie było w audiencji ani słowa. Otóż: miesiąc później, 4 sierpnia 1985, wysłannik specjalny (!) dziennika *Libération* informował o przebiegu następnej podróży Haltera do Włoch, mianowicie do położonego w okolicach Cremony średniowiecznego miasteczka Soncino. W XV wieku żydowscy drukarze przybyli z Niemiec byli tam pionierami wydawnictwa nie tylko włoskich, ale również — i głównie — hebrajskich. Halterowi wystarczy to, jak już wspominałem, do głoszenia, że jest ich potomkiem. W Cremonie udaje się do miejscowego biskupa i zaczyna rozmowę od autoprezentacji w stylu iście teatralnym: „Wracam oto do kraju, gdzie pięć wieków temu...”. Gospodarz, zakłopotany tą niefortunną wizytą, jest najpierw całkowicie alergiczny na ów patetyczny monolog. Wydawca, towarzyszący Halterowi, wyjaśnia jednak, że przybywa on tu „wprost z ramion papieża” itd. To zmienia trochę sytuację. Chociaż do końca alergiczny i wyraźnie pragnący pozbyć się osobliwego gościa, biskup przyrzeka napisać o jego książce do gazety diecezjalnej.

Halter udaje się również do burmistrza Cremony. Także tę wizytę zaczyna od przedstawienia swego fikcyjnego rodowodu: „Mój przodek przybył tu pięć wieków temu...”. Także burmistrz nie wydaje się przejęty tym retorycznym zagajeniem. Wiedząc, że burmistrz jest socjalistą, towarzyszący Halterowi wydawca przedstawia go jednak jako „osobistego przyjaciela Fabiusa i Mitterranda”. Wobec czego... (gdyby ów burmistrz należał do partii prawicowej, wydawca Haltera przedstawiłby go zapewne jako przyjaciela przywódców prawicy).

Pochodzeniowa maskarada dochodzi do szczytu w samym Soncino. Tu mała dygresja: w pierwszej lepszej encyklopedii czy leksykonie żydowskim (a istnieją w różnych językach) figu-

rują nazwiska drukarzy żydowskich z XV wieku, tych z Soncino; też jeśli chodzi o dokładne wykazy pierwszych hebrajskich druków (inkunabułów). Nie trzeba dodawać, że rzekomi protoplaści Haltera świecą tam nieobecnością. Lecz Soncino jest miasteczkiem, które się nudzi. Wystarczy, że Żydzi, pionierscy drukarze, rzeczywiście w XV wieku tam przebywali i że jest okazja — na chwałę grodu — ich przypomnieć. Był więc występ miejscowej orkiestry, było sympozjum i było nadanie Halterowi honorowego obywatelstwa. Prasa pisała o „powrocie Żyda do kraju przodków”. Łatwo sobie wyobrazić wrzawę, jaką wydawca zorganizował w mediach włoskich.

Wyślanik specjalny paryskiej gazety, chociaż przychylnie usposobiony do mistyfikacji Haltera, nie daje się sam nabrać i wtrąca: „Wnet Marek Halter zapomni, że nic nie jest mniej pewne, niż pochodzenie jego rodziny z Soncino”. Co nie przeszkadza, że w dynastycznej „dokumentacji” wodewil ten posłuży Halterowi jako argument „nieodparty”.

W niniejszej notatce nie ma ani jednego słowa przesady. Przeciwnie: to tylko ściśle i możliwie oszczędne zestawienie elementów wcale nie wyjątkowej kombinacji. Jednej z mnóstwa, w jakie działalność oficjalnego autora „Księgi Abrahama” obfituje. Chronicznie.

Michał BORWICZ

«Przerwa w spożyciu»

W grudniu 1985 roku ukazała się w Londynie kolejna książka Kazimierza Orłosa, kontynuująca jego gogolowską serię obrazów z życia PRL-owskiej prowincji*. Czytelnikom *Kultury* autora tego przedstawiać nie trzeba, gdyż dwie jego powieści („Cudowna melina”, 1973 i „Trzecie kłamstwo”, 1980) ukazały się nakładem Instytutu Literackiego, przypomnijmy jednak kilka danych: Orłoś (ur. 1935) jest z wykształcenia prawnikiem i pracował kilka lat w budownictwie przemysłowym w różnych częściach Polski, zanim poświęcił się karierze literackiej (redakcja słuchowisk w radiu i 3 tomy opowiadań wydanych „oficjalnie” w latach sześćdziesiątych); po ukazaniu się w Paryżu „Cudownej meliny” stracił posadę, przez wiele lat podlegał zakazowi druku i stopniowo przekształcił się w pisarza „nieoficjalnego”, m.in. redagując *Zapis*. Jego nazwisko — tak jak kiedyś nazwiska Hłaski czy Tyrmanda — kojarzy się już odruchowo z charakterystyczną tematyką i stylem. „Przechowalnia” pozwala ustalić typowe elementy pisarstwa Orłosa ze szkolną poglądowością i przypuszczalnie stanowić bę-

dzie dla przyszłego historyka literatury użyteczny *point de référence*, toteż warto przyjrzeć się tej krótkiej powieści nieco bliżej.

Rzecz dzieje się w nienazwanym mieście średniej wielkości, w czasie bliżej nieokreślonym ale nieodległym (z tym, że o „Solidarności” nic w powieści nie słyhać) i w sferze wytworzonej przez komunizm „miazgi”, a ściślej zawiesiny socjalnej, której górną warstwę tworzą partyjno-administracyjni promineneci, a dolną tzw. „element”, czyli pół-przestępczy i pół-ndzarski margines zglajchszaltowanego społeczeństwa. Ciecżą, stanowiącą o jednolitości całości jest w sensie przenośnym rodzaj sowieckiej tożsamości apetytów na dobra materialne i „bycie ważnym” (oczywiście apetytów małych na dole i dużych na górze), a w sensie dosłownym — wódka. „Przechowalnia” jest groteskową opowieścią o tym, jak owa jednolitość ulega na chwilę zachwianiu i jak wraca szybko do normy.

Tytuł powieści odnosi się do centralnego punktu, w którym krzyżują się różne podwątki: jest nim miejscowa Izba Wytrzeźwień, zwana przez jej bywalców i opiekunów „przechowalnią”. Jest to typowa instytucja ze świata interesującego Orłosa: prowadzą ją „pielęgniarki”-gangsterzy bijący i okradający dowożonych pijaków i absolutnie bezkarni, ponieważ odprowadzają część zysków „gdzie trzeba”, tzn. do kieszeni miejscowych notabli. W pewnej chwili jednak regularni klienci tej instytucji mają dość i postanawiają zastrajkować: „element” organizuje bojkot knajp i sklepów z alkoholem (też oczywiście podłączonych finansowo do lokalnej mafii partyjnej), co wprawia władzę w popłoch. Sprawa w ich oczach jest równoznaczna z buntem *tout court*, wprowadzone zostają siły policyjno-partyjno-propagandowe i po pewnym czasie powraca „ład i porządek”. (*Nota bene* ta tautologiczna zbitka jest ciekawa: próba przyswojenia nowomowie amerykańskiego określenia „*law and order*”, ale z pominięciem słowa „prawo”!). Nad całością ponownie rozpościera się chmura codzienności o kolorze dymu z wysypisk śmieci, błota oraz wyrzyganej zawartości dwóch butelek wina „Wino” pod porcję fasolki po bretońsku na zimno.

O jednolitości i sile wrażenia jakie wywiera proza Orłosa stanowi nie tyle fabuła, co styl i sposób narracji. Autor opowiada beznamytnym tonem sprawozdawcy wtopionego w środowisko tak ściśle, jakby żadne inne środowisko i żaden inny język nie istniały i istnieć w ogóle nie mogły, bo żadnej innej rzeczywistości już nie ma. Autor posługuje się nie tyle nowomową w sensie politycznym, co PRL-owskim żargonem codziennym, emanującym z prasy, radia, telewizji i przemówień nawet gdy nie chodzi o propagandę i partię. Przykłady: użyte w tytule tej recenzji wyrażenie „przerwa w spożyciu” (zamiast: „przestali pić!”); „podjęto niewybredną kampanię oszczerstw” (to już nowomowa, pardon!); „nielegalny handel wyrobami Monopolu Spi-rytusowego”; „godzina czternasta trzydzieści”; „W. Szymanek, J. Kamieniak, M. Seta” — w razie wymienienia pełnego imienia odwrotny szyk, jak na liście obecności: „Szymanek Wanda”, itp.; nadmiar tytułów urzędowych, ale bez „panie” — „Dokto-

* *Przechowalnia*. Powieść. Puls Publications, Londyn 1985, 108 str.

rze!" „Pułkowniku!" etc. (usus przejęty ze złych tłumaczeń z angielskiego i francuskiego: *Docteur!* odpowiada w istocie intensywności polskiemu „panie doktorze!"); „obywatelka kierownik", „deficytowa używka". I tak dalej i tak dalej. Użycie tego słownictwa w celach opisowych uświadamia rozmiar nie tyle „zepsucia języka", co zmian jakościowych samego społeczeństwa podtrzymującego ten język: tandeta staje się normą. Orłós oczywiście używa tego stylu celowo, ale czyniąc to — i wykazując, że nie brzmi on już jak karykaturalne przedrzeźnianie — pogłębia wrażenie nieodwracalności i organiczności procesu, który opisuje. Procesem tym jest ogólny regres cywilizacji, wobec którego inne formy zła interesujące autora: bezprawie, mafijność, pijaństwo, robią wrażenie nieuchronnych symptomów, z którymi nie ma już jak i po co walczyć. Przy lekturze „Przechowalni" robi się człowiekowi zimno, co z literackiego punktu widzenia jest oczywiście nie winą, lecz zasługą autora.

Maciej BRONSKI

P.S. Tuż po skończeniu lektury „Przechowalni" Orłósia natknąłem się na następującą wzmiankę w nieocenionym „Obrazie tygodnia" w *Tygodniku Powszechnym* (T.P. Nr 34/1939 z dn. 24. 8. 1986): « W „Przeglądzie Katolickim" czytamy: 4 sierpnia br. bractwo „Otrzeźwienie" działające przy kościele św. Stanisława Kostki zorganizowało pikietę trzeźwościową w trzech punktach Warszawy. Pikietowano sklepy monopolowe... Pikietujący trzymali transparenty: „Sierpień miesiącem trzeźwości", „Nie pij — w Gdańsku nie pili", „Proszę Was — nie pijcie — dla Boga, Ojczyzny", „Nie pij — przepijesz Ojczyznę", „Tato — nie pij". Po kilku godzinach uczestnicy dwóch pikiet zostali zatrzymani przez funkcjonariuszy MO... Wszyscy zatrzymani zostali zwolnieni po 24 godzinach. Będą odpowiadać przed Kolegium do spraw wykroczeń z art. 63a par. 1 Kodeksu Wykroczeń (pod zarzutem wystawienia na widok publiczny transparentu bez zezwolenia) ».

Oscar Wilde twierdził, iż życie naśladuje sztukę. Długo uważano to za pusty paradoks bez pokrycia. — M.B.

Powieść polityczna lat 1980-tych

Określenie „sowiecka powieść polityczna" wydaje się tautologią: „sowiecka" z definicji znaczy „polityczna". Przy zakładaniu w 1934 roku Związku Pisarzy Sowieckich podkreślono, że słowo „sowieckich" ma znaczenie nie geograficzne, a ideologiczne. Wydane po 1917 roku słowniki języka rosyjskiego definiują „apolityczność" jako „obojętność na zagadnienia polityczne, uchylanie się od udziału w życiu społecznym". Słownik S. I. Ożegowa ilustruje tę definicję zdaniem: „Apolityczność jest obca człowiekowi sowieckiemu".

W 1982 roku w literaturze sowieckiej — z definicji politycznej — pojawił się oficjalnie nowy gatunek, powieść polityczna. *Prawda* z 7 maja 1982 w recenzji z powieści A. Prochanowa „Drzewo w centrum Kabulu" dwukrotnie użyła nowego terminu: „powieść w ścisłym sensie tego słowa polityczna" i „Prochanow napisał ostrą i prawdziwą powieść polityczną". W czerwcu 1983 roku plenum KC KPZS, poświęcone ideologii, zażądało „szerokiego rozwoju ofensywnej *kontrpropagandy* (podkreślenie w tekście, *Prawda* z 15 czerwca 1983) nie tylko na arenie międzynarodowej, ale także w kraju". Wśród instrumentów *kontrpropagandy* wewnętrznej wymieniono powieść polityczną. Dwa lata później pojawiły się pierwsze owoce. *Literaturnaja gazeta* z 10 lipca 1985 stwierdza: „Gatunek powieści politycznej nabiera rumieńców". W grudniu 1985 na Zjeździe Pisarzy RSFSR C. Michałkow usiłuje po raz pierwszy zdefiniować nowy gatunek: „Współczesna 'powieść polityczna' podejmuje otwarty spór z propagandą antysocjalistyczną i stara się dać ideologiczną ocenę minionych i aktualnych zjawisk społeczno-historycznych".

Definicja Michałkowa jest na tyle pojemna i nieprecyzyjna, że obejmuje wszystkie płody wszystkich pisarzy sowieckich. Któż z nich nie „podejmuje otwartego sporu" i nie stara się dać „ideologicznej oceny"? Stoimy przed zagadkowym zjawiskiem: gatunkiem literackim o świadomie nieprecyzyjnych parametrach.

Unikając zdefiniowania „powieści politycznej", sowieccy krytycy często i chętnie podają jej przykłady. Przede wszystkim rzuca się w oczy szczególnie niski poziom literacki wymienianych książek i autorów. Barbary Cartland, którą czytają miliony, nie stawia się w dziejach literatury amerykańskiej na równi z Hemingwayem czy Bellowem. Sawwę Dangułowa, Dmitrija Kraminowa czy Aleksandra Czakowskiego, popularnych autorów powieści politycznych, stawia się w ZSSR w jednym szeregu z Michaiłem Bułhakowem i Jurijem Dąbrowskim. Wypada jednak zapytać, dlaczego popularni pisarze sowieccy, piszący bynajmniej nie lepiej niż Dangułow, Kraminow i Czakowski, nie zaliczają się do autorów „powieści politycznych"?

Analiza produkcji literackiej, uznanej przez krytyków sowieckich za „powieść polityczną", pozwala zrozumieć jej specyfikę i zdefiniować ją. Główną cechą sowieckiej powieści politycznej jest miejsce akcji, która toczy się zawsze poza granicami Związku Sowieckiego. Powieść polityczna jest zawsze powieścią egzotyczną, niejako etnograficzną. Akcja może przenosić się do ojczyzny, główny, pozytywny bohater musi bezustannie o niej myśleć, ale obecność zagranicy — obcego świata — jest obowiązkowa. Chwył fabularny — przeniesienie akcji za granicę — wyznacza specyficzne wątki: w powieści politycznej ideologia sowiecka (którą ucieleśnia główny bohater) walczy z wrogiem na wroгим terytorium. Miejsce akcji zwiększa polityczną wymowę tekstu.

Sowiecka literatura różni się od wszystkich pozostałych tym, że jej autorzy zawsze mają współautora we władzy. Współautorstwo może przyjmować różne formy — od autocenzury do „artystycznego" podania kolejnych uchwał KC. Współautorstwo może

też mieć różne natężenie, ale współautor — władza — jest obecny w każdym opublikowanym utworze sowieckiego pisarza. Zawsze.

W powieści politycznej autor i współautor są ze sobą zrośnięci. Powody tego są oczywiste. Wyjazd za granicę jest w Związku Sowieckim przywilejem. Autor powieści politycznej musi nań zasłużyć. Musi także mieć specjalne pozwolenie na wykorzystywanie „tajnych” materiałów: prasy lub książek zagranicznych (zazwyczaj w przekładzie na rosyjski, ogłaszanych w specjalnych biuletynach). W ostatnich latach, kiedy Moskwa stała się miejscem międzynarodowych imprez (Olimpiada, Festiwal Młodzieży) wprowadzono specjalny system zezwoleń na kontakty z zagranicznymi gośćmi, tzw. wizy kontaktowe. Przy wyjazdach zagranicznych autorzy powieści politycznych muszą mieć wizy „superkontaktowe”, czyli muszą się cieszyć szczególnym zaufaniem władz. I wreszcie powieść polityczna, dotycząca z definicji polityki zagranicznej przechodzi, poza wszystkimi „zwykłymi” szczeblami cenzury, drobiazgową kontrolę w KGB, ministerstwie obrony i ministerstwie spraw zagranicznych.

Wszystkie te szczególne cechy powieści politycznej powodują, że jest ona bardzo pociągającą lekturą dla sowieckiego czytelnika i cennym źródłem wiedzy o systemie sowieckim. Czytelnik przenika w rejony, które są dla sowieckiego obywatela zazwyczaj niezmiernie trudno dostępne, badacz zaś poznaje plany i fantasmagorie polityki zagranicznej, przeznaczone do szerokiego rozpowszechnienia. Wartość powieści politycznej jako źródła powiększa dodatkowo fakt, że jest ona pozbawiona wszelkich wartości literackich. Wynika to zapewne z faktu, że szczególne wymogi gatunku pozwalają przeprowadzić „selekcję estetyczną” i odrzucić wszelkich autorów choć trochę utalentowanych, mogących zatem próbować przeciwstawić się współautorowi. Paraliteracki charakter powieści politycznej przekształca ją w jawną tubę oficjalnych poglądów, obowiązujących w chwili wyjścia na świat powieści. Brak talentów literackich pozwala autorom przekazywać kolejne dyrektywy w nieskażonej formie.

W powodzie powieści politycznych, jaka zalała czytelnika w ostatnich latach, można wyodrębnić trzy najbardziej charakterystyczne typy, skupiające główne elementy gatunku: tematy, formy, język i postacie. Za każdym z nich płyną jak za panią matką dziesiątki podobnych książek na podobne tematy i z podobnymi postaciami. Dla różnych, na ogół poza-literackich przyczyn, za najwybitniejszych autorów współczesnej sowieckiej powieści politycznej uznano Aleksandra Czakovskiego, Juliana Siemionowa i Aleksandra Prochanowa. Z punktu widzenia literackiego różnice między nimi są minimalne. Różnią się między sobą czym innym: każdy z nich wyspecjalizował się w jednym z trzech poziomów sowieckiej polityki zagranicznej. Aleksander Czakovski opisuje wydarzenia świata „dyplomatycznego”, toczące się przy stole rozmów na najwyższym szczeblu; Julian Siemionow wyspecjalizował się w drugim, „szpiegowskim”, czyli czekistowsko-kagebowskiem szczeblu, a Aleksander Prochanow pisze o sowieckiej polityce zagranicznej z punktu widzenia wojskowego: u niego się strzela. Można zatem określić współautorów wyżej wymienionych pisa-

rzy: Czakovski związany jest przede wszystkim z wydziałem stosunków międzynarodowych KC, Siemionow z KGB, a Prochanow z ministerstwem obrony.

Aleksander Czakovski (ur. 1913) zajmuje wśród autorów powieści politycznych najwyższe stanowisko jako sekretarz Związku Pisarzy Sowieckich, redaktor naczelny *Literaturnoj gazety* i przede wszystkim członek KC KPZS; ta ostatnia funkcja nadaje jego tekstom cechę nieomyślności. Płodny autor niezliczonych powieści na rozmaite tematy, Czakovski zdobył w latach 70-tych sławę pięciotomową powieścią „Blokada”, o blokadzie Leningradu i mądrych przywódcach Józefie Stalinie i Andrieju Zdanowie. „Zwycięstwo” — pierwsza „polityczna powieść” Czakovskiego — ukazało się w dwu tomach na początku lat 80-tych. Powieść dotyczyła dwóch konferencji: poczdamskiej w 1945 roku i helsińskiej w 1975. W roli dwóch głównych bohaterów pozytywnych wystąpili Stalin i Breżniew. Zasadnicza myśl: Stalin rozgromił Niemcy hitlerowskie i na konferencji poczdamskiej — wbrew Trumanowi i Churchillowi (dwom negatywnym postaciom) — położył fundamenty pod zwycięstwo. W Helsinkach Breżniew ostatecznie je utrwalił: wywalczył podpisanie deklaracji, która uznawała sowieckie granice w Europie — wynik zwycięstwa w wojnie — za wieczne i nienaruszalne.

Główna idea „Zwycięstwa” pozostała obowiązująca dla wszystkich powieści politycznych lat 80-tych: konflikt z Hitlerem był epizodem, jedną z bitew w wojnie, jaką pierwsze w świecie państwo socjalistyczne od 25 października 1917 roku prowadzi z imperializmem. W pewnych okolicznościach imperialiści muszą się godzić na „pokojuowe zawieszenie broni” i przerywać wrocie działania przeciw ZSSR. Stalin a po nim Breżniew umiejętnie wykorzystali zawieszenie broni dla osiągnięcia kolejnych sukcesów na drodze ku ostatecznemu Zwycięstwu.

Schemat powieści Czakovskiego wyraża się w elementarnej formule $A+B=C$. A — Stalin, B — Breżniew, C — zwycięstwo. Tę samą formułę autor „Zwycięstwa” zastosował i w następnej powieści, „Niedokończony portret” (1984). Tematem jej są ostatnie dni Roosevelta, który przed śmiercią rozmyśla wyłącznie o Stalinie i żałuje tylko jednego — że nie udało mu się ostatecznie utrwalić sojuszu z generalnym sekretarzem. Stalin występuje w tej powieści jako A, Roosevelt jako B, a sojusz ich daje C — zwycięstwo. Przedwczesna śmierć prezydenta powoduje, że zwycięstwo jest zagrożone, ale Stalin — A — umiejętnie neutralizuje wrogów (patrz poprzednia powieść).

Julian Siemionow (ur. 1931) jest najpopularniejszym chyba współczesnym pisarzem sowieckim i najbardziej znanym przedstawicielem ulubionego sowieckiego gatunku literackiego — powieści szpiegowskiej. W 1920 roku Jewgienij Zamiatin w powieści „My” odkrył, że w Jedynym Państwie słowo „szpieg” ma dwa znaczenia: „nasi” szpiegdy to róże, „ich” szpiegdy to chwasty. W powieści L. Kołosowa „Żegnajcie, panie pułkowniku”, wydanej w Moskwie w 1986 roku, różnica między „naszymi” a „obcymi” wyraża się w użyciu słów „wywiadowcy” i „szpiegdy”: „Garibaldi-czyzy, przenikający do austriackiego wojska cesarskiego, byli wy-

wiadowcami..., a wysłannicy austriackiego cesarza — nikczemnymi szpiegami...". W sowieckiej powieści szpiegowskiej toczy się bezlitosna i nieustająca wojna między „wywiadowcami” i „szpiegami”. Kulminacyjny moment ma miejsce albo w domu, w Związku Sowieckim, albo za granicą, w siedzibie wroga. W tym drugim przypadku mamy do czynienia z czekistowską powieścią polityczną, której bezspornym mistrzem jest Julian Siemionow.

Pierwsza powieść Siemionowa, którą czytelnicy docenili, „Pietrowka 38” (moskiewskie Quai des Orfèvres) była zwykłym kryminałem, zwróciła jednak uwagę w gmachu, położonym niedaleko Pietrowki 38 — na Łubiance 2 (obecnie plac Dzierżyńskiego). KGB wybrało sobie Siemionowa na swojego „historiografa”.

W 1964 roku Siemionow opublikował swą pierwszą powieść „czekistowską” — „Brylanty dla republiki”. Opisał w niej, jak w 1921 roku „wywiadowcy” sprzedawali na Zachodzie klejnoty z „diamentowego funduszu republiki”, czyli brylanty skonfiskowane *bywszym* w czasie rewolucji. W powieści tej występuje młody czekista Maksym Maksymowicz Isajew. Następnie młody historiograf KGB napisał jedną po drugiej siedem powieści z tym samym bohaterem. Maksym Maksymowicz Isajew pracuje od 1928 roku dla wywiadu sowieckiego w Niemczech pod nazwiskiem Stirlitz. „Wśliznąwszy się” z polecenia OGPU „w szeregi narodowych socjalistów Hitlera”, Stirlitz-Isajew jest na początku wojny oficerem SS i współpracownikiem wywiadu niemieckiego.

We wszystkich powieściach poświęconych przygodom Stirlitza w latach drugiej wojny światowej sowiecki wywiadowiec, walczący potajemnie z bezpośrednim wrogiem — hitlerowcami, doskonale rozumie, że głównym wrogiem jest oczekujący swojej godziny wywiad amerykański, straszna broń imperializmu. W najstynniejszym z utworów Siemionowa, powieści „Siedemnaście chwil wiosny” (1969), Stirlitz doprowadza do zerwania odrębnego pokoju między Amerykanami a Niemcami i zażarcie walczy z perfidnym wrogiem J. Foster Dullesem. Na ostatnich stronach ostatniej (chwilowo) powieści o sowieckim James Bondzie („Rozkaz żyć”, 1982) czytelnik dowiadyuje się, że Standartenführer SS Stirlitz uratował się z gruzów Berlina w maju 1945 roku, został przetrzucony przez organizację „Odessa” do Madrytu i tam dał się zwerbować do wywiadu amerykańskiego. W postwoju autor rysuje perspektywę nowych wyczynów Isajewa-Stirlitza w szeregach CIA.

Główna przyczyna popularności „stirlicjady”, która po nakręceniu serialu telewizyjnego z „Siedemnastu chwil wiosny” pobiła wszelkie rekordy, polega na tym, że Julianowi Siemionowowi udało się coś, co się przez ostatnie ćwierć wieku nie udało ani jednemu pisarzowi sowieckiemu: stworzył mianowicie bohatera pozytywnego. Isajew-Stirlitz zajął miejsce Czapaiewa i Nikołaja Ostrowskiego. Po rewolucjonistach, budowniczych i zdobywcach Arktyki kolejnym sowieckim bohaterem pozytywnym został wywiadowiec, człowiek w masce. Nie przypadkiem sowieccy widzowie pokochali sowieckiego wywiadowcę Maksyma Isajewa, w chwili gdy go ujrzeli w mundurze Standartenführera SS.

W ostatnich latach Siemionow pisze powieści z nowym bohaterem, dziennikarzem od spraw międzynarodowych Stiepanowem, aktywnie współpracującym z wywiadem sowieckim w różnych rejonach świata. Serial telewizyjny nakręcony według powieści „TASS został upoważniony do poinformowania” pokazano narodowi sowieckiemu w 1984 roku zamiast zbojkotowanej przez Zachód Olimpiady. Na utwory Siemionowa, w tej liczbie naturalnie i na ostatnią jego powieść „Ośrodek prasowy”, opisującą niesłychane przestępstwa CIA, zwrócił uwagę generalny sekretarz. 22 listopada 1985 na konferencji prasowej w Genewie Michał Gorbaczow uroczyście oznajmił: „Szanuję pisarza Siemionowa”. Trudno o wyższą ocenę.

Bohaterowie powieści politycznych Aleksandra Prochanowa strzelają. Wrogowie strzelają, atakując pokój i postęp, a przyjaciele strzelają w obronie jutra ludzkości. Bohater powieści, dziennikarz od spraw międzynarodowych (mógłby też być fotoreporterem albo reżyserem filmowym) ochoczo bierze do ręki automat, na ogół produkcji sowieckiej. Pierwsza z politycznych powieści Prochanowa — „Drzewo w centrum Kabulu” — była zarazem pierwszą sowiecką książką o interwencji w Afganistanie. *Literaturnaja gazeta* z 31 marca 1982 tak ją streściła: „Autor powieści demaskuje spisek międzynarodowego imperializmu na czele z USA i hegemonistami chińskimi przeciwko młodej republice, opisuje metody walki sił kontrrewolucyjnych przeciwko władzy ludowej...”. W obliczu wroga stoją „mężni, silni duchem ludzie” sowieccy, spełniający swój internacjonalistyczny obowiązek.

Wszystkie następne powieści polityczne Prochanowa powtarzają dosłownie wszystkie schematy z „Drzewa w centrum Kabulu”. Autor buduje swe książki z gotowych bloków: wyzwolony naród, spiskowcy, zabójcy zza kordonu, wrogowie wolności, sowieccy ludzie spieszący z pomocą. Bohater (sowiecki człowiek) „z dala od domu znajduje i miłość, namiętną, czystą i gorącą jak woda źródłana”. Sytuację, postacie i wypowiedzi polityczne powtarzają się z książki na książkę z oszałamiającą niezmiennością. Zmieniają się tylko dekoracje: afgańskie góry („Drzewo w centrum Kabulu”), kambodżańska dżungla („Myśliwy z wyspy”), sawanna Mozambiku („Afrykanista”), rzeki Nikaragui („Aż powieje wiatr...”).

Występujące w różnych dekoracjach te same postacie i sytuacje wyrażają główną myśl politycznych powieści Prochanowa: tło, pejzaż, geografia nie mają znaczenia, ponieważ autor opisuje planetę w ogniu ostatniej, decydującej bitwy. Toczy się wojna, natrętnie powtarza Prochanow. Rewolucja, która zwyciężyła w 1917 roku w Rosji musi zwyciężyć na całym świecie. Sandynista Sesar („Aż powieje wiatr...”, 1984) tłumaczy: „Był czas, kiedy rewolucja żyła w Europie. Rewolucja zwyciężyła w Rosji, w Czechosłowacji, w Bułgarii. Potem przeniosła się do Azji... Potem poszła hulać po Afryce... A teraz przyszła do nas, do Ameryki Łacińskiej. Kuba, Nikaragua, Salwador! Tu ważą się losy rewolucji światowej!”. Szeregowy sandynista, który wyznał sowieckiemu towarzyszkowi, że był kiedyś katolikiem, oświadcza: „Te-

raz wiem: Bóg — to rewolucja". Diabeł — to *gringo*. „Oni atakują nas zewsząd — mówi przywódca sandynistów — tak jak atakują Afrykańczyków w Angoli, jak atakują Afganów i Kambożan. Jak szykują się do zaatakowania Związku Sowieckiego. *Gringo* pozostanie *gringo*. Wszędzie taki sam. Wszędzie wróg”.

Istnieje tylko jedna siła w świecie, zdolna wybawić ludzkość od „gringo” i zapewnić zwycięstwo rewolucji światowej — naród sowiecki. Tak jak niegdyś Kipling opiewał „misję białego człowieka”, tak Prochanow opiewa misję człowieka sowieckiego.

Misja człowieka sowieckiego to niełatwe brzemię. Trzeba pomagać narodom planety, walczącym o wyzwolenie, trzeba też tłumaczyć trudności, z jakimi boryka się naród sowiecki. Nie wszyscy to rozumieją. Sowieccy ludzie — przypomina Prochanow — przez długie lata żyli spokojnie, przywykli do pokoju, zapomnieli o niebezpieczeństwie. Nie zauważyli, że zawieszenie broni się skończyło. Fotoreporter Andriej Gorłow uświadamia sobie po przyjeździe do Nikaragui: „...Skończył się szczęśliwy wiek. Pora płacić za uciechy. Nadchodzą groźne lata”. Prochanow podkreśla: tylko ci sowieccy ludzie, którzy byli (jak on i jego bohaterowie) na linii frontu, przecinającej świat, zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Ci, którzy dotknęli ognia rewolucji, przysypanego popiołem w ZSSR, ale płonącego w „gorących punktach planety”, są naprawdę świadomi historycznej misji Ojczyzny.

Jawnie publicystyczne, histerycznie agresywne książki Prochanowa ilustrują główną cechę sowieckiej powieści politycznej lat 1980-tych. Jest to literatura poprzedzająca wojnę, przygotowująca do wojny i zapowiadająca jej nieuchronne nadejście. Głosi ona: toczy się światowa rewolucja, nic i nikt jej nie zatrzyma.

Michał HELLER

Nadesłane nowości wydawnicze

- LISZEWSKI (Karol). *Wojna polsko-sowiecka 1939*. Str. 312 i 4 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1986).
- Nowotko-Motojoc. *Z początków PPR. Nieznane relacje Władysława Gomułki i Franciszka Jóźwiaka*. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. Puls Politicus, Londyn 1986).
- MAJ (Bronisław). *Zagłada świętego miasta*. Wiersze. Str. 78 i 4 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1986).
- POLKOWSKI (Jan). *Wiersze 1917-1984*. Str. 101 i 3 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1986).
- Z.Z.Z. *Syndykat zbrodni. Kartki z dziejów UB i SB w czterdziestolecu PRL*. Str. 67 i 13 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1986).
- KOCIEJOWSKI (Witold). *Poszarpane życie. Na morzu i lądzie*. Str. 136. (Wyd. nie podane, USA, 1986).
- KORBOŃSKI (Stefan). *Polonia restituta. Wspomnienia z dwudziestolecia niepodległości 1918-1939*. Str. 338 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo „Promyk”, Philadelphia 1968).

- WASIUTYŃSKI (Wojciech). *O program większości*. Str. 71 i 9 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1986).
- TWORKOWSKI (Stanisław). *Krzyż Dowbora. Wybór opowiadań o zmaganiach Polaków w I i II wojnie światowej*. Str. 334 i 4 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986).
- WŁODARCZYK (Wojciech). *Socrealizm. Sztuka polska w latach 1950-1954*. Str. 135 + 13. Fotografie. (Wyd. Libella, Paryż 1986).
- GÖMÖRI (György, opr.). *Polscy poeci o węgierskim październiku. Antologia*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1986).
- WĘGRZECKI (Kazimierz). *Lotnicy polscy w Nottingham 1948-1985. Z okazji 25-lecia działalności Domu i Klubu*. Str. 233 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986).
- CZARNOCKI (Stefan). *Artykuły i przemówienia 1932-1939*. Str. 270 + 36 + 10 nlb. (Wyd. nie podane, Londyn 1986).
- GNIATCZYŃSKI (Wojciech). *Wiersze dla Magdaleny*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986).
- MORRO (Andrea). *Zamach*. Sztuka. Str. 102. (Wyd. nie podane, 1985).
- PIWOWARCZYK (Jan, ks.). *Wobec nowego czasu. (Z publicystyki 1945-1950)*. Str. 440 i 6 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 650).
- GÓRSKI (Karol). *Zarys dziejów duchowości w Polsce*. Str. 397 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 650).
- KUŚNIEWICZ (Andrzej). *Mieszalniny obyczajowe*. Str. 247 i 1 nlb. (Wyd. PIW, Warszawa 1985, cena zł 150).
- GRENDÉL (Lajos). *Tir à balles. Antroman d'une minorité nationale*. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Editions L'Harmattan w serii „Domaines danubiens”, Paryż 1986).
- PARIZEAU (Alice). *L'amour de Jeanne*. Str. 251 i 5 nlb. (Wyd. Pierre Tisseyre, Montreal 1986).
- KHVILOVY (Mykola). *The Cultural Renaissance in Ukraine. Polemical Pamphlets 1925-1926*. Przełożył i opracował Myrosław Shkandrij. Str. 266. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1986).
- COUTOUVIDIS (John), REYNOLDS (Jaime). *Poland 1939-1947*. Str. 393 i 1 nlb. (Wyd. Leicester University Press, Wielka Brytania 1986, cena £ 12.95).
- LAUB (Gabriel). *Urmenschskinder. Respektlose Geschichten mit Zeichnungen von Marian KAMENSKY*. Str. 158 i 4 nlb. (Wyd. Albrecht Knaus, München i Hamburg, 1986).
- WILKIEWICZ (Zbigniew R.). *Personendarstellung und Menschenbild im „Kosmos“ von Witold Gombrowicz*. Str. 240. (Wyd. Liber Verlag, Mainz 1986).
- MESTAN (Antonin, zebrał). *Československo-polske styky včera, dnes a zítra*. Str. 192. (Wyd. Opus bonum, Monachium 1986).
- VODIČKA (Vavřinec). *Chesterton čili filozofie zdraveho rozumu*. Str. 131 i 9 nlb. (Wyd. Wyd. Rozmluvy, Surrey, Wielka Brytania 1986).
- Hotel Örnsköld nr 3. *Polsk dikt och debatt*. Str. 112. (Wyd. Ordfront/Polsk - Svensk Kulturcentrum, Stockholm 1986).
- BLUMSZTAJN (Seweryn). *Fra röda scouterna till Solidarität*. Przeł. na szwedzki Anders Bodegard. Str. 160. (Wyd. Ordfronts förlag, Stockholm 1986).
- Hotel Örnsköld 3. *Polsk dikt och debatt*. Str. 112. (Wyd. Ordfront/Polsk-Svensk Kulturcentrum, Szwecja).
- UGGLA (Andrzej Nils). *Polen i svensk press under andra världskriget. En bibliografi*. Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Uppsala Slavic Papers, Uppsala University, Department of Slavic Languages, Uppsala 1986).
- Historiska och litteraturhistoriska studier* nr 61. Opr. Torsten Steinby. Str. 352. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsinki 1986).

- LUBOMIRSKYJ (Stepan). *Slidamy Zapowitu. Politycznyj roman-wizja. Tom 3. I wraźoju zloju krowiju — wolu okropite!* Str. 472 i 2 nlb. (Wyd. Ukrainian Publishers Ltd. i „Ukrainian Echo”, London-Toronto 1986).
- CHWYLOWYJ (Mykoła). *Twory w piatich tomach. Tom V.* Str. 834 i 8 nlb. (Wyd. Objednannja Ukrajinijskich Pyśmiennykiw „Słowo” i Ukrajinske Wydawnyetwo „Smołoskyp”, New York-Baltimore-Toronto, 1986).
- PODLASKI (Kazimierz). *Łytowci, Bitorusy, Ukrajinci. Naszi worohy — czy braty?* Przeł. z polskiego Wiktor Poliszczuk. Wstęp i redakcja Jarosław Pełeński. Str. 157 i 1 nlb. (Wyd. Widnowa, Monachium 1986).
- NIKORASOW (Wiktor). *Malienkaja pieczalnaja powiest.* Str. 88. (Wyd. Overseas Publications Interchange, London 1986).
- KONDYRLIOW (Wiktor). *Sapogi — lico oficera.* Str. 312. (Wyd. Overseas Publications Interchange, London 1985).
- HELLER (Leonid). *Wsielonnaja za przedielom dogmy. Razmyszlenija o sowietskoj fantastikie.* Str. 443 i 3 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, London 1985).
- AWTORCHANOW (A.). *Diela i dni Kremla ot Andropowa k Gorbaczowu.* Str. 347 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris 1986).
- GUMILEW (Nikołaj). *Nieizdannoje i niesobrannoje.* Str. 297 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris 1986).
- LAZITCH (Branko). *Istoriczeskij oczierk. „Nikita Chruszczew: Dokład na zakrytom zasiedanii XX Sjezda KPSS.* Str. 122. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1986).
- LUBIMOW (Jurij). *Sceniczeskij wariant. (Sceniczeskaja adaptacija „Mastiera i Margarity” M. A. Bułgakowa).* Str. 105 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1985).
- BRANDIS (Kazimjez). *Nestvarnost.* Przeł. Petar Vujčić. Str. 138 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Nowi Albatros, Belgrad 1986).
- SWIDERSKI (Bronisław). *Det jodiske selvstyre i Polen.* (Nadbitka z: „Der var engang — amol iz given”, En bog om jodisk kultur og historie i det gamle Osteuropa redigeret af Helen Krag og Margit Warburg. Wyd. Gyldendal, Kopenhaga 1986. Str. 153-168).
- Katarzis/Catharsis. *Almanach Fundacji Mihaly Karolyi w Vence.* Str. 107 i 1 nlb. (Wyd. Budapest 1985).
- MARTH HILDEGARD. *Dutka akos keziratos hagyateka Ms 4183- Ms 4200.* Str. 169 i nlb. facsimile. (Wyd. Magyar Tudományos Akademia, Budapest 1986).

Wolna trybuna

Co jest grane?

Czas już najwyższy na próbę określenia sytuacji, w jakiej znajduje się społeczeństwo polskie. Taką próbą ma być niniejszy artykuł, przy czym chciałabym w nim nawiązać do moich „przepowiedni” sprzed lat, zawartych w szkicu „Wydarzenia w Polsce w roku 198” (*Kultura* nr 12/1979), gdzie — przewidując wybuch społeczny i jego stłumienie przez wojskowy zamach — przewidywałam też rozszczępienie opozycji na „jawną” i „podziemną”. Wszystko to, niestety, sprawdziło się w nadmiarze, choć nie w szczegółach, i teraz stoimy — w pięć lat po ogłoszeniu stanu wojennego — wobec konieczności rozwiązania zupełnie nowych problemów.

Czas biegnie nieubłaganie. Widać to przede wszystkim w przemianach postaw młodzieży, której dotychczasowe formy funkcjonowania opozycji już nie wystarczają i która gwałtownie poszukuje nowych recept. Warto może zdać sobie sprawę z faktu, że w świadome życie społeczne wkraczają ludzie, dla których bibuła była „zawsze” i dla których „Solidarność” jest dalekim echem dzieciństwa (oczywiście „Solidarność” działająca jawnie). Dzieci urodzone w roku 1968 są już na studiach. Od nich zależeć będzie nasza przyszłość. I one właśnie — coraz częściej to widać — najsilniej odczuwają kryzys, jaki się wytworzył w działaniach opozycji. Kryzysu tego nie odczuwają tak silnie ludzie starsi, dla których to, co się dzisiaj w PRL-u dzieje stanowi, w porównaniu z sytuacją sprzed lat dziesięciu, niebywały skok naprzód. Dla młodzieży jest to tylko sytuacja wyjściowa, niezbyt zresztą wygodna.

W czasie jednego ze spotkań, na którym omawiano sytuację kraju, wybitny historyk, chcąc zapewne uspokoić wzburzone umysły młodzieży, usiłował przekonywać że Polska nie jest krajem

okupowanym. Spotkał się z tak silnym kontratakiem, że poczułam się zdziwiona — owszem, sama zawsze żyłam w poczuciu niepełnej suwerenności kraju, lecz przecież nigdy nie manifestowałam tego poczucia w sposób tak namiętny. Argumenty historyka brzmiały mniej więcej tak: owszem, Polska nie jest krajem w pełni suwerennym, ale przecież nie można jej nazywać krajem okupowanym; Polska posiada przede wszystkim podmiotowość w świetle prawa międzynarodowego. No i wtedy się zaczęło: prawo międzynarodowe, cały układ porządku międzynarodowego to Jałta — powiada młodzież — zaś Jałta (aż po Helsinki) to ład, na który Polska wpływu nie miała i nie ma; formalna suwerenność nie znaczy nic wobec stacjonujących w PRL wojsk sowieckich, zaś teoretyczna podmiotowość kraju jest w praktyce politycznej fikcją.

Nie chodzi mi o to, że młodzi nic nowego w istocie nie powiedzieli. Chodzi o to, że mówią otwarcie, wprost, bez owijania w bawełnę, nazywając rzeczy po imieniu. Sama w ich wieku — czyli dość już dawno temu — może i myślałam podobnie, lecz nie tak wyraziście i na pewno nie na głos. To ważna zmiana i jej niedostrzeżenie jest niebezpieczne. Zresztą — to też wydaje się ważne — zmienia się również, przynajmniej u części młodzieży, stosunek do rządu londyńskiego. Gdy ja wkraczałam w życie społeczne, instytucja ta była dla mnie i dla moich rówieśników rodzajem zabawnego zabytku politycznego, swoistym eksponatem muzealnym, może i zasługującym na szacunek, ale szacunku w gruncie rzeczy nie budzącym. Dziś młodzi widzą w rządzie londyńskim instytucję, która nie tylko zaświadcza swym istnieniem nielegalność władzy „bezbożnej komuny” w Polsce, lecz jest także legalną reprezentacją polskich aspiracji politycznych. Może nie jest to postawa większości, ale jednak jest to postawa widoczna.

No i wreszcie sprawa najważniejsza: stosunek do „Solidarności” i demokratycznej opozycji. I tu też trzeba pamiętać: dla nich oba te elementy polskiej rzeczywistości to zastany i stały element pejzażu politycznego kraju. Z tego też punktu widzenia należy rozpatrywać ich stosunek do „Solidarności”. W rozumieniu większości tych, z którymi się zetknęłam, sprawa istnienia „Solidarności” — jako ruchu społecznego, nie tylko związku zawodowego — nie może już być przedmiotem jakichkolwiek przetargów. To znaczy, że uznali oni tę organizację za niezbywalny dorobek polskiej historii powojennej, za centrum samoorganizacji społeczeństwa cywilnego. Przy czym warto podkreślić, że samo pojęcie społeczeństwa cywilnego odgrywa w ich myśleniu rolę niezwykle istotną — jest to pojęcie, które dla moich rówieśników jest nabytkiem stosunkowo późnym, gdy w obecnym systemie myślenia młodzieży należy do kategorii fundamentalnych.

Dlatego też młodzież odrzuca alternatywę polegającą na rezygnacji z „Solidarności” w zamian za jakiekolwiek doraźne korzyści. Ta organizacja jest dla nich fundamentem tożsamości społecznej i narodowych aspiracji niezależnie od różnic światopoglądowych dzielących Polaków. Zapewne: myślenie to ufundowane jest na micie owych 500 dni legalnego działania Związku, niemniej jest już ono — przynajmniej w kręgach opiniotwórczych młodej generacji — stałym elementem postrzegania rzeczywistości społecznej. Nie znaczy to, że młodzi nie krytykują metod działania Wałęsy czy TKK, że nie poddają krytycznej analizie wypowiedzi i działań czołowych doradców. Wręcz przeciwnie — wielu z nich jest przekonanych, że należy tu „coś zrobić” — coś, co pozwoli wydostać się społeczeństwu z sytuacji patowej w rozgrywce z władzą. Ale nie można tego „czegoś” robić przeciw, a nawet poza „Solidarnością”.

Inicjatywy młodzieży — takie jak ruch Wolność i Pokój (WiP), Ruch Społeczeństwa Alternatywnego (RSA) czy Federacja Młodzieży Walczącej (FMW) — z zasady w ten lub inny sposób deklarują poparcie dla „Solidarności”. Niezależnie zresztą od deklaracji jest to poparcie praktyczne — młodzi drukują pisma i ulotki związkowe, organizują sieć kolportażu, wykonują akcje ulotkowe, uczestniczą w różnych inicjatywach Związku.

I

W wielu analizach dokonywanych na Zachodzie, a odnoszących się do wydarzeń polskich, odnaleźć można określenie „społeczeństwo posttotalitarne”. Jeśli termin ten może być prawidłowo użyty w odniesieniu do Hiszpanii czy Portugalii, to nie ma on żadnego uzasadnienia w sytuacji polskiej. Również mówienie o załazkach „systemu postkomunistycznego” jest przedwczesne. Zastanawiające, swoją drogą, jak silna jest dążność zachodnich teoretyków do konstruowania takich ogólnych koncepcji w oparciu o dość problematyczną znajomość realiów — ale to problem osobny.

Jeśli wspominam o tym zjawisku, to dlatego, by podkreślić fakt niewątpliwy: obecna sytuacja Polski nie posiada żadnych historycznych precedensów. Chęć jej zrozumiałego „nazwania” wydaje się dążnością naturalną. Niewielu tylko — jak Adam Michnik — potrafi zauważyć, że nie dysponujemy odpowiednim językiem, który byłby przydatny w opisie polskich doświadczeń. Nigdy dotąd nie było w komunizmie sytuacji pozwalającej na tak długotrwałe — i w wielu jednak wymiarach skuteczne, choć owej skuteczności zwykliśmy nie dostrzegać — działanie opozycji po-

litycznej. Opozycja ta ma — po 10 latach otwartego w zasadzie działania (choć zawierającego elementy konspiracji) — dość szerokie poparcie społeczne. Po doświadczeniu legalnego działania „Solidarności” poparcie to — wyrażające się w aktywnym, konkretnym działaniu (lokale, pomoc w kolportażu, dostarczanie informacji) — wyrasta ze stanu „gotowości społecznej”. Ów stan gotowości wyraża się w oczekiwaniu milczącej większości na realne szanse aktywności społecznej bez narażania się na represje i szykany.

Sytuacja społeczna w Polsce zasadniczo różni się od tej, która panowała w roku 1979, gdy pisałam wspomniany artykuł na temat możliwych przemian. Po pięciu latach od wprowadzenia stanu wojennego władza ustępuje wobec nacisków społecznych: wskazuje na to zarówno ostatnia „amnestia” (cudzośćw dotyczy formuły prawnej, którą władze zastosowały — przy okazji: unikanie terminu „amnestia” jest równie charakterystyczne dla poczynañ władzy, jak zastępowanie terminu „więzień polityczny” formułą „więzień niekryminalny” czy słowa „strajk” omówieniem „przerwa w pracy”), jak sygnały o możliwości podjęcia na nowo negocjacji na temat fundacji rolniczej czy o dążeniu do powołania „rady konsultacyjnej”, obejmującej także przedstawicieli opozycji (jest to powrót do propozycji sprzed 13 grudnia, w tym samym w istocie kształcie, wówczas odrzuconym przez „Solidarność”).

Czy owe ustępstwa władzy mają charakter trwały? Można być pewnym, że nie — że chodzi tu przede wszystkim o „ruszenie z martwego punktu”. Można przypuszczać, że „odważny krok” Jaruzelskiego ma w dalszej — ale nie tak odległej — perspektywie doprowadzić do podziału wewnątrz opozycji, do wyrwania z jej szeregow jakichś „realistów” godzących się na ustępstwa w imię mniej lub bardziej iluzorycznego „udziału we władzy”. Wydaje się, że podobny manewr — po choćby doświadczeniach grupy poselskiej „Znak” — ma niewielkie szanse powodzenia. Można sobie jednak wyobrazić, że pojawią się grupy i jednostki, które zechcą skorzystać z szansy legalnego działania. Zawsze w rozmowach z podobnymi ludźmi zalecałam im uważne przestudiowanie okresu 1944-1948: wydaje się, że i tym razem komuniści chcą postępować podobnie. W końcu cała ich obecna frazeologia ma przekonać świat, że mamy do czynienia z Europejczykami. I właśnie z szansy legalności skorzystał ostatnio Europejczyk Marcin Król, uzgadniając z Europejczykiem Urbanem prawo oficjalnego wydawania pisma, które w jego założeniach ma stanowić kontynuację wydawanej uprzednio poza zasięgiem cenzury *Res Publica*. Bez wątplenia tego typu rozwiązania są w tej chwili władzy bardzo potrzebne — stanowią rodzaj alibi: najlepiej by było, gdyby w pierwszym numerze pisma Króla pojawił

się artykuł Adama Michnika — toż by dopiero była legitymacja liberalizmu.

Są to wszakże inicjatywy odosobnione, choć nie można wykluczyć, że zaczną się mnożyć. W moim przekonaniu stanowiskiem opozycji w chwili obecnej winien być przede wszystkim postulat renegocjacji umów społecznych. Do chwili podjęcia podobnych rozmów nie można poddawać w wątpliwość celowości istnienia i funkcjonowania konspiracyjnych oraz półlegalnych struktur „Solidarności”. Nie wolno zatem ani rozwiązywać TKK, ani zagranicznego przedstawicielstwa Związku. Więcej: nie można ich traktować nawet jako przedmiotu przetargu z władzami.

Renegocjacje umów społecznych muszą uwzględnić szereg nowych problemów, których nie wzięto pod uwagę w Sierpniu 1980 roku. Sprawa absolutnie podstawową musi stać się instytucjonalna gwarancja funkcjonowania w społeczeństwie organizacyjnych „struktur poziomych”. Skuteczność ich działania została wielokrotnie w ostatnich latach dowiedziona — czy to w pracy „Solidarności”, czy „Sieci wiodących zakładów pracy”, czy wreszcie samorządów, nie wspominając już o partyjnych „poziomkach” z okresu 1980-1981. Kolejny problem dotyczy zasad ordynacji wyborczej do Sejmu (tu unikałabym terminu, który musi natychmiast wywołać wściekłość komunistów — nie mówiłabym mianowicie o „wolnych wyborach”) — ciało to winno pełnić rzeczywistą funkcję przedstawicielską, musi stać się najwyższą władzą kraju. Sprawa równie istotna to negocjacje dotyczące całego pakietu problemów prawnych — od gwarancji niezależności sędziów poczynając, poprzez zapewnienie kontaktu podejrzanego z obrońcą od początku śledztwa, aż po zredagowanie regulaminu dla więźniów politycznych.

Drugi zespół zagadnień, które muszą zostać poddane negocjacji to stan gospodarki państwa (ze szczególnym uwzględnieniem produkcji na potrzeby wojska — tzw. produkcji „S”, wyodrębnionej z całości gospodarki) oraz stanu zagrożenia ekologicznego kraju. W obu dziedzinach sytuacja jest w najwyższym stopniu dramatyczna, zaś jej opanowanie wymaga bardzo ciężkich wyrzeczeń społecznych, olbrzymich kosztów. Dlatego właśnie opinia publiczna musi poznać prawdę — jedynie to może skłonić ludzi do zapłacenia tak wysokiej ceny za szansę (niestety — tylko szansę) uniknięcia tragedii. Stan wojenny dowiódł dojrzałości politycznej społeczeństwa — stał się przez to niezamierzonym testem jego odpowiedzialności za własny los. I właśnie wyniki tego testu dowodzą, że warunkiem niezbędnym wszelkich prób podniesienia kraju ze stanu klęski jest powiadomienie opinii publicznej o sytuacji.

Przypuszczam, że powyższe propozycje mogą zostać uznane przez „realistów” za ekstremizm, za stawianie władzy ultimatum, za uderzenie w podstawy ustroju. Jestem zdania, że komuniści — jeśli jest wśród nich choć jeden realista — dawno już przyleżeli do wiadomości fakt, że podstawy ustroju zostały w Polsce zachwiane w sposób — przy obecnie panujących warunkach — nieodwracalny.

Pozostaje tylko kwestia tego, jak rozegrać ewolucję tej sytuacji bez sprowokowania interwencji sowieckiej. Stan wojenny zawiodł, lecz — patrząc nań z dzisiejszej perspektywy — odegrał doniosłą rolę w stłumieniu radykalizmu społecznego.

II

Kolejna przesłanka, która pozwala myśleć o przystąpieniu do negocjacji to zmiany, które zaszły w kręgu władzy. Na ogół opozycja odżegnywała się od analizy układów w aparacie partyjnym i administracyjnym, sugerując, że ma do czynienia z niezróżnicowanym w istocie przeciwnikiem. Ta postawa — dotąd zrozumiała — musi być dzisiaj odrzucona. Ekipa, która dziś rządzi Polską, nie jest tą samą ekipą, która rządziła 13 grudnia 1981 roku. Niedostrzeżenie tego byłoby ślepotą polityczną. I choć bardzo, ale to bardzo daleka jestem od afirmacji rządów generała, to jednocześnie skłonna jestem dostrzegać znaczące zmiany w aparacie — bez nich nie byłaby możliwa amnestia, próby nawiązania kontaktu z opozycją (rozmowy Cioska z Wielowieyskim) itp. Oddzielić przy tym trzeba sprawę intencji władz od szans, które obecne posunięcia ekipy Jaruzelskiego stwarzają na przyszłość. W czystość intencji niepodobna wierzyć, należy nawet zakładać, że są one mętne. Ale też można nad nimi przejść do porządku. W istocie rozgrywka z władzą nie zależy od jej intencji, ale od postawy społeczeństwa, od odporności na próby dokonywania podziałów wewnątrz opozycji i „Solidarności”.

Należy powiedzieć jedno: sytuacja, która się wytworzyła obecnie w aparacie partyjnym jest daleko bardziej klarowna niż była przed wprowadzeniem stanu wojennego. Jaruzelskiemu udało się — jak można przypuszczać — oczyścić aparat ze swoich przeciwników — tak „z lewa”, jak „z prawa”. Mamy do czynienia z ekipą jednolitą, pewną siebie, posiadającą niekwestionowane poparcie Moskwy. Z taką władzą łatwiej rozmawiać niż z ekipą rozdieraną wewnętrznymi rozgrywkami, niestabilną, niepewną swej przyszłości.

Przed nadmiernym optymizmem w tej sprawie zdaje się przestrzegać list Gorbaczowa skierowany do łódzkich robotników. (Nawiasem mówiąc rozkwita ostatnimi laty w komunizmie jakaś

„demokracja korespondencyjna”, ale to temat na felieton). Nie należy jednak przeceniać jego znaczenia. Jest na tyle ogólnikowy, że nie wyklucza — przy zachowaniu „pryncypiów ustrojowych” (co to oznacza, nikt dziś na dobrą sprawę nie wie, poza może Moskwą, ale i to nie jest pewne) — jakiejś formuły renegotjacji umów społecznych.

Wszystkie strony uczestniczące obecnie w grze mają, jak się zdaje, pozostawioną — w jakichś bliżej nieokreślonych granicach — wolną rękę. Stanowi to niewątpliwie szansę, ale pod warunkiem, że opozycja oraz „Solidarność” podejmą trudne ryzyko. Ryzyko to polega na próbie wzmocnienia nacisku na władze, a tym samym stworzenia sytuacji usprawiedliwiającej podjęcie przez nie negocjacji. Zakładam, że opozycja rzeczywiście dysponuje społecznym poparciem, lecz problemem otwartym pozostaje wybór formy, w jakiej się ono ma wyrazić. Bez wątpienia nie każda forma zostanie przez społeczeństwo uznana za właściwą i bezpieczną. Z kolei bez widocznych oznak poparcia społecznego dla sił opozycyjnych do żadnych poważnych rozmów nie dojdzie — co najwyżej będą one przez władze pozorowane.

III

Okazję do zmanifestowania stanowiska społeczeństwa stworzy bez wątpienia zbliżająca się kolejna pielgrzymka papieża do Polski. Podobnie jak wrześnieiowa robotnicza pielgrzymka na Jasną Górę stała się demonstracją potwierdzającą żywotność „Solidarności”, tak wizyta w Polsce Jana Pawła II może wzmocnić ruch rewindykacyjny, którego centrum stanowi Związek. Nie chodzi mi, broń Boże, o mieszanie porządku religijnego z politycznym. Jednakże analogie z rokiem 1979 narzucają się same przez się i trudno ich w polskiej rzeczywistości unikać.

Do wizyty papieskiej „Solidarność” musi się starannie przygotować — tu nie może być mowy o żadnej improwizacji czy zdaniu się na żywioł. Współzależność losu społeczeństwa i Kościoła w Polsce nie ulega najmniejszej wątpliwości. Swoboda działań religijnych oraz organizacyjnych Kościoła musi być traktowana jako funkcja swobód społeczno-politycznych, a nie pozostawać efektem dwustronnych jedynie przetargów Kościoła z władzami. Czas najwyższy powiedzieć to dobitnie: Kościół polski swój byt i rozwój zawdzięcza społeczeństwu, a nie przywilejom państwowym, które, jak wiemy z historii, bywają uzależnione od koniunktury politycznej. Kościół to wierni. Niestety — zbyt często ostatnio pojawiają się sygnały świadczące o samoredukcji Kościoła do hierarchii. Objawia się to jakże często w lekceważeniu inicjatyw laikatu, w dążeniu do dominacji w kształ-

towaniu postaw społecznych, w tłumieniu pluralizmu, wreszcie w nerwowym reagowaniu na krytykę.

Przedmiotem krytyki staje się zwłaszcza coraz bardziej widoczne odejście od formuły „Kościoła ubogiego”. W całkiem ziemskie, i to luksusowe, dobra obrastają nie tylko poszczególni księża, lecz także Kościół jako instytucja. Nikt, oczywiście, nie ma za złe kapłanom tego, że posługują się samochodami, ale już parkowanie ich w luksusowych garażach, przepych na plebanii, wielkopańskie maniere — to już wzbudza niekiedy ostrą krytykę. To samo dotyczy budowy nowych świątyń — bez wątplenia zrozumiała jest troska o rozbudowę sieci kościołów, jednakże równie zrozumiałą jest krytycyzm części wiernych dotyczący przepychu nowych budowli, choćby wyposażania ich w drogie witraże. Oczywiście nie dotyczy to Kościoła jako całości, niemniej wypadków budzących krytycyzm wiernych jest dość, by o nich mówić jako o zjawisku znaczącym. Przy czym, chwalić Boga, również w środowiskach kapłańskich pojawiać się zaczęły głosy niepokoju.

Nie brak w Polsce księży, zwłaszcza młodych, związanych z orientacją posoborową, którzy swą misję religijną traktują jako posługę wobec społeczeństwa. Do reguły tu jednak daleko. Wiele jest wypadków, gdy księża, w imię świętego spokoju — a im bardziej uzależnieni są od dóbr doczesnych, tym bardziej im ten spokój niezbędny — nie reagują na inicjatywy społeczne, ograniczają się jedynie do „odbębniania” swych obowiązków. Owszem, powstaje ostatnio „przykościelne harcerstwo”, Kościół patronuje „Dniom Kultury Chrześcijańskiej” i akcjom odczytowym, lecz dzieje się to na ogół tylko w większych ośrodkach, w których laikat ma sporą „siłę przebicia”. Im dalej w prowincję, tym większe z tym kłopoty. Żywo reklamowana walka Kościoła o fundację rolniczą nie znajduje odpowiednika w stałej i żmudnej, nie pozbawionej też niebezpieczeństw „pracy u podstaw” w parafiach wiejskich. Duszpasterstwo rolników istnieje tylko na papierze.

Wiem, że są to słowa dość ostre, ale nie wypowiadałabym ich, gdybym nie znała sytuacji z autopsji. Trudno posługiwać się tutaj konkretnymi przykładami — omawiając je naraziłabym nie księży, lecz np. działaczy „Solidarności” ze środowisk wiejskich i małomiasteczkowych. Problemy te sygnalizuję niejako na marginesie niniejszych uwag, lecz mają one i cel ogólniejszy. Chodzi mi o narastający od kilku lat triumfalizm Kościoła, przed którym w „Polskim kształcie dialogu” przestrzegali jeszcze w 1979 roku ks. Józef Tischner.

Ten triumfalizm przejawia się m.in. w skłonności do negocjowania dorobku i postaw tych kręgów opiniotwórczych w Polsce, które — mimo, że związane są z opozycją lub opozycję współtworzą — nie są jednocześnie bezpośrednio związane z Kościo-

łem. Ale też ów triumfalizm wyraża się także w skłonności do wpisywania wszelkich osiągnięć opozycji w skutki polityki kościelnej. Na dłuższą metę taka postawa może przynieść wyłącznie straty — i Kościołowi, i opozycji, przede wszystkim jednak społeczeństwu.

Nie sądzę, by w sferze wartości najwyższych, etyki, praw ludzkich mogła istnieć jakakolwiek rozbieżność między ideałami opozycji i Kościoła. Spór natomiast może dotyczyć — i czasem dotyczy — sposobu realizacji owych ideałów. Poczynając od wypowiedzi prymasa Wyszyńskiego z sierpnia 1980 roku, która, jak wiadomo, zbulwersowała strajkujących robotników, kończąc zaś na niektórych niefortunnych sformułowaniach prymasa Głępa należy stwierdzić, że Kościół nie zawsze i nie w każdej sytuacji winien ingerować w przebieg zachodzących zdarzeń. Nie ma też on monopolu na reprezentowanie społeczeństwa wobec władz. Byłoby narodową tragedią powstanie drastycznych rozdzźwięków między opozycją a Kościołem; że są one możliwe, niech świadczy wyjątkowo niesmaczne potraktowanie przez ks. Orszulika działaczy KOR-u w roku 1980. A przecież podobnych przykładów można znaleźć więcej.

Dlatego też uważam, że przygotowania do pielgrzymki papieskiej winny być tak staranne. Wiele wskazuje na to, że najbliższy rok może na dłuższy czas przesądzić o losach kraju. Być może stanęliśmy wobec bardziej dramatycznych i moralnie trudniejszych decyzji niż te, z którymi mieliśmy do czynienia w Sierpniu 1980 roku. W tej sytuacji autorytet Kościoła jest społeczeństwu szczególnie potrzebny. Kościół jednak winien pełnić przede wszystkim funkcję mediatora, także doradcy.

Wizyta papieża stwarza okazję do spokojnego, pozwalającego uniknąć napięć, ale też widocznego zmanifestowania spójności społeczeństwa i jego wierności tym wartościom w życiu publicznym, które są wspólne Kościołowi i „Solidarności”. Podobna okazja najprawdopodobniej nie powtórzy się w przewidywalnej przyszłości. Stąd — powtarzam raz jeszcze — konieczność szczególnie rozważnego (ale też odważnego) i starannego przygotowania do niej społeczeństwa. Bez wątplenia bowiem wizyta ta stanie się sprawdzianem zdolności organizacyjnych i politycznych polskiej opozycji, podobnie jak wizyta z roku 1979 była sprawdzianem zdolności samoorganizacyjnych społeczeństwa.

IV

Niezależnie jednak od rozgrywek w ramach „wielkiej polityki”, problemu renegotjacji umów społecznych itp., konieczne jest inspirowanie przez kręgi opozycyjne i niezależne szeregu

częstkowych „programów alternatywnych”, dotyczących poszczególnych dziedzin naszego życia. Społeczeństwo musi dysponować — pisał o tym swego czasu Czesław Bielecki — nie tylko wiedziami krytycznymi pod adresem rozwiązań narzucanych przez władze, lecz musi także móc im przeciwstawić „krytykę pozytywną”, wspartą o własne opracowania.

Z podobnymi postulatami występował już kiedyś Stefan Bratkowski, czołowy rzecznik podobnych, „pozytywistycznych” zachowań, lecz głos jego zagłuszony został przez nieustającą dyskusję programową o braku programów. W bełkocie politycznym polegającym na udowodnieniu wyższości prawicy nad lewicą, czy odwrotnie, zanika zupełnie troska o tworzenie realnych punktów odniesienia dla obecnej polityki społecznej i gospodarczej komunistów. Lecz tu nie wystarczy manifestacja mniej lub bardziej zbornych ideologicznych teoryjek — tu konieczna jest praca: żmudna, uciążliwa, wymagająca gromadzenia danych, ich analizy i opracowywania. Niewiele pozornie ma to wspólnego z polityką, ale tylko pozornie. Taka właśnie praca może stworzyć realne przesłanki rzeczywistej walki politycznej.

Takim realnym alternatywnym programem opartym o rachunek potrzeb i możliwości ich zaspokojenia był pilotowany przez Kościół program fundacji rolnej. W tym wypadku, co nietrudno dostrzec, program ów, choć w tej chwili negocjacje dotyczące wprowadzenia go w życie zostały zerwane, miał — choć częściowo — wpływ na kształt naszego życia społecznego. Przede wszystkim doprowadził do uchwalenia ustawy o fundacjach, co jest niebagatelnym osiągnięciem, gdyż stwarza w przyszłości możliwość posługiwania się przez społeczeństwo owym przepisem prawnym. Nadto istnienie owego programu stało się dla wielu ludzi rzeczowym dowodem na nieliczenie się przez władze z potrzebami społecznymi, a także dowodem ich niezdolności przeciwstawienia inicjatywie społecznej własnej koncepcji rozwiązania problemu. Wreszcie w opracowaniu tego programu wykorzystane zostały — nie bezskutecznie przecież — zdolności szeregu specjalistów.

Stefan Bratkowski z kolei wystąpił, bodajże w roku 1983, z koherentnym i jak dotąd nie poddanym przez nikogo krytyce programem budowy i rozbudowy urzędów samorządowych. Analiza owego programu stała się dla wielu działaczy ważną lekcją konkretnego myślenia o sprawach społecznych. Samo istnienie owego programu wzbogaca repertuar argumentacji, który może się okazać przydatny w momencie, w którym doszłoby do rozmów z władzami.

To tylko dwa przykłady owej „dobrej roboty”, której tak bardzo dziś brakuje. Pole do działania otwarte jest praktycznie dla wszystkich. W zasadzie bowiem wszystkie problemy współ-

czesnego życia w Polsce wymagają wypracowania „programów pozytywnych”. Przy czym jest rzeczą niezmiernie ważną, by lansowanie owych programów nie nosiło znamion szantażu: skoro wypracowała je opozycja, to wara od tego komuchowi. A niechby nawet i kradli, byle tylko realizowali to, co pomoże ludziom żyć i przetrwać. W sytuacji Polski nawet częściowe, drobne rozwiązania mają wpływ na poprawę dramatycznej sytuacji.

I tak na przykład może mieć olbrzymie znaczenie fakt narodzin — po katastrofie w Czernobylu — niezależnego ruchu ekologicznego. Może — ale nie musi. Jeśli ów ruch ograniczy się wyłącznie do akcji protestacyjnych, jeśli jedynym jego dążeniem stanie się opór wobec planów budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu, to ruch ten skazany jest na jałowość. Konieczne jest bowiem zgromadzenie specjalistów, opracowanie — szczegółowe i zbiorcze — stanu zagrożenia środowiska naturalnego w Polsce i na tej podstawie wypracowanie propozycji dróg wyjścia z katastrofy.

Również pozytywna skądinąd działalność Społecznej Komisji Zdrowia nie może się już dzisiaj ograniczyć do krytyki zjawisk ujemnych oraz ujawniania kolejnych bolączek. Wiadomo powszechnie, że organizacja służby zdrowia wymaga w Polsce głębokiej, zasadniczej reformy. Projekty takiej reformy — lub lepiej: jej wariantów — powinny już dziś znajdować się w dyspozycji społeczeństwa. Stan zdrowia Polaków jest bowiem alarmujący.

Powtarzam: podobne inicjatywy możliwe są we wszystkich dziedzinach. Czy będzie to system funkcjonowania spółdzielczości (zwłaszcza mieszkaniowej) czy problem wykorzystania przemysłu siarkowego, zasady funkcjonowania rybołówstwa czy zagadnienie opieki nad ludźmi starymi. By ktokolwiek podjął się pilotażu takich programów, muszą one najpierw istnieć. Być może nie jest to tylko zadanie dla opozycji w kraju, może konieczna się stanie, na jakimś przynajmniej etapie, pomoc emigracji. Przede wszystkim jednak trzeba mieć w ręku konkrety. Władze mogą podobne programy odrzucać — ale wówczas będzie przynajmniej wiadomo, co odrzucają. Być może też powstawanie takich programów wymusi na władzach opracowanie kontrpropozycji. I to już krok do przodu. To wszystko też są elementy walki politycznej. I to niebłaha.

Jadwiga KWIATKOWSKA

KRAJ — BLOK WSCHODNI

30-8-86

Stocznie polskie pracują w tej chwili wyłącznie na użytek ZSSR. Ostatnim zamówieniem sowieckim była umowa na dostawę trzech urządzeń samodozujących typu „B-960” o nośności 20 tys. ton każde, oraz czterech statków dźwigowych typu „B-99”. Wartość tych umów wynosi 110 mln rubli. Zamówienia sowieckie, ulokowane w stoczniach polskich mają w sumie wartość 1.900 mln rubli.

19-9-86

Zmarł w Warszawie w wieku 73 lat Henryk Korotyński, znany dziennikarz, publicysta, działacz polityczny i społeczny.

21-9-86

W Warszawie została powołana Rada Funduszu „Wolność i Pokój” w składzie: przewodniczący — Jan Józef Lipski (Warszawa) oraz członkowie: Marek Adamkiewicz (Szczecin), Konstanty Radziwiłł (Warszawa), Jacek Szymanderski (Warszawa), Tomasz Waćka (Wrocław) oraz Jan Minkiewicz z Amsterdamu (reprezentant ruchu „Wolność i Pokój” na Zachodzie). Celem Funduszu jest wspomaganie działalności ruchu „Wolność i Pokój” oraz wszelkich inicjatyw obywatelskich na rzecz pokoju realizowanego w warunkach wolności. Wpłaty zagraniczne na Fundusz należy kierować z kaskiem na adres: Fund for „Freedom and Peace”, P. O. Box 15313, 1001 MH Amsterdam, The Netherlands — lub na konto pocztowe N° 1685890, Informatieburo Solidarnosc, P. O. Box 15313, 1001 Amsterdam, The Netherlands (ze wzmianką „Fundusz WiP”).

28-9-86

Zmarła w Warszawie w wieku 87 lat Ewa Szelburg-Zarembina, pisarka, autorka książek dla dzieci i młodzieży. ■ Polska ma znów kłopoty z masłem: większość produkcji ma stanowić tzw. masło śmietankowe, zawierające 24 % wody; za waluty wymienne PRL zakupi w tym roku 40 tys. ton masła. ■ Rząd PRL zaproponował, by ilość punktów sprzedaży alkoholu ograniczyć do 29 tysięcy. Społeczny Komitet Antyalkoholowy postulował, aby było ich maksymalnie 28 tysięcy. Połączone komisje sejmowe uchwaliły przez głosowanie 30 tys. punktów, tj. tyle, ile istnieje obecnie. Wszystko to dzieje się w ramach sejmowej ustawy „O wychowaniu w trzeźwości”. ■ W ciągu ośmiu miesięcy bież. roku polski eksport wlnodewizowy zmniejszył się w porównaniu z rokiem ubiegłym o 6 %.

1-10-86

Zmarła w Warszawie w wieku 46 lat Barbara Sadowska, poetka, matka Grzegorza Przemyska.

3-10-86

Zmarł w Warszawie w wieku 88 lat Stanisław Strumpf-Wojtkiewicz, pisarz, publicysta, przez krótki okres czasu (Buzułuk, ZSSR) szef Wydziału Kultury, Prasy i Propagandy Armii Polskiej na Wschodzie, dowodzonej przez generała Andersa. Książki historyczne pióra St. Strumpf-Wojtkiewicza dotyczące drugiej wojny światowej, a specjalnie osoby generała Andersa, są nieścisle i demagogiczne.

4-10-86

W Warszawie podpisano porozumienie o współpracy między bankami sowieckimi a Narodowym Bankiem Polskim. Porozumienie to przewiduje ścisłą współpracę, mającą na celu pogłębianie socjalistycznej integracji ekonomicznej.

5-10-86

Nowym ministrem Kultury i Sztuki PRL — na miejsce Kazimierza Żygulskiego — został mianowany Aleksander Krawczuk, profesor historii starożytnej na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaś wiceministrem Kazimierz Molek, dotychczasowy zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR. ■ W PRL od nowego roku dowód osobisty przestanie pełnić rolę paszportu do KDL-ów, a paszporty do europejskich krajów socjalistycznych wydawane będą na 10 lat.

7-10-86

Zmarł w Warszawie w wieku lat 54 Jerzy Łojek, znany historyk, pisarz, laureat nagrody Alfreda Jurzykowskiego.

23-10-86

Z okazji 30-tej rocznicy Powstania Węgierskiego zostało ogłoszone oświadczenie pt. „Nasze wspólne dziedzictwo i natchnienie”, które łącząc wydarzenia na Węgrzech z rozruchami w Berlinie, z Praską Wiosną i ruchem „Solidarności” w Polsce wzywa wszystkich przyjaciół na świecie do wspólnej walki o demokrację, niepodległość i pluralizm. Oświadczenie to podpisało kilkudziesięciu Węgrów, Czechów, Słowaków, Polaków i Niemców z NRD. Z Polski podpisały następujące osoby: Konrad Bieliński, Marian Brandys, Jacek Czaputowicz, Marek Edelman, Jacek Fedorowicz, Jan Andrzej Górný, Janusz Grzelak, Zbigniew Janas, Jan Kielanowski, Wiktor Kulerski, W. Kunicki-Goldfinger, Zofia Kuratowska, Jacek Kuroń, Jan Józef Lipski, Jan Lityński, Barbara Malak, Wojciech Maziarski, Adam Michnik, Leszek Moczulski, Piotr Niemczyk, Zofia Romaszewska, Zbigniew Romaszewski, Krystyna Starczewska, Stefan Starczewski, Aniela Steinsbergowa, Klemens Szaniawski, Jacek Szymanderski, Henryk Wujec.

Niestety zabrakło podpisów Lecha Wałęsy i Członków Tymczasowej Rady „Solidarności”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-9-86

Nowym przewodniczącym Rady Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich w Ann Arbor, Michigan, został Stanisław Bask-Mostwin, a wiceprzewodniczącą Ewa Gierat.

27-9-86

Zmarł w Sydney w wieku 69 lat, Ryszard H. Krygier, w ostatnich latach wojny korespondent PAT-a na obszar południowego Pacyfiku. Były wieloletni prezes Związku Polskich Dziennikarzy w Australii. Odznaczony Orderem Brytyjskiego Imperium (OBE). Założyciel Australijskiego Towarzystwa Wolność Kultury i wydawca, odgrywającego znaczną rolę w życiu kulturalnym Australii miesięcznika *Quadrant*. Prezes Fundacji im. Sylwestra Gruski.

5-10-86

Zmarł nagle w Middlefield, N.J. (USA) w wieku 80 lat Jan Erdman. Przed wojną współpracował z *Przeglądem sportowym* oraz z wydawnictwami Domu

Prasy Polskiej w Warszawie. Był członkiem Związku Dziennikarzy R.P. W czasie wojny żołnierz Brygady Karpackiej i *attaché* Ambasady Polskiej w Moskwie. Po wojnie współpracował z Centrum Informacji w Nowym Jorku, był redaktorem Głosu Ameryki w Monachium i w Waszyngtonie oraz pisma *Ameryka*. Był autorem niedawno wydanej w Londynie książki „Droga do Ostrej Bramy”.

9-10-86

W związku z ukazaniem się książki Adama Michnika „Letters from Prison and Others Essays” miało miejsce w The New School for Social Research w New Yorku symposium pt. „Adam Michnik and Human Rights”. Symposium zorganizowała University Press Books. Z Polaków wzięli w nim udział Czesław Miłosz, Stanisław Barańczak i Irena Grudzińska-Gross.

KRONIKA FRANCUSKA

Wszystkie większe francuskie centrale związkowe (z wyjątkiem komunistycznej) opublikowały oświadczenia wyrażające zadowolenie z uwolnienia więźniów politycznych w Polsce. Francuscy związkowcy zapewnili, że zamierzają kontynuować akcje pomocy dla Solidarności. ■ Sekretariat Krajowy do spraw swobód obywatelskich i praw człowieka Francuskiej Partii Socjalistycznej jest zdania, że amnestia w Polsce będzie miała naprawdę pozytywny charakter dopiero wtedy, jeżeli stanie się początkiem wznowienia dialogu ze wszystkimi grupami społeczeństwa polskiego i powrotem do idei Porozumień Gdańskich. Francuscy socjaliści mają nadzieję, że uwolnienie więźniów politycznych wyraża ze strony władz polskich wolę odprężenia na płaszczyźnie wewnętrznej i międzynarodowej. (Oświadczenie z 17 września br.). ■ Prof. Piotr Słonimski, przewodniczący Stowarzyszenia France-Pologne, skierował list do Zbigniewa Bujaka ze słowami poparcia i uznania dla Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność”. Stowarzyszenie France-Pologne wystąpiło do francuskich związków zawodowych i do klubów poselskich PPR, UDF i PS z apelem o poparcie nowopowstałej Rady „Solidarności”. ■ André Bergeron, sekretarz generalny związku zawodowego Force Ouvrière, przemawiając podczas tradycyjnego święta FO w Paryżu stwierdził m.in., że reakcja władzy PRL na stworzenie Tymczasowej Rady „Solidarności” jest jeszcze jednym potwierdzeniem niemożności współzycia władzy komunistycznej z niezależnym ruchem związkowym. W uroczystościach FO wziął udział kierownik biura brukselskiego „Solidarności” — Jerzy Milewski. ■ Jerzy Milewski uczestniczył także w obchodach święta chrześcijańskiej centrali związkowej CFTC, która od lat udziela dużej pomocy „Solidarności”. CFTC związana jest od trzech lat umową o współpracy z „Solidarnością” Regionu Małopolska. ■ Działacze francuskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Roberta i Tomka (Roberta Chechłacza i Tomka Łupanowa) ogłosili apel wzywający aby w okresie amnestii w Polsce nie zapominać o losie dwóch młodych ludzi skazanych za nieumyślne zabicie milicjanta. Komunikat przypomina, że Roberta skazano na 25 lat więzienia, a Tomka na lat 13. ■ Radni miejscy nadali jednej z ulic Lens (północna Francja) imię księdza Jerzego Popiełuszki. ■ Od pięciu lat nie ustaje organizowana przez Francuzów pomoc charytatywna dla polskiego społeczeństwa. Przykładem może być Komitet Pomocy Polsce w Béthune (północna Francja), który wysłał ostatnio do Polski 50-tą ciężarówkę z odzieżą i lekarstwami. Członkami komitetu są głównie obywatele francuscy. ■ Niecodzienna uroczystość miała miejsce w Housset, północna Francja, gdzie potomkowie polskiego emigranta Aleksego Kuźmicza, grenadiera wojsk napoleońskich, obchodzili dwuchsetną rocznicę jego urodzin. Na uroczystość przybyli liczni krewni z różnych krajów,

w tym także i z Polski. Obchody zorganizował André Robert Coschemique (Coschemique jest francuską wersją nazwiska Kuźmicz), który od lat utrzymuje ścisłe związki z Polską. W 1980 zorganizował w Warszawie spotkanie swoich polskich krewnych, a po wprowadzeniu stanu wojennego wysłał do Polski kilka ciężarówek z odzieżą, żywnością i lekarstwami. ■ Poeci i krytycy z 37 krajów wzięli udział w piętnastym Międzynarodowym Biennale Poezji w Liège (Belgia), które tym razem poświęcone było problemom związków poezji z teatrem. Tegoroczną Nagrodę Poezji otrzymał libański poeta — Adonis (przewodniczącym jury był Artur Międzyrzecki). W roku 1984 laureatem Nagrody Poezji był Zbigniew Herbert. ■ Członkowie zdelegalizowanego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (Zarządu Oddziału Warszawskiego) przyznali po raz pierwszy w tym roku nagrody dla niezależnych dziennikarzy. Wśród wyróżnionych znalazła się redakcja polska Radia France Internationale; uzasadnienie: najlepsze obecnie polskie radio. Sekcja polska RFI, niewielki zespół prowadzony przez Kazimierza Piekarca, cieszy się od kilku już lat niesłabnącym powodzeniem w Polsce. ■ Z okazji wydania przez Editions Flammarion francuskiej wersji książki Teresy Torañskiej „Oni”, księgarnia Libella zorganizowała 18 października br. wieczór, w czasie którego autorka podpisywała swoją książkę. Obecny był także Jan Krauze, korespondent dziennika *Le Monde*, autor przedmowy do wydania francuskiego oraz tłumaczka — Laurence Dyevre. Książka Teresy Torañskiej została przyjęta we Francji z dużym zainteresowaniem, w kilku znanych pismach ukazały się jej fragmenty i przychylnie recenzje — m.in. pisali: Jean François Revel w *Le Point*, Annie Kriegel w *Le Figaro* i Pierre Daix w *Le Quotidien de Paris*. Ostatni z wymienionych recenzentów stwierdza: „Ta książka powinna być studiowana na wydziale nauk politycznych, a wszyscy ci, którzy pragną zrozumieć o co toczy się gra między nami i krajami komunistycznymi powinni ją przemyśleć”. ■ Gośćmi klubu miesięcznika *Kontakt* byli ostatnio Gustaw Herling-Grudziński i Maria Hernandez-Paluch, publicystka krakowskiego *Tygodnika Powszechnego*, która od kilku miesięcy przebywa w Paryżu. Jeszcze we wrześniu odbyło się spotkanie z Leopoldem Ungerem. Zainaugurowane przed kilku miesiącami spotkania w *Kontakcie* nabierają coraz większego rozmachu, szkoda tylko, że niewielka sala zazwyczaj nie jest w stanie pomieścić wszystkich zainteresowanych. Poza czwartkowymi spotkaniami odbywają się w każdy wtorek wieczory filmowe „Video-Kontakt”: ostatnio wyświetlano reportaże o osiedlonych w Izraelu emigrantach z Polski pt. „Jestem Żydem, bo tak mi się podobą”. („Kontakt”: 42, rue Raymond Marcheron, 92170 Vanves). ■ Na początku października w prowadzonym przez Ojców Pallotynów „Centre du Dialogue” w Paryżu miał miejsce wieczór autorski Ks. Prof. Janusza St. Pasierba, który przedstawił zebranym swą twórczość poetycką. Przed kilkoma miesiącami paryski tygodnik *France Catholique* zamieścił przekłady 14 wierszy księdza Pasierba w tłumaczeniu Lucienne Rey. Ksiądz Janusz Pasierb jest kierownikiem katedry Historii Sztuki na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie i sekretarzem komisji sztuki sakralnej przy Episcopacie Polski. ■ Obok „Video-Kontakt” istnieje w Paryżu drugi ośrodek video — „Video-Dialogue” zorganizowany przez Ojców Pallotynów. W sali „Centre du Dialogue” odbywają się także projekcje filmów. We wrześniu i w październiku wyświetlano między innymi film pt. „Misja” — reportaż z podróży Prymasa Polski we Francji oraz film pt. „Nie lękajcie się” będący relacją z pogrzebu księdza Jerzego Popiełuszki. ■ W podparyskiej miejscowości Enghien-les-Bains na scenie Teatru „Du Hall Garnier” wystawiano od 15 września do 16 października „Małą Apokalipsę” Tadeusza Konwickiego. Powieść adaptował i reżyserował Jean Gilbert, tłumaczyła Zofia Bobowicz. ■ We wrześniu koncertował we Francji zespół Filharmonii Krakowskiej, któremu towarzyszył Krzysztof Penderecki. ■ O wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku mówił 14 października w paryskiej Bibliotece

ce Polskiej generał Yves Faury, syn generała Louisa Faury, wielkiego przyjaciela Polaków, zasłużonego szczególnie w dziedzinie polskiej wojskowości. Generał Louis Faury dowodząc w 1919 roku francuską misją wojskową w Polsce (wówczas w randze podpułkownika) szkolił polskich oficerów sztabowych. W 1920 roku walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, był jednym z współzałożycieli polskiej Wyższej Szkoły Wojennej. Był także w Polsce we wrześniu 1939, a później współpracował blisko z generałem Władysławem Sikorskim. Spotkanie zostało zorganizowane przez Towarzystwo Historyczno-Literackie. ■ W związku z zaproszeniem do Polski francuskiego ministra spraw zagranicznych Jean Bernard Raymond'a, Jerzy Urban oświadczył, że stosunki z Francją nie układają się tak, jakby sobie tego życzyła Polska; dodał również, że doniesienia prasy zachodniej na temat warunków jakie rzekomo minister Raymond postawił przed przyjęciem zaproszenia są fałszywe. Nie bardzo wiadomo o jakich doniesieniach zachodnich mówił Urban, a w każdym razie prasa francuska o niczym takim nie wspominała. Rzecznik Quai d'Orsay oświadczył po wypowiedzi Urbana, że Raymond przyjął zaproszenie nie stawiając żadnych warunków, natomiast poinformował ministra spraw zagranicznych PRL, Orzechowskiego, że zamierza w Polsce odwiedzić swoich przyjaciół. Minister Raymond będąc ambasadorem Francji w Warszawie w latach 1983-1985 utrzymywał kontakty z wieloma działaczami opozycji.

W. SIKORA

STODIECK'S BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA W BERLINIE ZACHODNIM

Sprzedaż wysyłkowa wydawnictw emigracyjnych.

WIELKA OBNIŻKA CEN!

BLISKO 50 TYTUŁÓW TANIEJ!

Katalog „Zima 1986/1987” wysyłamy bezpłatnie
na życzenie.

Stodiek's Buchhandlung

Richard-Wagner-Str. 39. D - 1000 Berlin — 10

Tel.: (030) 341-10-40

FUNDACJA ARMII KRAJOWEJ

w Stanach Zjednoczonych,

zarejestrowana w Urzędzie Federalnym IRS numer 36-3291130, prosi o pomoc finansową na dokumentację historii Polskiego Państwa Podziemnego w latach 1939-1945.

Adres:

Polish Resistance (AK) Foundation

4432 N. Newcastle Ave., Chicago, IL. 60656. USA

Z ostatniej chwili

OŚWIADCZENIE

W dniu 12 października 1986 odbyło się posiedzenie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” z udziałem przewodniczącego Związku, Lecha Wałęsy.

W posiedzeniu wzięli także udział Jan Andrzej Górný i Marek Muszyński. Omówiono obecną sytuację w Kraju i związaną z tym sytuację Związku. Zgodnie uznano, że ostatnie wydarzenia nie dają podstawy do zasadniczej zmiany niejawnej formuły działania Związku, która okazała się jedynie możliwa i skuteczna w warunkach powstałych po 13 grudnia 1981 roku i, mimo pewnych przekształceń, trwających nadal.

Przedyskutowano problemy organizacyjne TKK NSZZ „Solidarność” i na wniosek Przewodniczącego Związku postanowiono zgodnie, iż koledzy Jan Andrzej Górný i Marek Muszyński powrócą do normalnego życia. Określenie struktur i wypracowanie skutecznych organizacyjnie form działania powoduje, że ich dalsze przebywanie w ukryciu nie jest bezwzględnie konieczne.

Lech Wałęsa i TKK wyrażają kolegom Janowi Andrzejowi Górnemu i Markowi Muszyńskiemu serdeczne podziękowanie za ich długotrwałą i pełną poświęcenia dotychczasową działalność.

Omawiając sytuację w Związku stwierdzono, iż fala ostatnich wydarzeń politycznych w Polsce wywołuje wiele zamieszania i nieporozumień wśród członków i sympatyków NSZZ „Solidarność”. W przekonaniu że wszelki pożytek dla Polski płynąć musi z działań podejmowanych w duchu patriotyzmu i demokracji — co oznacza dzisiaj poszanowanie dla zasad i tradycji „Solidarności” — oświadczamy co następuje:

- 1) NSZZ „Solidarność” składa się, jak stanowi Statut, z autonomicznych organizacji regionalnych.
- 2) Bieżącą działalnością Związku kieruje TKK NSZZ „Solidarność” koordynując działalność regionów i podejmując inne przedsięwzięcia w skali ogólnokrajowej oraz reprezentowanie Związku na zewnątrz.
- 3) TKK NSZZ „Solidarność” jest organem kolegialnym w skład którego

wchodzą przewodniczący lub pełnomocni przedstawiciele komisji wykonawczych (RKW, RKK, RKS, RK).

4) TKK NSZZ „Solidarność” realizuje swoje działania w ścisłej współpracy i porozumieniu z Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”, Lechem Wałęsą.

5) Kierownictwo organizacji regionalnych NSZZ „Solidarność” spoczywa w rękach regionalnych komisji wykonawczych (RKW, RKK, RKS, RK), które koordynują i wspomagają związkowe organizacje w zakładach pracy, utrzymują z nimi więź ustalając program działania, i reprezentują je poza regionem.

6) Podstawowymi ogniwami NSZZ „Solidarność” są struktury zakładowe, kierowane przez tajne komisje zakładowe (TKZ). Przetrawianie struktur zakładowych jest równoznaczne z przetrwaniem NSZZ „Solidarność”. W obecnej sytuacji należy raz jeszcze z całą mocą podkreślić konieczność zachowania tajnej formuły działania jako jedynie skutecznej w powstałych po 12 grudnia 1981 roku i istniejących nadal warunkach.

7) NSZZ „Solidarność” utrzymuje ścisłe i przyjacielskie kontakty z międzynarodowym demokratycznym ruchem związkowym. Organem realizującym bieżącą współpracę w tym zakresie jest powołane przez TKK NSZZ „Solidarność” Biuro Koordynacyjne za Granicą, z siedzibą w Brukseli.

8) W ostatnim okresie mamy do czynienia z próbami rozszerzenia formuły działania Związku poprzez jawne wystąpienia grup działaczy NSZZ „Solidarność”. Obserwując z uwagą te próby TKK NSZZ „Solidarność” podkreśla konieczność zachowania wymogów bezpieczeństwa i ochrony podziemnego potencjału ludzkiego i bazy materialnej, które decydują o rzeczywistej sile i znaczeniu naszego Związku.

9) TKK NSZZ „Solidarność” uznaje utrzymanie i ochronę demokracji wewnątrzwiązkowej za podstawę skutecznego sprawowania swych funkcji.

Podpisali: Przewodniczący NSZZ „Solidarność”
Lech WAŁĘSA

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność”,
Przedstawiciele regionów: Dolny Śląsk, Gdańsk, Małopolska,
Pomorze Zachodnie, Region Śląsko-Dąbrowski, Toruń-Bydgoszcz, Ziemia Łódzka.

Listy do Redakcji

Sarcelles, październik 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytam Wasze pismo *Kultura*. W latach 60-tych przyjechałem z Polski. Interesuje mnie oczywiście wszystko co dotyczy Polski i ludzi mieszkających w Polsce. Ponieważ jestem Ukraińcem, to szczególnie cieszę się faktem, że widzenie problemy mniejszości narodowych w Polsce, a nawet problem porozumienia i zgody Polaków z Ukraińcami.

Jestem za tym, aby ludzie świata szanowali się wzajemnie, bez względu na narodowość. W kontaktach Polacy-Ukraińcy są pewne plamy *ciemne*, do dziś nie wyciągnięte na światło dzienne, zdarzenia, które uczyniły głębokie rany w narodzie ukraińskim i w mojej osobowości też!

Chciałbym podzielić się z Wami częstką mojego życiorysu, moją tragedią i tragedią narodu ukraińskiego i chciałbym, aby te fakty Wasze czasopismo wyciągnęło na jaw. Są to wydarzenia z pierwszych miesięcy (lat) po zakończeniu drugiej wojny światowej.

W styczniu 1946 moja rodzinna wieś — Zawadka Morochowska w dawnym powiecie sanockim — została zniszczona. Ludowe Wojsko Polskie (chyba i sowieckie) czterokrotnie w ciągu trzech tygodni niszczyło ją. Zabudowania palono, dobytek grabiono, a ludzi mordowano w bestialski sposób. Wymordowano całą wieś — ponad 100 osób. Za pierwszym podejściem L.W.P. wyrznęło, wystrzelało i spaliło żywcem 70 osób, 70 osób cywilnych, niewinnych — mężczyźni, kobiety i dzieci. Łamali ludziom kończyny, bagnietami zarzynano, obcinano głowy, piersi kobietom, mięśnie itp. Te 70 osób wymordowali żołnierze 34-go pułku L.W.P. 24 stycznia 1946 roku pod komendą płk. Pluto. Akcja trwała tylko pół godziny od 8.00 do 8.30. Po południu przybyli partyzanci U.P.A. i uporządkowali teren wsi. Sześciu ludzkie przy pomocy pozostałych mieszkańców i mieszkańców wsi Mokre pochowano w jednej wspólnej mogile.

Moi rodzice, jak większość mieszkańców wsi o tej porze, byli w domu. Ojciec rąbał drzewo przed domem, matka była w chacie ze mną (miałem wówczas 8 miesięcy) i siostrą, siedmioletnią Zofią. Starszy, trzynastoletni brat Władysław z wujkiem Janem Kierłyza pojechali po drzewo do lasu. 40-letniego ojca zastrzelili podczas rąbania drzewa (w takiej pozycji też zastygł), matkę (32-letnią) wygnali w mroźny ranek styczniowy ze mną na rękach (tylko w kaftaniku) i siostrę 7-letnią przed dom, gdzie dokonali straszliwego mordu!!! Siostrze połamali nogi i rozciągli brzuch. Matce wycięli język, połamali prawą rękę i rozciągli brzuch czterema pchnięciami bagnetu. Pocięli nogi. Ja, cudem ocalały, żyłem pod zwłokami matki. Po tej masakrze wrócił z lasu mój 13-letni brat z wujkiem. Wujkowi zamordowali całą rodzinę (żonę i dwie córki 16 i 15 lat). Memu bratu zostałem ja — 8-miesięczne dziecko, karmione do tej pory tylko piersią matki, z odmrożonymi kończynami i poślądkami.

Obu nas przygarnął obcy człowiek z sąsiedniej wsi — Józef Płatosz. U niego wychowywaliśmy się do pełnoletności.

Józef Płatosz miał też swoją rodzinę — żonę Annę i troje dzieci. Znalazło się miejsce i pokarm i dla nas dwóch, mimo bardzo trudnych czasów.

Józef Płatosz do dziś żyje we wsi Mokre, woj. Krosno, niedaleko mojej rodzinnej wsi, po której pozostały tylko sady, ślady po cerkwi i kości ludzkie pod ziemią. On i wielu innych żyjących w tej wsi mogą poświadczyć prawdziwość tego co opisuje.

Dlaczego tak bestialski czyn L.W.P. w czasie pokoju na cywilnym narodzie uchodzi do dziś bezkarnie, a nawet bez najmniejszego potępienia? Dlaczego historia milczy?

Dlaczego w miejscu tak straszliwej kaźni nie może stać pomnik? Cerkiew, która pozostała, po wojnie rozebrali Polacy z sąsiedniej wsi — Niebieszczyany. Oni też są właścicielami gruntów tej wsi. Na mogiłach pomordowanych paśli i pasą bydło. Powyciągali krzyże, poniszczyli. Dziś już prawie śladu nie ma!!!

Niezatarty ślad tej tragedii pozostał w duszach Ukraińców. Proszę sobie wyobrazić wstrząs i szok mego tylko 13-letniego brata na widok zabitego Ojca, zbroczonej krwią Matki i Siostry.

Czy coś takiego można zapomnieć???

Jak na ironię losu po latach mój brat, a później i ja, dostaliśmy karty powołania do L.W.P. Brat zgłosił się na komisję ze mną (małym dzieckiem) z zapytaniem co ma ze mną zrobić, skoro L.W.P. zabiło nam rodziców... Brata nie wzięto w końcu do wojska, ale ja odsłużyłem.

W tym czasie kiedy zginął mój Ojciec, jego brat walczył o Polskę w wojsku polskim we Francji.

Wspomnienia są straszne! Tragedia, masakra równa czynom hitlerowców. Gorsza — bo w czasie pokoju!

Jeśli więc mielibyśmy budować przyjaźń między naszymi narodami i wspólnie walczyć o niepodległość, to najpierw trzeba wyjaśnić wszystkie ciemne fakty naszej wspólnej historii. Potępia się głośno w Polsce czyny U.P.A., potępia się Ukraińców za współpracę z Hitlerem. Za współpracę potępiam również. Niepotrzebnie zaufali Hitlerowi i w nim upatrywali pomocy w odzyskaniu niepodległości Ukrainy. Wolność Ojczyzny to cel tak wzniosły, że czasami dąży się do niej nie przebiegając w środkach.

Jeżeli wojsko walczy przeciw wojsku — rozgrzesza się to, ale jeżeli wojsko (obojętnie jakie) morduje niewinnych cywilnych ludzi, kobiety i dzieci — to rzecz straszna i poniżająca. I to w czasie pokoju!

Wojsko Polskie doskonale wiedziało, że we wsi nie stacjonowali partyzanci U.P.A. — tylko w lesie, a mimo to pod tym pozorem potrafili wymordować tylu niewinnych!

Moi rodacy w Polsce i dziś są traktowani zawsze z poniżeniem, jak ktoś gorszy i niższy. Ukraińcy nie mogą posługiwać się ojczystym językiem w miejscach publicznych.

Od 20-tu lat żyję we Francji i wiem co to uszanowanie godności człowieka. Mój syn chodzi do szkoły i bawi się po sąsiedzku z rówieśnikami różnych wyznań, narodowości i kolorów skóry — wszyscy są jednakowo traktowani i szanowani.

Ja przebaczam Polakom ich czyny! Niech ich Bóg osądzi.

Popieram przyjaźń między narodami — ale przyjaźń czystą, uczciwą i niekłamana. Przykre to, że Polacy dopiero po 40 latach poznali się na przyjaźni sowieckiej, że teraz kiedy but sowiecki wydusza z nich ostatnie siły, szukają i widzą współpracę w Ukraińcach.

Taki jest mój punkt widzenia!

Z uszanowaniem

Jerzy BILAS
33 Bd Bergson
95200 Sarcelles

Paryż, 15 września 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 6/453 *Kultury* z 1985 roku opublikował Pan spis „zachodnich przedstawicielstw niezależnych organizacji, instytucji i pism krajowych”. Między innymi na owej liście widniało moje nazwisko jako jednej z osób reprezentujących organizację „Solidarność Walcząca”.

Pragnę teraz tą samą drogą poinformować Czytelników *Kultury*, iż z powodów znanych kierownictwu „Solidarności Walczącej” przestaję reprezentować tę organizację.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej MIETKOWSKI

Königswinter, 16 września 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z pewnym zdumieniem przeczytałem w numerze 10 *Kultury* list pana Stefana Marcinkowskiego, wyrażający dezaprobatę wobec mego, opublikowanego ponad pół roku temu, artykułu w paryskim *Kontakcie*. Zdumienie bierze się stąd, że jedyną rzeczą jakiej Czytelnik mógł się z listu dowiedzieć jest, iż p. Marcinkowskiemu mój tekst się nie podobał. Nie może się natomiast dowiedzieć ani o czym był artykuł, ani na czym polegają rzekome nieścisłości historyczne. Na ogół każdy tekst publikowany gdziekolwiek ma swoich admiratorów i przeciwników, nie było jednak jak dotąd w zwyczaju publikowanie deklaracji uczuć wobec autora i tekstu poza pismem na którego łamach się ukazał. Prasa w PRL (*Perspektywy, Trybuna Ludu, Rzeczpospolita*) pisząc o tym samym tekście przynajmniej pokrótce go streszczała. Wobec jednej rzeczy zawartej w tym krótkim liście nie mogę przejść obojętnie. Pan Marcinkowski pisze, że nie wie, jak ja się nazywam naprawdę. Jest to ulubiony chwyt polemiczny wszystkich tych, którzy mają monopol na prawdziwy patriotyzm i jego nauczanie. Pan Jędrzej Giertych napisał kiedyś o mnie „autor, podpisujący się nazwiskiem Rybiński”, w *Trybunie Ludu* nazwano mnie von Rybinsky. Są to zabiegi niezmiernie eleganckie. Wprawdzie nie sądzę, abym musiał koniecznie wywodzić się ze swego pochodzenia, by mieć własne zdanie na temat stosunków polsko-niemieckich i głosić je publicznie, jak zresztą i w każdej innej sprawie. Ale skoro *Kultura* uznała za stosowne taką uwagę swego korespondenta zamieścić, to proszę uprzejmie o zamieszczenie też i mego stwierdzenia: nazywam się Maciej Rybiński od urodzenia. Mój Ojciec również nazywa się Rybiński, mój Dziad nosił to samo nazwisko, pradziad również. Zainteresowanych genealogią i skłonnych do wyciągania z niej wniosków na dziś odsyłam do aktu Konfederacji Drugiego Maja, gdzie na pierwszym miejscu widnieje podpis mego Pra-pradziada. I jeszcze jedno — czy nie wydaje się Panu Redaktorowi dziwne, że oprócz p. Marcinkowskiego i *Trybuny Ludu* do grona niezadowolonych ze mnie należy też organ Ziomkostwa Ślązaków, gdzie bywam nazywany „antideutscher Stimmungsmacher”? Interesująca koalicja.

Z wyrazami szacunku

Maciej RYBIŃSKI

Warszawa, wrzesień 1986.

Do Redaktora i Zespołu redakcyjnego polskiej edycji *Sučasnosti*.

Szanowni Państwo,

Kilka dni temu dotarł do mnie zeszyt *Sučasnosti* w języku polskim nr 1-2 z lata 1985 roku. Przeczytałem go z wielkim zainteresowaniem w całości, tym bardziej, że pomysł stworzenia pisma ukraińskiego w języku polskim traktującego o stosunkach polsko-ukraińskich uważałem zawsze za cenny i godny poparcia. Miałem możliwość przyglądać się pierwszym działaniom zmierzającym do tego celu.

Pozostając z pełnym szacunkiem dla wysiłku i rezultatu pracy Redaktora i Zespołu redakcyjnego nowego pisma, ze zdziwieniem stwierdziłem, że znalazłem się w tym znakomitym gronie. Ze zdziwieniem — ponieważ nie uzgodniono ze mną tego. Nie jest rzeczą słuszną przypisywać sobie zasługi innych. W takiej niezręcznej sytuacji zostałem postawiony, bo oto przychodzi do mnie czytelnicy gratulować mi dobrze zredagowanego numeru. Niestety, udział mój w tej pracy był żaden, gdyż ani jednego tekstu w nim wydrukowanego nie widziałem przed oddaniem do drukarni.

Może się zdarzyć, iż na skutek specjalnej umowy zgadza się ktoś patronować cenionej przez siebie inicjatywie, nie biorąc udziału w codziennej pracy. Tego jednak również ze mną nie uzgodniono. Nasuwa się przypuszczenie, że chodziło Państwu o to, by stworzyć wrażenie, iż nowe pismo ma bezpośrednie oparcie w Polsce. To słuszne posunięcie, ale wykonanie go bez uprzedzenia zainteresowanej osoby kłóci się z dobrymi obyczajami.

Proszę zatem o nieumieszczanie mojego nazwiska w kolejnych zeszytach polskiej *Sučasnosti* i opublikowanie powyższego wyjaśnienia w najbliższym numerze pisma.

Życzę Państwu dalszych sukcesów, wielu dobrych numerów.

Z poważaniem

Piotr NAIMSKI

P.S. Kopię listu do Państwa przesyłam do Pana Jerzego Giedroycia z prośbą o opublikowanie go w *Kulturze*.

P. N.

Düsseldorf, 1 października 1986.

Szanowny Panie,

Z ogromnym zainteresowaniem miałam możliwość zapoznania się z wrześniowym numerem *Kultury*, w którym znalazł miejsce artykuł dotyczący sprawy Kościoła katolickiego na Wileńszczyźnie. Jest to sprawa ogromnie bolesna, a mnie osobiście szczególnie bliska. Mimo istniejących trudności odwiedzam Wilno systematycznie, kilka razy w roku, mam tam wielu przyjaciół, ludzi bardzo bliskich, i dokładnie znam sytuację. Z bólem stwierdzam brak prawdziwej jedności wśród duchowieństwa katolickiego, wyraźną niechęć ze strony hierarchii kościelnej do ludności polskiej, stanowiącej poważną część ludzi wierzących i praktykujących w Wilnie i okolicy.

Niektórzy księża narodowości litewskiej wykazują w stosunku do Polaków nie tylko niechętny, ale wręcz wrogi stosunek, niegodny człowieka, a tym bardziej kapłana. Na przykład w Ostrej Bramie przystępując do konfesyjonału, chcąc spowiadać się w ojczystym języku, można usłyszeć od księdza (Kazys Mejlius) słowa: „Jeśli nie umiesz po litewsku, możesz jechać spowiadać się do Warszawy”. Niestety, ta przykra sytuacja spotkała również mnie osobiście. Podobnie przykrym zgrzytem przeżyłam w kaplicy M.B. Ostrobramskiej chwilę, gdy po mszy św. dla Polaków w języku polskim, ks. K. Mejlius udzielając komunii św. używał litewskiego, co wywołało widoczną niechęć licznie zgromadzonych wiernych.

Dziwne jest, że takie praktyki, jak udzielanie sakramentu chrztu dzieciom z rodzin polskich, odbywają się nie po polsku, nie po łacinie, lecz po litewsku (np. Jonas a nie Jan, Stasys a nie Stanisław, Kazys a nie Kazimierz itd.).

Trudności stawiane są także chórzystom pragnącym śpiewać w chórze kościelnym. Istniejący równoległe z polskim chór litewski jest wyraźnie faworyzowany. Itd., itd., można by długo wyliczać szykany z którymi spotykają się na co dzień ludzie, którzy nie wyrzekli się do dzisiaj swojej wiary i swojej polskości.

Przykre i bolesne jest to tym bardziej, że odbywa się to w łonie Kościoła katolickiego. Konkretnie, również w Ostrej Bramie, gdzie proboszczem, a jednocześnie administratorem diecezji wileńskiej jest ks. Algirdas Gutanskas, który niestety akceptuje (jeśli nie popiera) tak niegodne zachowania podległego mu kapłana.

Modląc się w duchu zgody i jedności przeciwko wszelkiemu złu, zwłaszcza zaś w jubileuszowym roku 600-lecia chrztu Litwy wyrażam głębokie przeświadczenie, że wszyscy ludzie dobrej woli zechcą mieć swój wkład w dzieło budowania prawdziwych wartości, godnych chrześcijańskiego świata.

W. W.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

St. Ł., Fulda (RFN). — Nie zamieścimy. Groteska bardzo słaba.
Leon Zejtman, Józef Słowiński oraz „Stary Żyd”. — Już poprzednio informowaliśmy, że nie zamierzamy kontynuować polemiki z listem Ojca I. M. Bocheńskiego, OP, zamieszczonym w numerze 7/8 *Kultury* z bież. roku. Każdy ma prawo przedstawiać swoje poglądy i nie jest to powód do organizowania czegoś w rodzaju nagonki. Szkoda, że zabrakło głosów biorących udział w dyskusji z Ojcem Bocheńskim przy omawianiu filmu „Shoah”.

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.
Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.
Tel.: 42 85 79 45.

DOM POLSKI W LOURDES

Polska Misja Katolicka w Paryżu z okazji 150-cioletniej rocznicy swego założenia otworzyła w Lourdes pięknie położony „Dom Pielgrzyma”, do którego zaprasza wszystkich Polaków odwiedzających Lourdes. Dom prowadzi Siostry Nazaretanki, które udzielają wszelkich bliższych informacji.

Adres:

**La Maison de la Mission Catholique Polonaise
„Bellevue”, Route de Bartrès, 65100 Lourdes
(à côté du Centre de Dialyse). Tel.: 62-94-91-82.**

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris
Telefon: 43-26-04-42.

NOWOŚĆ!

Kuchnia polska w języku francuskim:

„LA CUISINE POLONAISE”

T. i R. Zienkiewicz
(80 kolorowych zdjęć)

Cena: 150 F.

Ponadto polecamy:
KSIĄŻKI POLSKIE

wydania zachodnie i krajowe, polonica francuskie oraz książki w językach czeskim, rumuńskim, węgierskim i kroackim wydane na Zachodzie

PLAKATY POLSKIE, PŁYTY I KASETY
Katalogi wysyłamy bezpłatnie

Stefan Jachna, Parsippany, N.J. (USA), po raz 8-my — \$ 100,00	F. 635,00
Dr Stanisław Nałęcz-Korzeniowski, River Forest, IL (USA), po raz 28-my — \$ 25,00	F. 158,00
Bohdan Łysiak, Filadelfia, PA (USA) — \$ 10,00	F. 63,50
Ilse Maybach, Heilbronn/N. (RFN), po raz 23-ci	F. 539,74
Jacek Makowski, Boston, MA (USA) — dla uczczenia pamięci śp. płk. Wacława Makowskiego — \$ 709,86	F.4.507,60
Pamięci Wacława Zyndram Kościakowskiego w Dzień Zaduszny — Żona	F. 100,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 16-ty — \$ US 100,00	F. 635,00
Stanisław Radwański, Paryż, po raz 10-ty	F. 500,00
Pologne et Liberté, Aix-en-Provence (Francja) — nadesłał p. L. Martinez	F.2.450,00
Stowarzyszenie Polskiej Kultury w Austrii, Wiedeń — w związku ze zgonem wieloletniego prezesa S.P.K. w Wiedniu, inż. Romana Żukowskiego — zamiast wieńców na trumnę Zmarłego przekazuje na fundusz wydawniczy <i>Zeszytów Historycznych</i> F.1.600,00 (na sumę te złożyli się: S.P.K. Wiedeń i Helmut Aigner po F.400,00; Jadwiga i Andrzej Balko — F.300,00; Gabriela Rekowska oraz Maria i Jerzy Wandel — po F.200,00; Marian Gomułka — F.100,00) — razem	F.1.600,00
Jan Woźniak, Londyn, po raz 18-ty — £ 20,00	F. 184,00
Zamiast kwiatów na grób Norberta Marii Pietrzaka — anonimowo ze Szwecji — Krs 100,00	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

Przy wyliczaniu ofiarodawców, którzy złożyli się na sumę F.2.500,00 przekazaną na Fundusz *Kultury* zamiast kwiatów na grób prof. dr. Andrzeja Zięby (*Kultura* nr 10/469, str. 175), podaliśmy omyłkowo, że wkład p. Mariana Gomułki wyniósł F.300,00 — zamiast F.400,00. Za tę pomyłkę bardzo przepraszamy (Red.).

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ZEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Autor opracowania pt. „Sprawa Grzegorza Przemyska” zamieszczonego w dziale „Dokumenty” w nrze 70 <i>Zeszytów Historycznych</i> (1984 r.) prosi o przekazanie należnego mu honorarium na pomoc dla walczących w Kraju	F. 500,00
Bezimiennie z Ste Foy, Qué. (Kanada) — \$ can.200,00	F. 880,00
T. T. Brzozowski, Sandringham, Vic. (Australia)	F. 200,00
Krystyna Eichler, Woodland Hills, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Adama Wlekińskiego, zmarłego 22 czerwca 1986 roku w Seattle, USA — \$ 30,00	F. 190,50
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Zofia i Jan Hempel, Burwood, Vic. (Australia) — zamiast kwiatów na grób Henryka Ryszarda Krygiera	F. 205,71

Przyjaciele „Solidarności” (Friends of Solidarity) Kitchener, Ontario (Kanada) — na pomoc dla ludzi w Polsce, walczących o prawa człowieka i o wolność Polski (nadesłała skarbnik, Teresa Gromek) — \$ can. 2.000,00 F.8.800,00	
Prof. W. J. Stankiewicz, Vancouver, B.C. (Kanada) — na apel <i>Kultury</i> F. 500,00	
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło Nr 13, Winnipeg, Man. (Kanada) — na: — pomoc dla walczących w Kraju — \$ can. 300,00 F.1.320,00 — pomoc dla rodzin więźniów politycznych — \$ can. 300,00 F.1.320,00	
Alina Starczewska, Arlington, VA (USA) — w trzecią bolesną rocznicę śmierci inż. Walerego Starczewskiego — na pomoc dla opozycji w Kraju przekazuje Żona — \$ 200,00 F.1.300,00	
◆	
Bezimiennie z Farsta (Szwecja) — na: — pomoc dla pozbawionych pracy w Polsce — Krs 500,00 F. 479,85 — na NSZZ „Solidarność” — Krs 500,00 F. 479,85 — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — Krs 500,00 F.479,85	
◆	
Dr Wojciech Szczygielski, Zurych — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — Fr. szwajc. 30,00 F. 120,00	
Beata i Robert Żywny, Londyn — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — Krs 100,00 F. 95,00	
◆	
Zamiast kwiatów na trumnę śp. Wandy Wawroskiej, zmarłej 24 sierpnia 1986 roku w Los Angeles, CA (USA), przesyłają na NSZZ „Solidarność”: Anna i Łukasz Dobrzańscy, Helena Leszczyńska, Anna i Zbigniew Montygierd-Łoyba, Joanna i José Navarro oraz Danuta i Michał Zawadzcy — \$ 100,00 F. 635,00	

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1986.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 8.000.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1986			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » I w księgarniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliessingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 8,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 47,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 92,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgratan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Mil-Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,00	\$ US 35,00	\$ US 68,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczypiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historią niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzuca cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.



TOM 420 — IGOR NEWERLY

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

Igor Newerly — autor wielu książek w tym 2-ch o Januszu Korczaku w latach 60-tych napisał swoje wspomnienia z okresu 1914-1923 w Rosji i na Ukrainie. Wspomnienia te są autentycznym tłem okresu burzy i naporu w Rosji obejmując okres pierwszej wojny światowej, rewolucji i lat porewolucyjnych.

Str. 322.

Cena F. 120,00.



TOM 422 — JACEK TRZNADEL

HAŃBA DOMOWA

Książka Jacka Trznadla prezentuje czytelnikowi szereg jego rozmów ze znanymi polskimi pisarzami, kiedyś komunistami, którzy starają się opowiedzieć o swoim romansie i zerwaniu z partią. Te rozmowy mają ogromne znaczenie dla zrozumienia procesów, jakie zaszły wśród ludzi pióra w Polsce od powstania PRL do dziś. Trznadel opracował rozmowy z nadzwyczajną skrupulatnością i znanstwem przedmiotu i, co cenne, nie ograniczył się wyłącznie do pisarzy eks-komunistów, ale włączył do książki, tytułem przykładu, rozmowy z pisarzami, którzy przeszli przez komunizm z podniesionym czołem. Ozdobą książki jest rozmowa Trznadla ze Zbigniewem Herbertem.

Str. 320.

Cena F. 120,00.